NOWE FOTOGRAFIE SPOŁECZNE.

II.

WYDAWNICTWA KSIĘGARNI

GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.

	złr.	ct.
Aer. Pierwszy romantyk, powieść	2	60
Dr. Antoni J. Nowe opowiadania, wydanie drugie	3	—
— Opowiadania historyczne, 1 tom	3	—
1) Pod półksiężycem, 2) Książe Sarmacji. 3) Odwiedziny monarsze. 4) Na kresach. 5) Dwór Tulczyński. 6) Losy pięknej kobiety. 7) Tynna w końcu XVIII. wieku		
— Gawędy z przeszłości, 2 tomy	5	60
Bełza. Wanda. Opera w czterech aktach	—	60
BIBLIOTEKA POLSKA. Każdy tom brosz. 1 złr. 80 ct., w opraw. . .	2	30
T. I. II. **Krasiński Z.** Pisma. Wydanie z przedmową Stanisł. hr. Tarnowskiego, 2 tomy. — III. — VI. **Mickiewicz Adam.** Dzieła. Wydanie zupełne przez dzieci autora dokonane, 4 tomy. — VII. — X. **Zaleski B.** Poezye. Wydanie przejrzane przez autora. — XI. **Pamiętniki Paska.** Wydanie nowe krytyczne, przejrzane przez Dra. Węclewskiego. — XII. **Niemcewicz J.** Jan z Tęczyna. Powieść histor. — XIII. — XVI. **Słowacki Juliusz.** Dzieła. Wyd. przej. przez prof. dra A. Małeckiego. — XVII. — XIX. **El...y,** (Asnyk Adam.) Poezje. 3 tomy XX. — XXII. **Małecki, A.** Życie i pisma Juliusza Słowackiego, wydanie drugie znacznie pomnożone, 3 tomy. — XXIII. **J. Wybicki,** Pamiętniki. — XXIV. — XXV. **Mickiewicz A.** Dzieła. V. VI. XXVI. — XXVIII. **Mickiewicz A.** Korespondencja, 3 tomy. — XXIX. — XXXI. **Kitowicz X.** Pamiętniki i pisma historyczne, 3 tomy. XXXII. — XXXIII. **Kitowicz X.,** Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III., 2 tomy. — XXXIV. — XXXVII. **Romanowski M.,** Pisma. 4 tomy (w druku). — XXXVIII. — XXXIX. **Słowacki J.** Listy, 2 t., wydanie II. znacznie pomnożone. **Słowacki J.** Pisma pośmiertne, wydanie II. 3 tomy.		
Bolesławita B. Hybrydy, powieść współczesna	2	40
— Król i Bondarywna, powieść historyczna	2	40
— Nad modrym Dunajem. Nowella	2	40
Bronikowski. Jan III. Sobieski i dwór jego czyli Polska w XVII. wieku, 2 tomy	4	20
Chłędowski J. Sylwetki społeczne	2	40
El...y Gałązka heliotropu. Komedya	—	60
Estreicher. W. Pol, jego młodość i otoczenie	2	80
Jeż J. J. Ostapek. Ustęp z przeszłości emigracyjnej	2	40
Kaczkowski K. gen. szt. lekarz wojsk polskich. Wspomnienia 1808—1831, wydał T. Orzechowski, 2 tomy	4	20
Kantecki K. Elżbieta, trzecia żona Jagiełły	1	20
— Dwaj Krzemieńczanie. Wizerunki literackie, 2 tomy	3	60
Kubala L. Dr. Szkice historyczne, dwie serje każda po	3	40
— Jerzy Ossoliński, 2 tomy	6	80
Lemcke K. Estetyka. Wydanie drugie	6	40
Liske X. Cudzoziemcy w Polsce. Podróże i pamiętniki	4	20
Listy Tadeusza Kościuszki, zebrane przez L. Siemieńskiego	2	80
Monumenta historiae polonica. Pomniki dziejowe Polski, t. III. Wydanie nakład. Akad. Umiejętności	12	—
Niewiarowicz A. L. Wspomnienie o A. Mickiewiczu	2	20
Pamiętnik damy polskiej z XVIII. wieku	1	80
Przyborowski W. Rubin Wezyrski. Powieść	1	80
— Księżniczka z Minsterbergu	1	50
Stadnicki K. Olgierd i Kiejstut synowie Gedymina, W. ks. Litwy . .	2	40
Sass Berlicz. Mozaika. Gawędy szlacheckie, 2 tomy	3	80
Sewer. Bratnie dusze. Powieść	2	40
Wilczyński A. Kłopoty starego komendanta. Opowiadania, 3 tomy z illustracjami	5	40
— Pamiętniki plotkarza, 2 tomy	4	20
— Medytacje kawalerskie	2	40
Wilkońska P. Na teraz. Powieść	2	40
Wspomnienia Konstantego Wolickiego, z czasów pobytu w cytadeli warszawskiej i na Syberji	2	60
Zieliński Wł. K. August II. i Aurora Königsmark. Powieść hist., 2 t. .	2	60
Zwierciadło głupstwa. Powieść, napisał Ignotus	3	20
Listy Jana III. króla polskiego, pisane do królowej Kazimiry w ciągu wyprawy pod Wiedeń w roku 1683.	2	80

NOWE
FOTOGRAFIE
SPOŁECZNE

zebrane przez autora

KŁOPOTÓW STAREGO KOMENDANTA

WYPRAWA PO SUKCESYĘ
SPRAWA U WÓJTA
SPADKOBIERCY KASYERA

II.

LWÓW.
NAKŁADEM KSIĘGARNI
GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA.
1885.

Z drukarni Pillera i Spółki.

WYPRAWA PO SUKCESYĘ.

I.

Przyjaciel z podróży.

Ciotka moja Kordula, a raczej konie wiozące tę szanowną pannę na majowe nabożeństwo, były tak dziecinne, że przestraszywszy się prowadzonego po grobli niedźwiedzia, skoczyły nierozważnie do kopyczynieckiego stawu i przewróciły karetę. Kuzyn Aleksander, który tuż jechał za ciotką, wskoczył natychmiast do wody, lecz nim zdążył otworzyć drzwiczki karety, woda już na dobre zalała szanowną damę.

Stał się nadzwyczajny wypadek śmierci, o jakim żadne kroniki nie wspominają, ale ponieważ ja całe życie tylko nadzwyczajnymi wypadkami przychodzę do pieniędzy, więc i ten napędził mi ni ztąd ni zowąd dziesięć tysięcy rubli sukcesyi przez głowę matki, po odbiór których jechałem na Podole, wezwany listem kuzyna Aleksandra.

Wiadomo czytelnikom, że pełna kieszeń jest najlepszym przewodnikiem dobrego humoru, dobrego

tonu, wesołego dowcipu, a nawet — rozumu. Zdaje się wtedy człowiekowi, że wszystko powinno być na jego rozkazy, że ma prawo kaprysić, a co słuszna i sprawiedliwa, przynajmniej wymagać pewnego uszanowania od drugich, nie mających tego talizmanu do dyspozycyi.

Jakże się tu więc dziwić irytacyi uniżonego waszego sługi, gdy na ostatniej stacyi kolei zamiast wygodnego powozu do dalszej podróży, ofiarowano mu prosty łubiany wózek z trochą słomy, która zastąpić miała siedzenie. Okropność, mówię wam, co to była za bryczka! Ani stopnia do siadania, ani dywanika do nakrycia, a całość tak zasmarowana czarnem błyszczącem błotem, że dostawszy się nawet po dyszlu do tego pudełka, robił się człowiek podobnym do nieboskiego stworzenia.

Żydowskie przysłowie powiada, że „lepiej najgorzej jechać, niż najlepiej iść“, więc, zrzuciwszy pychę z serca, wywindowałem się dó owego wehikułu, usiadłem na słomie, a troskliwy Mazur woźnica, obstawiwszy mię jakąś starą matą dokoła siedzenia, ruszył zwolna przy pompatycznym odgłosie dzwonka, uczepionego na szyi jednego z rumaków, wielkości dobrego psa podwórzowego.

Minąwszy próg bramy dziedzińca, wpadliśmy w kałużę czarnego gęstego błota, które nie opu-

ściło nas niestety do samego miasteczka. Ani uroczysty głos owego dzwonka, ani serdeczny traktament, jakim nie żałując już nie bata, ale biczyska, częstował mój Mazur swoją trójkę rumaków, nie mogły ich zniewolić do zmiany kroku, przeciwnie nawet każde wierżgnięcie konia po tej operacyi darzyło nas plackami czarnego błota, które co chwila miały tę śmiałość padać mi na twarz, na piersi, lub na kolana.

— Tylko niech się wielmożny pan nie obciera — przestrzegał woźnica — bo się jeszcze gorzej zasmaruje, a tak jak wyschnie, to się samo odlepi.

— Szczególniejszy kraj — pomyślałem — gdzie nawet błota nie można zetrzeć z siebie...

W ulicach miasteczka jeszcze gorzej Jak okiem zasięgniesz między domami jedna, gładka, czarno-błyszcząca, ruchoma płaszczyzna, na której podkasani wyżej kolan obojej płci ludziska, w ogromnych butach, z kijami wystawionemi naprzód dla sondowania głębiny, tak dziwne wyrabiali rękami i nogami machania, że zdawało mi się, patrzę na jakieś łamane sztuki gimnastyczne. Spotkałem nawet jedną kapeluszową damę z prawdziwem strusiem piórem, widocznie nie znającą przygód Pawła i Wirginii, która z całą naiwnością, powierzywszy osobę swoją plecom dymisyonowanego żołnierza, chwyciła go bez ceremonii oburącz

za szyję i w ten sposób jak dzieci na baranie peregrynowała z jednej strony ulicy na drugą.

Urzędnicy z biur jechali konno na obiad, ku czemu przed drzwiami takich domów stało zawsze po kilka egzemplarzy włościańskich zasmuconych pegazów.

Chcąc jechać pocztą, potrzeba było wówczas zaopatrzyć się w tak zwaną podorożnę, to jest pozwolenie korzystania z koni pocztowych, dla otrzymania zaś takowej wypadało uzyskać wizę policyi na pasporcie.

Trafiłem na czas poobiedni do biura; pan sprawnik *oddychał.* Jedziemy do pomocnika — i ten również *oddychał*; stajemy przed stanowym — ten wprawdzie nie śpi, lecz pisarz wyjechał na obiad, a u niego klucze od szufladki mieszczące pieczęcie urzędowe... Słowem, była już czwarta po południu nimeśmy się przywlekli przed biura *kaznaczejstwa* [1]).

— Wy chcecie podorożną z *buduszczym?* — pyta mię urzędnik, okurzając kłębem dymu z papierosa.

— Nie rozumiem co znaczy: z *buduszczym?*

— No z tym co panu przybędzie...

— Mnie nic nie przybędzie, jestem nieżonaty, mówię rumieniąc się trochę.

[1]) Kasy.

— Weź pan z *buduszczym* — szepnie mi obok stojący wysoki czarno zarośnięty mężczyzna. To nie kosztuje więcej, a masz pan prawo wybrać sobie towarzysza.

— Proszę napisać z *buduszczym*.

— Mam honor przedstawić się panu: „guberski sekretarz Iwan Iwanowicz Wróblewicz“ i gotów jestem służyć mu za towarzysza podróży... Pan zagraniczny?

— Jadę z Warszawy — odpowiadam kłaniając się — i bardzo mi przyjemnie korzystać z jego znajomości.

— Łaskawy panie, posłuchajcie mię — rzecze z uprzejmością guberski sekretarz — nie wyjeżdżajcie dziś z miasta. Drogi złe, pełno różnych *brodiagów* [2]) się kręci... u mnie jest niezła kwatera, i choć nie będzie ze wszystkiem wygodnie, ja jednak proszę na nocleg.

Pan Wróblewicz proponował tak serdecznie, a wśród tego błota i ciemnej nocy niebezpiecznie było puszczać się w dalszą drogę — zatem nie namyślając się długo, przyjąłem zaprosiny. Wsiedliśmy zatem we dwóch do czekającej mię taradajki, kontynuując dalszą po błocie ulicznym nawigacyę.

— Ja panie bo jadę do gubernii w interesie wielkiej wagi.

---

[2]) Włóczęgów.

— Tak? — odpowiadam aby coś odpowiedzieć.

— Powiem panu, ale pod sekretem, że pan Mieczysław Zagonowski wczoraj przestrzelił sobie rękę.

— Więc po doktora.

— Ale gdzie tam! On już dzisiejszym pociągiem wyjechał za granicę... pan dobrodziej zna pana Mieczysława?

— Nie znam.

— A, a, a, to bardzo porządny, o bardzo porządny obywatel... Sprzedaje ci panie rok w rok do dziesięciu tysięcy korcy pszenicy... Ale powiem panu pod sekretem, tchórz jakich mało, własnego cienia się boi...

— Dziwna to rzecz — mówię — tyle sprzedaje pszenicy, a tchórz.

— Cóż robić, proszę łaskawego pana, dziwne to a jednak tak jest... musi to być coś familijnego. Otóż zabawna wczoraj przytrafiła mu się historya. Byłem u nich na obiedzie w Kozowicach, bo trzeba panu wiedzieć, żyjemy w przyjaźni z panem Mieczysławem, załatwiam mu wszystkie interesa... Wieczór, rozmawiam z panią w salonie, a ona też bardzo godna osoba, o bardzo godna... aż tu naraz słyszymy w jadalnym pokoju bęc! drugi raz bęc! z rewolweru. Pani Mieczysławowa w krzyk, ja do drzwi — zamknięte, do drugich drzwi — zamknięte, i znowu bęc! Jak nie podeprę drzwi

sobą — puściły, wpadam, a mój pan Mieczysław stoi jak ściana blady na stole, i znowu bęc!

— Co to jest? — krzyknę.

— Zabity! — woła pan Mieczysław, obwijając chustką rękę...

— Kto zabity?

— Trezorek — odpowiada na pół żywy i widzę chwieje się na stole... więc biorę go jak dziecko — krzyczę wody, octu i ledwieśmy go ocucili.

— Otóż widzi pan dobrodziej, zdawało mu się, że piesek pokojowy zwany Trezorkiem wściekł się... złapał więc rewolwer z szuflady biurka, wskoczył na stół i walił do niego. Pies szczekał ze strachu i skakał ku stołowi, czem przestraszony pan Mieczysław, strzelał już bez przytomności i jeden nabój wpakował sobie w rękę. Zrobił się straszny lament — posyłaj za doktorem, a najgorsza sprawa, że strzelał panie dobrodzieju bez biletu... Dziś rano tedy *sakum pakum* na kolej i za granicę, a ty panie Janie *dymaj* czemprędzej po bilet do gubernii.

— Zabawna historya... przepraszam...

— Mieczysław jest sobie oryginał panie, gdybym chciał wszystko o nim opowiadać, tobym do jutra opowiadał. Tymczasem zatarliśmy wszystko, cicho, sza — bo niechnoby się dowiedział stanowy [3]), że on miał rewolwer bez biletu, byłaby bieda...

---

[3]) Urzędnik policyjny okręgowy.

Z ręką — głupstwo; we Lwowie go wyleczą, ale z policyą panie gorsza; zaraz historye, protokuły... Spodziewam się, że pan dobrodziej zachowa to przy sobie.

Przyrzekłem uroczyście guberskiemu sekretarzowi dotrzymać tajemnicy, a gdy nasz woźnica wlókł się po różnych zaułkach miasta, mnie uderzyła dziwna struktura budujących się domów, a więcej jeszcze sam sposób tego budowania. W całym świecie, jak wiadomo, zaczynają od fundamentów — tam przeciwnie nawet piętrowe kamienice zaczynają od dachu, nie poruszając z miejsca dawnego domostwa. Oto poprostu wkopuje się cztery słupy dębowe, na tych osadza się okapy, belki, krokwie i łaty, które czemprędzej zakłada się dachówką. Stary dom tymczasem jak pod nową czapką stoi sobie często kilka lat, nim budujący zdobędzie się na zapełnienie ścian bocznych, chociaż to zapełnienie znowu tak bardzo nie kosztuje. Cienkie dyle okręcają się słomą i błotem z ulicy, na to wszystko znowu narzuca się tego samego błota, a gdy wyschnie, maluje się go na żółto, okna i drzwi na niebiesko — i dom skończony.

Budynki, przeznaczone na piętrowe, stawiają się w ten sam sposób, tylko już na wzgórzu przylegającem do niżej idącej drogi; a gdy robota skończona, podkopują się kolejno ściany i pod nie podsuwa się parter, tak, że dom górny opa-

trzony galeryą z zewnętrznemi schodami przemienia się na piętrowy.

Z początku dziwiła mnie bardzo ta nowość, lecz, przypatrzywszy się bliżej objawom życia tamtejszego, przyszedłem do przekonania, że wiele tam jeszcze i innych rzeczy dzieje się na opak, i że bardzo często do głów ludzkich ta sama aplikuje się struktura, mieszcząc na piętrze to, co powinno być niżej i przeciwnie.

Stanęliśmy wreszcie przed małym w ziemię osuniętym domkiem z błota. Mój towarzysz z całą grzecznością pomógł mi znieść tlómoczek do sieni, w której jakby na dane hasło przywitało nas nadzwyczaj żałośne skowyczenie dwóch psów gończych, uwiązanych w jednym kącie sieni obok komina.

— A leżeć Wanda! A leżeć Zagraj! — krzyknie guberski sekretarz, częstując kopnięciem wyjące stworzenia.

— Cóż tam za kanalia bije psy! — daje się słyszeć głos z uchylonych drzwi pokoju, w których pokazuje się jakaś wielka i rozczochrana głowa dawno niegolonego mężczyzny.

— A czego się drą jak czorty! — mówi w zapale mój towarzysz, próbując uderzyć tłumoczkiem niespokojną Wandę.

— Moim gończym wolno się drzeć...

— Głupi jesteś ze swojemi gończemi!... Proszę pana dobrodzieja dalej — mówi do mnie Wró-

blewicz, pakując się bez ceremonii na rozczochraną głowę we drzwi mieszkania. — Niech pan nie zważa na tego waryata, któremu się zdaje, że ma gończe psy, a to panie gorsze od prostych kundysów.

— Może twoja Mrówka lepsza, co? — pyta z ognistem spojrzeniem atletycznej budowy mężczyzna, podtrzymując ręką ubranie i cofając się w głąb pokoju.

— Przynajmniej goni głosem, a te mówię panu dobrodziejowi ani dziamną... Wczoraj widzieliśmy to w Pogroszowieckim lesie; kijem ich nie można było odpędzić od bryczki... co tu długo gadać... proste kundle...

Obrażony jegomość powiedział coś na to, mój sekretarz nie lubił być dłużnym — więc od słowa do słowa poczęli się kłócić na dobre. Gorętszego temperamentu pan Iwan Iwanowicz krzyknął wreszcie, stawiając mój tłómoczek na kanapie:

— Kiedyś głupi i na niczem się nie znasz, to milcz!

— Kto głupi, kto? ja? — zawoła jąkając się trochę atleta i wygrażając pięścią. — Po co ci z głupim mieszkać na jednej kwaterze... to won!

— Ty sam won!

— To moja kwatera... — odpowiada potrząsając czarną grzywą guberski sekretarz. — Proszę pana,

niech pan siada — mówi znów do mnie. — Może papierosika, proszę... Ot jest tytoń i papierki...

— Czego się rządzisz moim tytoniem! — krzyknie rozgniewany atleta, zabierając mi bez ceremonii zatłuszczoną portmonetkę.

— Otóż masz pan grzecznego *powierennego*, adwokata niby... Ot widzi pan, hrabski sługa... bywa u niego... Ot gbur, prosto mówię panu!...

Mimo tych argumentów, zasapany adwokat nie dał mi tytoniu, czem oburzony Wróblewicz wybiegł z furyą do sieni, upewniając, że da sobie radę...

Przez cały czas tej kłótni, trzymając czapkę w ręku, nie wiedziałem, co z sobą zrobić. Głupia rzecz znaleść się zaproszonym na nocleg wobec takiej opozycyi współlokatora. A tu noc nadchodzi, furmanka odjechała, ja nie wiem, gdzie się tu ruszyć.

— Waryat hę! prawda że waryat? — pyta mię zirytowany człowiek z rozczochraną głową. — Jego Mrówka lepsza... bodaj on tak dyabła zjadł, jeżeli ona dwadzieścia kroków pogoni...

— Proszę pana, powiedz mi...

— Nie ma tu co powiadać, ja szyję moją daję, że ta Mrówka to wierutny gałgan... wypalić w łeb i kwita... a jemu się zdaje...

— Ja nie sprzeczam się o Mrówkę — przerywam — ale chciałem zapytać pana, gdzie ja jestem?

— Jakto gdzie? No, u mnie.

— Nie mam przyjemności znać pana...

Dopiero teraz spojrzał na mnie zdziwiony tą wiadomością.

— Przyjeżdżam z Warszawy...

— A znasz pan tam starego Bekera?

— Znam kilku Bekerów w Warszawie.

— No tego co ma skład broni, tylko nie tego młodego, jego syna. Ze starym korespondowałem dawniej, i nic panu nie mówił o mnie?

— Nie pytałem go o to...

— Hm... dziwna rzecz — mruknie jegomość. — Więc muszę się panu zaprezentować: Feliks Pajacowski, *bywszy* urzędnik dworzańskiej opieki, teraz powierennyj do spraw cywilnych i tych *ugłownych*, jak to się mówi... a, a, karnych...

Ja wymieniłem wzajemnie swoje nazwisko.

— Pan guberski sekretarz — rzeknę tłómacząc się niejako ze swojej tu obecności — zaprosił mię na nocleg.

— *Kudy* jemu do guberskiego sekretarza!... Nic mu pan nie wierz, to łgarz panie i waryat, hę... On panie nawet nie regestrator [1]).

— A któż on?

---

[1]) Regestrator, najniższa ranga cywilna.

— Nic panie, formalnie zero... ot tak do niczego i do wszystkiego. Złapie jakiego żyda albo mazura i niby mu to sprawę prowadzi, ale gdzie jemu do sprawy... Pisać nie umie!... Ot zawraca ludziom głowy i żyje... Do mnie uważasz pan wpakował się na kwaterę, nic nie płaci, chłopaka mi rozbija, psy rozbija, cukru i tytoniu nie kupuje i słowa sobie nie da powiedzieć... To panie zmora; z kancelaryi marszałka wygnali, z policyi wygnali...

— Więc bardzo przepraszam pana, że nie wiedząc kto on taki, przyjąłem w dobrej wierze jego zaproszenie, i żebym się mógł w jaki sposób dostać do oberży...

— A cóż mi to szkodzi, jak pan przenocujesz, jest kanapa — mówi, oglądając z uwagą jakąś strzelbę. — Hę, co, widzisz pan, prawdziwy Mortimer... ale niech on się schowa przed Bekerem...

— Proszę obejrzeć — ciągnie dalej podnosząc z kąta zniszczoną dubeltówkę — ciężki, stary, lufy wychlastane, ale jak bije, mówię panu kapitalnie bije... Hrabia sobie żartował ze mnie, ale go przekonałem: dwanaście grubych śrócin w ćwiartkę papieru, hę? a ten elegancki Mortimer to rozrzuca arszyn ziarnko od ziarnka... Jednak ja jemu poradzę, tylko podkręcić trochę lufy przy osadzie... uważasz pan, szczególniej tę lewą...

— Darujesz pan, nie znam się na tem...

— Nic nie szkodzi, ja pana nauczę: trzeba uważasz pan ustawić lufy tak równo i mocno, żeby ani drgnęły... potem uważasz pan wprowadza się świderek lekki, delikatnie... i raz albo dwa razy najwięcej chrup... chrup...

W tej właśnie chwili, kiedyśmy ustawili lufy poziomo, i zaczęli je brać w śruby, zjawia się mój protektor zawalany błotem po same kolana, a wyjmując z kieszeni spodni garście tytoniu, kładzie go na stół.

— Obejdzie się bez łaski... proszę, rób pan... prawdziwy *Papa Nikola* [1]).

— Potem — mówi dalej pan Feliks, nie puszczając mię do stołu z tytoniem, a trzymając przed oczami na długim pręcie osadzony świderek — wprowadzam już ten grubszy, uważasz pan.

— Cha, cha, cha! śmieje się Wróblewicz, biorąc mię pod rękę i odprowadzając na bok — nie słuchaj pan, co ten waryat gada o wierceniu. On sfiksował na punkcie poprawiania strzelb; hrabiemu, który się bawi jego błazeństwami, zepsuł już wszystkie dubeltówki, jak zaczął kręcić. I tego Mortimera zepsuje do reszty...

— Zobaczysz, no zobaczysz... będziemy próbować...

---

[1]) Nazwisko fabrykanta tytoniu w Odessie.

I znów zaczęli się sprzeczać w tym samym guście jak poprzednio, z tą różnicą, że teraz szło już o zdolności myśliwskie.

— Ty pudłujesz!

— Ty jeszcze lepiej pudłujesz!!... Pamiętasz tego kota?...

— A ty pamiętasz tego kaczora na stawie?...

Ledwie skończyli, a raczej wyczerpali cały słownik polsko-rossyjskich epitetów używanych do wymyślania, gdy chłopiec, wnoszący samowar do pokoju, nastręczył nową sposobność.

— Dajże na cukier! — mówi guberski sekretarz, zasypując herbatę.

— Daj ty...

— Ja kupowałem wczoraj.

— Nieprawda, bo ja...

— Pozwólcie panowie — wtrącam wyjmując rubla i podając go zabrudzonemu facetowi — że ja was wyręczę.

— Niech Bóg broni! — krzyknie z energią, zatrzymując mi rękę Wróblewicz.

— A toby ładnie było — dodaje z powagą pan Feliks. — Uważasz pan, tu nie idzie o pieniądze, ale o prawdę; wczoraj ja dawałem, to dawałem...

— A bodajże mię djabli wzięli, jeżeli to prawda mój staruszku! — rzecze z ironią Wróblewicz. — Tryfon — woła na chłopaka — pójdź tu i po-

wiedz, kto dawał wczoraj na cukier, tylko świętą prawdę powiedz?

— Nikt nie dawał — rzecze zmięszany chłopak — panowie się sprzeczali, a ja nie mogąc się doczekać końca, wziąłem od Berka na kredyt...

— A widzisz staruszku, dawałeś, hę?

— O, o, o, ty bo młodzieniaszek!... Proszę pana, przypatrz się no jemu jak wygląda... uważasz pan, jakie to blade, wymokłe, a wszystko z łajdactwa... Gdyby nie mój eliksyr Pirogowa, już dawno by go ziemia święta miała... A ja panie zdrów jak dąb, proszę pana, spojrzyj na niego i na mnie... Patrz moje piersi — kończył uderzając się ręką.

— Co tam rozprawiać z waryatem! — zawoła mój sekretarz. — Dość panu powiedzieć, on ma pięćdziesiąt cztery, a ja trzydzieści trzy... Jakie tu porównanie!

Tymczasem samowar dymił, a chłopak czekał przy drzwiach na pieniądze, korzystając przeto z ich kłótni, dałem mu rubla wysyłając po cukier.

Po herbacie, której oba współlokatorowie wcale sobie nie żałowali, pan Feliks z całą powagą wziął się do kręcenia strzelby, a mój gospodarz uważał sobie za obowiązek gościnności zabawić mię grą swoją na skrzypcach.

— U stołonaczalnika z policyi grywamy koncerta co sobota — mówi strojąc swe skrzypce — pozwolisz pan, zagram mu nasze podolskie szumki.

Na odgłos pierwszych pociągnięć smyczkiem przyszła ochota psom w sieni rozpocząć rzewny akompaniament; do czego dodawszy zgrzyt świdrowanych luf strzelby i fałszywe tony owej szumki, którą się nie żałując smyczka koncertant popisywał, możecie mieć wyobrażenie przyjemnie spędzonego wieczoru. Wyziew tytoniowego dymu tamował mi oddech, para z samowaru zaslaniała światło, a w izdebce było gorąco do niewytrzymania, bo cierpiący na reumatyzm pan Feliks za nic w świecie nie pozwoliłby otworzyć drzwi lub okna.

— A co, łaskawy panie, jakie skrzypce? — zapytał mnie guberski sekretarz, ocierając pot z czoła — antyk, rzadkość, prawdziwe werońskie. Popatrz no pan tu w środek, co tam stoi napisane.

— *Borgoni Verona a. d. 1635.* — przeczytałem przez wycięte esy.

— Dawali mi już trzysta rubli za nie...

— Czego ty durzysz ludzi! — odzywa się zajęty wciąż wierceniem pan Feliks — i trzysta kopijek nie warte.

— Przepraszam — rzeknę — Borgoniego wyroby płacą się wysoko.

— Albo one widziały kiedy Borgoniego, hę? Od Sokołowskiej dostał tę kartkę i wlepił w ten grat, aby złapać jakiego głupca... Widziałem panie, cały tydzień majstrował koło nich...

— Słuchaj pan tylko co on gada, a zajedziesz daleko... Sokołowska to taka sama ćma jak i on, opanował tę starą, karmi ją eliksirem Pirogowa, a głupia baba wierzy w niego jak w Boga.. Zresztą na co się zdało sprzeczać z waryatem! — kończył spuszczając struny i wieszając skrzypce na dawnem miejscu.

Jak się dowiedziałem później, panowie ci już żyli z sobą w ten sposób od lat sześciu, i tak samo kłócili się od rana do nocy. Pod względem sytuacyi społecznej liczyli się do gromady lilij polnych Podola, stanowiąc niejako rodzinę przejściową od sług rezydentów obywatelskich.

W innych częściach kraju nieznane są już tego rodzaju pasożytne indywidua, noszące nazwę plenipotentów czy adwokatów, jak się sami mianują, lecz na Podolu każde powiatowe miasteczko lub mające rezydencyę sędziego mirowego, obejść się nie może bez tych publicznych totumfackich.

Na Podolu nie ma obywatela, nie ma posesora, któryby nie oddał się w arendę takiego adwokata, gdy idzie o załatwienie różnych interesów z policyą, z opieką, u mirowego pośrednika, u marszałka, a wreszcie w mirowym sądzie i w gubernii. Poczciwa nasza szlachta po wszystkie czasy miewała wstręt do wszelkich kodeksów i innych urzędowych rozporządzeń, a już co się tyczy pisania próśb czy zażaleń na stemplowym papierze, to

najodważniejszemu trzęsie się ręka z obawy, jak tu te mądre rzeczy wykoncypować. Tymczasem taki pan plenipotent, dawniej kancelista lub stołonaczalnik z policyi, zna wszystkie tytuły władz na wylot, nie namyślając się rżnie prośbę z kopyta, a jak zacznie wyliczać artykuły *Swodu zakonow* ze wszystkich tomów, ze wszystkich wydań i dopełnień, to dalibóg z pamięci wypisze caluteńkie dwa wierszy samych cyfr w tysiącach, nie licząc dat i numerów wyroków rządzącego senatu i kasacyjnego departamentu. Szlachcic, zdumiały nad taką erudycyą, pyta się tylko gdzie podpisać i po oznaczonej paznokciem kresce, pisze za dyktowaniem: „Pomieszczyk takiej to a takiej wsi, takiego powiatu, dworjanin Paweł Alfonsowicz Oślikowski“.

— A co, dobrze będzie? — pyta składając pióro i ocierając pot z czoła.

— Doskonale, pan dobrodziej piszesz jak sztych...

— No, mości dobrodzieju, człowiek na coś się jeszcze przyda — kończy zadowolony kompletnie ze swojej pracy, wciskając do ręki adwokata trzyrublowy papierek.

Ze swej strony, plenipotenci tacy otaczają swoich klientów najwyższem uszanowaniem i adoracyą bez granic, a szlachcie tamecznej, ubóstwianej teraz tylko przez żydów kupców, nadzwyczajnie się to podoba. Nawet wielcy panowie lubią tego rodzaju służalcze otoczenie, przypuszczają ich do

swego stołu i towarzystwa, zkąd ci ostatni czerpią wzory dobrego tonu i gustu, które później reprodukują swoim znajomym w miasteczku. Wszystkie zachcianki pańskie znajdują w nich doskonałe odbicie; lubią pasyami polowanie, dobre psy, wyborowe strzelby, wymyślne jedzenia; znają się na muzyce, wzdychają do koni rysakami zwanych i lohnerowskich faetonów, a co się tyczy, znawstwa wszystkiego — są nieomylni.

Do takich właśnie kopij wielkiego pana należał i pan Feliks, plenipotent dowcipnego hrabiego z okolicy, który bawiąc się jego nadętością, wmawiał w pana Feliksa wysokie zdolności, zachęcał do robienia głupstw rozweselających pańskie towarzystwo. Szanowny adwokat przyjmował to wszystko za dobrą monetę i był święcie przekonany, że nie ma zdolniejszego, rozumniejszego i więcej dystyngowanego odeń człowieka w okolicy, chyba jeden hrabia, i to dlatego tylko, że miał ośm wsi i jedno miasto — a po śmierci matki hrabiny powinien mieć drugie tyle.

Dość było rozejrzeć się w mieszkaniu pana Feliksa, aby się przekonać o jego pół pańskiem upodobaniu. Łóżko z prostych desek sosnowych, a na ścianie angielski prawdziwy dywanik; aksamitem pokryty na biegunach fotel, a przed nim stół dębowy bez nakrycia, cały zbryzgany atramentem. Przybory myśliwskie i broń sama wyso-

kiej wartości, a przed niemi na prostym stołku gliniana miska do umywania. Wazon porcelanowy sewrski na kwiaty, a puszka blaszana z tytoniu służy za cukiernicę. Lecz najciekawszą z tego wszystkiego była rzeźbiona kanapa, z którą niestety poznajomiłem się tej nocy w bardzo dotkliwy sposób.

— Uważasz pan, prawdziwy antyk, jaka rzeźba, hę? *bas rylèjew!* Hrabia daje mi aksamitną kozetkę, ale ja nie chcę..

Nikt może więcej nie ubolewał nad uporem pana Feliksa, jak ja, przymuszony złożyć zmęczone kosci moje na tym antyku, który prócz desek przykrytych kolorową serwetą, nie miał nic więcej do ofiarowania. O poduszkę było latwiej, pan Wróblewicz wykradł z szafy również antyk, rzęsiście haftowany szklanną sieczką, od której zdaje mi się, do dziś jeszcze mam na twarzy wygnieciony gwiazdzisty deseń.

O kołdrę nastąpiła kłótnia; pan Feliks, mimo błagalnych szeptań w drugim pokoju guberskiego sekretarza, nie chciał pożyczać angielskiego dywanika, imitującego lamparcią skórę, trzeba więc było kontentować się rozłożonym w poprzek paltotem, i figurę swoją zastosować do jego wielkości.

Rozciągnięty na owem madejowem łożu, mimo zmęczenia. miałem dość czasu do rozpamiętywania dobrodziejstw starodawnej gościnności, zwłaszcza, że deski zastępujące materac miały dość znaczne

między sobą odstępy, a sieczka poduszki przypominała piękne rączki pani Sokołowskiej, które ją wyszywały. Jednak byłbym usnął, gdyby nie Wanda, rozwodząca w sieni swoje desperackie, rozczulające żale.

— Jasiu, uważasz, ona musi być chora — odzywa się pan Feliks ze swego łóżka.

— A niech ją dyabli biorą, bestya spać nie daje!

— Uważasz, hę? Szkoda suki, musi mieć wewnętrzne boleści, Jasiu słuchajno, możeby jej dać eliksiru?

Pan Jan nie odpowiadał wcale.

— Nie bądźno dzieckiem Jasiu, słyszysz, wstańmy, wlejmy jej butelkę. — I przy tych słowach skrzypnęła zapałka po ścianie, a w izdebce zajaśniało swiatło.

— Nie wstaniesz, co?

— Nie wstanę. Jak cię prosiłem o kołdrę dla tego pana z Warszawy, toś nie dał...

— No dam, jak Boga kocham, dam.

Lecz i ta obietnica nie wzruszyła pana Jana, więc ubrawszy nogi w pantofle, gramoli się pan Feliks ze świecą do sieni, wyciąga zkądś rozespanego Tryfona, i za chwilę taszczą do mojego pokoju wrzeszczącą w niebogłosy Wandę.

— Jasiu, Jasiu, chodźno przytrzymać.

— Ani myślę...

— Bo uważasz, daję ci słowo honoru, jutro wyrzucam twoje manatki!

— Jeżeli ja wprzód twoich nie wyrzucę.

— Wstaniesz czy nie? — krzyczy już z mocą pan Feliks.

— Nie.

— A bodajżeś nie wstał więcej, ty drabancie jakiś — zawoła już z furyą adwokat. — Niech cię licho weźmie, ja i bez ciebie dam sobie radę.

Wyrywającą się sukę trzymał z całej siły Tryfon za przednie nogi, gdy pan Feliks przelewał z jakiegoś gąsiorka czarny eliksir do butelki.

— Trzymaj mocno — rzecze otwierając z całej mocy pysk Wandzie i pakując jej drugą ręką szyjkę butelki. — Masz tobie, ugryzła mię w palec... Ot widzisz jaki ty kolega.,, Nie puszczaj... niech połknie... gdzie woda?

Eliksir musiał być bardzo nieprzyjemnego smaku, bo wyrwawszy się po tej operacyi Wanda, biegała jak szalona po pokoju, nie zapomniawszy i o mojej kanapie — parskała, chrząkała, tarzając się po podłodze.

— Tryfon, uważasz, co ona się tak pieni, hę? — pyta po chwili obwiązując palec ręcznikiem.

— Musiała się wściec — odzywa się ze swego łóżka Wróblewicz.

Pan Feliks, wzruszywszy litośnie ramionami, zdawał się lekceważyć zrazu tę uwagę towarzysza,

lecz sapiąc i stękając wyprawił sukę z Tryfonem do sieni, a sam położył się w łóżko.

Upłynęło może dziesięć minut. Wanda zaczęła się już uspokajać, pan Feliks zagasił świecę, a mnie już skleiły się do snu powieki, gdy znów słyszę:

— Jasiu, Jasiu — ale już błagalno-płaczliwym głosem — mnie rana straszliwie pali.

— Dajże mi pokój na miłość Boską i pozwól spać... czy cię licho dziś podleciało?

Argument ten skutkował na chwilę, lecz znów niedługo słyszę przewracającego się na swem łożu, sapie i wzdycha, że ani sposób usnąć...

— Jasiu, tyś widział tego pieska u Zagonowskiego? uważasz jak on to wygląda... pienił się, hę!... Słuchajno, może Wanda hę?... a jak pali...

— A żeby cię raz spaliło...

— Nuż ona się wściekła... słyszysz, wyje... Jasiu, jakeś mój przyjaciel biegnij po doktora... Jasiu — woła już patetyczniej — ja umieram!...

— Co panu jest? — zawołam przybiegając do niego.

— Ratuj, kto jesteś?... kołdra w szafie na dole... bierz a ratuj... Patrz, ręka puchnie...

— Tak, tak, wypalić!.. zaraz wypalić!... wypalić...

Zawołałem znów biednego Tryfona, roznieciliśmy ogień w piecu, p. Feliks obnażoną po łokieć ręką naglił, aby prędzej ogrzewać pogrzebacz, i mimo opozyci z mej strony, z odwagą bohatera

przyłożywszy czerwony koniec żelaza do rany — zemdlał...

Na mój krzyk zerwał się przecież Wróblewicz, zaczęliśmy go cucić, a gdy trochę przyszedł do siebie, z wielką forsą wpakowaliśmy go do łóżka.

— Czy to uratuje, hę? — pyta z desperacyą.

— Niezawodnie, trzeba tylko, żebyś się pan spocił...

— Eliksir, dajcie eliksir. Jasiu, trzeba wypić kieliszek.

Z tej samej butelki, z której leczył Wandę, napił się jeden kieliszek, za godzinę wypił drugi, lecz nie zasnął już i nam nie dał zasnąć do samego rana, ale stękał miarowo, jak człowiek wyglądający ostatniej godziny.

Od siódmej godziny do chwili wyjazdu, podczas gdy pan Feliks okryty futrem jeszcze pocił się nie śmiejąc nosa pokazać, guberski sekretarz załatwiał sprawy urzędowe z różnymi klientami, którzy z pokorną miną podpierali ściany domostwa.

Nareszcie zajechała bryczka pocztowa tej samej konstrukcyi i urządzenia co wczorajsza furmanka... Guberski sekretarz jak bomba wpadł od razu z wymyślaniami na biednego starostę pocztowego.

— Z nimi inaczej nie można, tylko z góry — szepnie pan Jan, przywdziewając urzędową czapkę

z czerwonym lampasem i gwiazdką. — Jak nie sobaczysz, to za nic cię nie mają!

Pocący się pan Feliks z pod kołdry tylko mrugnął mi oczami na pożegnanie, bał się albowiem ruszyć, aby nie przeszkadzać potom.

Zrobiło mi się żal tego umierającego biedaka, więc przyprowadziwszy mu do łóżka już wesołą i zdrową Wandę, starałem się go przekonać, że nie może być podejrzaną o wściekliznę...

— Do dziewiątego dnia panie, do dziewiątego, a przytem rana na palcu.

— Posmarować niesolonem masłem i zgoi się...

— Dobrze panu tak mówić skoroś zdrów, ale żebyś tak cierpiał jak ja...

Nie sposób było przekonać go, że nie jest obłożnie chorym, więc ruszyliśmy w drogę, rozpoczynając znowu krajanie ulicznego błota.

Pan Wróblewicz zaopatrzony w strzelbę i wszystkie przybory myśliwskie, bez których się nie puszczał w drogę, silił się ciągle na uprzyjemnianie mi podróży. Opowiadał więc z niezmierną werwą o swoich tryumfach u mirowego, a nawet w zjezdzie..

— Co oni wiedzą panie — rzecze oglądając się instynktownie, czy kto nie slucha — to osły, kompletne osły. Ja panie wszystkie kasacyonne *reszenija* znam na wylot, i wystaw sobie żądają odemnie jakiegoś egzaminu!... Co, ja miałbym się

tak poniżać i przed niemi jak żak jaki zdawać egzamen? Dałem sobie słowo, że nie będę się prosił o pozwolenie bronienia spraw, i taki nie będę. Biorę ogólną plenipotencyę od każdego klienta i co mi zrobią!?

Nie znając zupełnie urządzeń tamtejszego sądownictwa, nie mogłem zaprzeczać mówiącemu, lecz z całego opowiadania czułem posuniętą blagę do ostateczności. Zachęcony mojem potakiwaniem guberski sekretarz, cytował mi artykuły za artykułami rozmaitych przepisów prawa, a powtarzając swoje obrony, jakie miał wobec towarzysza prokuratora, rzucał się na bryczce, machał rękami, i szarpał mój guzik od paltota, wyobrażając sobie zapewne, że ja jestem tym prokuratorem.

— Ja go panie zjeździłem, to on mię popamięta! Wystaw sobie pan, przyszedł na posiedzenie bez munduru. On mówi do sędziego: „zapisać w protokół“, a ja panie pytam: pozwolicie zapytać się, kto wy taki?

— Towarzysz prokuratora — odpowiada.

— A gdzie wasz mundur, wy tylko prywatna osoba! — i wyjmuję panie *Swod* urządzeń o mirowych zjazdach i rżnę mu...

Lecz właśnie w tej chwili, kiedy miał rżnąć owemu towarzyszowi prokuratora, porządny placek błota odrzucony kopytem lejcowego konia zamalował mu całe usta.

— Jak ty jedziesz pogański synu! — krzyknie szarpiąc za kołnierz pocztyliona, a przytem plując i sapiąc z oburzenia.

— To już taka natura tego srokacza, proszę pana, że wyrzuca kopytami.

— Siadaj tu, niech wali na ciebie — mówi przesuwając z mej strony przed siebie woźnicę. Zaraz na stacyi rozpiszę się w *żałobnej książce* (księdze zażaleń). Ach, ja jemu dam za takiego konia, to prosty rozbój...

Nim zdążył wyczyścić sobie twarz z naleciałego błota, zapomniał o prokuratorze i komentarzach Domaszewskiego, a tymczasem inna okoliczność zwróciła jego uwagę. Spuszczaliśmy się z góry, ma się rozumieć powoli; tamtejsze poczty tylko pod górę pędzą galopa Otóż przy samym dole stała jakaś zagrzęzła w błocie poczwórna kareta, której w żaden sposób pocztowe konie do góry wywindować nie mogły. W karecie siedziały przestraszone dwie kobiety, a jakiś stary w białej czapce, widocznie dymisyonowany generał, wysiadłszy w błoto, rzucał się i krzyczał na pocztyliona, który nie mogąc ruszyć karety naprzód, zdecydował się ściągnąć ją na dół. Przywiązawszy zatem sztelwagę z tyłu karety do osi, smagał konie i wśród krzyku kobiet, tak, rakiem, rejterował napowrót.

— Możeby im pomódz, co? — odzywam się do guberskiego sekretarza.

— Jedź wolno — rzecze do naszego woźnicy, gdyśmy mijali karetę, a podniósłszy się z siedzenia, zdjął czapkę z uszanowaniem przed generałem...

— Wolno zapytać was o jedną rzecz? — przemówił z powagą.

— Pytajcie — odrzekł tenże, podnosząc wzrok na naszą bryczkę.

— U was widocznie jest podorożna tam i napowrót... skoro tak jedziecie...

Jak oparzony skoczył z laską zaczerwieniony starowina, i kto wie, czyby się co nie dostało zresztą guberskiemu sekretarzowi za takie dowcipy, gdyby nasz woźnica nie zaciął koni. Dolatywały nas różne przekleństwa tego pana i energiczne potrząsanie laską, które bawiło wielce mojego towarzysza.

Na drugiej stacyi zatrzymaliśmy się przed restauracyą na obiad. Mój Wróblewicz okazał się również mistrzem w dyspozycyi jedzenia, a tak grymaśnym, że oberżysta był przekonany, iż ma do czynienia przynajmniej z urzędnikiem do szczególnych poruczeń z biura jenerał-gubernatora, jeżeli nie z samym wice-gubernatorem.

— Kawa musi być bez cykoryi, a tak klarowna, żeby przez szklankę można na książce czytać, pojmujesz? A befsztyku mi nie bić wałkiem, tylko

ukrajać gruby zraz polędwicy, podsmażyć na oliwie, rozumiesz, aby był ze krwią... Kartofelki znów na surowo pokrajać w drobne talarki i rzucać na masło, aby się wydęły... no pojmujesz...

Oberżysta nie mógł pojąć, więc sprowadzono kucharza do sali, któremu jakby łopatą kładł wszystko do głowy pan Wróblewicz.

W tejże samej sali, przy drugim stoliku, siedziało dwóch mężczyzn, widocznie obywateli ziemskich z okolicy, którzy popijając angielski porter, prowadzili dość żywą rozmowę. Nie mam zwyczaju przysłuchiwania się cudzym dysputom, lecz ta zwróciła szczególniejszą moją uwagę.

— Ja panie dziu — mówi jeden cygańskiego oblicza już siwiejący — zwyczajnie puszczam skrudło...

— A ja — rzecze drugi — dwa razy *sapię*...

— To zanadto mocium dziu.

— Sapania nigdy zanadto! Krzyczą na mnie, że jestem marnotrawca, a ja nic nie słucham tylko sapię raz, sapię drugi raz, a jak trzeba to i trzeci... Pasyami mówię sąsiadowi lubię sapać...

Nie śmiałem zaczepić tego pana, dlaczego on tak lubi sapać i jaką mu to może robić satysfakcyę. Myślę sobie — szczególniejsze amatorstwo...

— Powiedz mi pan — rzeknę do Wróblewicza po skończonej naradzie z kucharzem — dlaczego

ci panowie tak lubią sapać? Uważaj pan, ciągle tylko mówią o sapaniu.

— To jacyś plantatorowie buraków do fabryki cukru.

— Więc dlaczegoż tak sapią?

— No, buraki sapią.

— Nie rozumiem...

— Jużciż sami nie sapią, ale najmują ludzi. — A widząc że robię naiwną minę, dodaje: — Najmują ludzi z sapami jak buraki podrosną, i ci sapią...

— A, a, a, to okopują — odzywam się po chwili.

— U nas panie to nazywa się sapaniem, a narzędzia do tego używane jak równie do kopania kartofli sapami. A pan co myślałeś?

— Myślałem, że sapią nosami jak podczas kataru.

Uśmiał się sekretarz z mojej naiwności, a że przyniesiono ów befsztyk, a kartofle nie były wydęte, nagniewał się, narzucał, lecz zjadł, a mnie kazał zapłacić rachunek.

— Policzymy się, proszę niech pan sobie zanotuje.

Byłem tyle naiwny, żem skrupulatnie zapisał wszystkie dotychczasowe wydatki na pocztę, trynkgelty i inne, które mi z całą dokładnością podyktował pan sekretarz. Pieniędzy wprawdzie nie oglądałem nigdy, pan Wróblewicz przy pożegnaniu przyznał, że mi winien, i że z wielką przy-

jemnością zwróci mi dług, jak będę powracał do Warszawy. Za to strzelaliśmy całą drogę z prawdziwej Lebedówki do siedzących po dębach kawek, ja nawet miałem to szczęście jedną trafić w oko, bo zerwała się nagle i nie poleciała na bok, lecz wzbiła się po nad głowy nasze bardzo wysoko.

Zabrawszy moją *podorożną*, opłaconą już do samego miasta gubernialnego, pożegnał się ze mną pan Wróblewicz jakby z najserdeczniejszym przyjacielem swoim, dopomógł mi nająć furmankę na trakt boczny, pożyczywszy w dodatku paczkę papierosów i dwa ruble drobnemi, a przesyłając już z bryczki całusa ręką, zaklinał na wszystko, abym z powrotem bez ceremonii do niego na nocleg zajechał.

II.

Dom pana Aleksandra.

Dwie obłożone, jak to mówią, mile, trzeba było jechać do rezydencyi kuzyna mego p. Aleksandra. Najęty furman tyle znał drogę co i ja, więc w każdej wiosce, przy każdym zakręcie musieliśmy się rozpytywać ludzi, którzy znów najdalej znają kierunek o mile od swojej wsi. Z tego powodu, owe dwie milę od godziny drugiej jechaliśmy do samego zmroku, nim zobaczyliśmy Bielinkowce, dużą wieś podolską, rozłożoną na pochyłości wzgórza po nad obszernym stawem. Bielinkowce nie były wyłączną własnością pana Aleksandra, miał on ich jedną część największą z obszernym domem, dominującym na wzgórzu po nad stawem, do którego aby się dostać, trzeba było jak kiedyś w Babilonie tyle się nakręcić po ulicach wioski, że przynajmniej cztery razy widziało się i traciło z oczu pałac bielinkowiecki.

Na drugim załomie góry stała cerkiew z pięcioma na zielono pomalowanemi kopułami, obok karczma z tradycyonalnem podniesieniem, jak obecnie otoczona wieńcem miejscowej ludności, z której najodważniejsza część leżała w błocie, zawodząc smętne dumki, głosem więcej zbliżonym do wycia, niż ludzkiego śpiewu. Żyd arendarz co chwila robił między nimi porządek sanitarny, rozkazując nie tak pijanym ściągać leżących z drogi pod wystawę, a małe chłopaki niby obcierając zabłocone twarze poległych, smarowali je kompletnie na czarno.

Minąwszy cerkiew, minąwszy jeszcze jakiś dwór z czterema kolosalnymi filarami, zakręciliśmy na lewo, znowu na prawo, potem wspinając się na stromą górę, ujrzeliśmy ów pałac z przybudowaną niby wieżą, na której szczycie osadzona była wielkich rozmiarów na różowo pomalowana chorągiewka z blachy, imitująca kształtem pośladek cielęciny.

Nie zważając na moją twarz zabłoconą, pan Aleksander przyjął mię z nadzwyczajną czułością, całując i ściskając tak serdecznie, że zdaje mi się całusy jego sięgały mi łopatek na plecach.

— Kochanego, drogiego, poczciwego pana Ignacego witamy na naszej ziemi!... Serce moje, z tą zabryzganą twarzą wyglądasz jak prawdziwy Podolak.

Pana Aleksandra widziałem raz w życiu, w domu podówczas żyjących rodziców w Warszawie, a mianowicie kiedy odwoził syna Mikołaja na edukacyę. Pamiętałem go tyle, że chodził po wszystkich kościołach i że skórzany pas do młocarni targowaliśmy w sześciu sklepach a w żadnym nie kupili. Dziś pan Aleksander wygląda jeszcze dobrze, choć ma około lat sześćdziesięciu, twarz wygolona, cera śniada, oczy duże czarne, a ubiór cały zapięty pod samą szyję i długiego kroju, na pierwszy rzut oka sprawia wrażenie jakby się widziało księdza, lub przynajmniej wiejskiego, naśladującego proboszcza organistę. Głos też jego i cały sposób mówienia ma w sobie coś rzewnie biblijnego, coś tak szczerze ujmującego, powiedziałbym lirycznego, że przynajmniej co do mnie, byłem zachwycony przyjęciem.

— Duszko Balbinko, spojrzyj, jak Ignaś wyrósł na pięknego mężczyznę — zawołał przedstawiając mię po umyciu swej żonie.

Pani Balbina, przyłożywszy złotą lornetkę do oczu, podała mi z wdziękiem nadzwyczaj delikatną rękę na powitanie, powtarzając: „Rzeczywiście, rzeczywiście... bardzo...“ choć pierwszy raz w życiu oglądała moją figurę.

Każdy człowiek ma zawsze sporą dozę miłości własnej, co się tyczy swej powierzchowności, a brzydkiego oblicza mają jej więcej niż inni.

Tak też i mnie liczącego się do kategoryi drugiej, nadzwyczaj ujęła ta opinia państwa Aleksandrostwa, a choć spojrzawszy w zwierciadło ujrzałem mnóstwo piegów na twarzy i formalnie czerwoną brodę przy czarnych włosach, to mimo woli pokręciłem wąsa myśląc, że jakoś to nie muszę być tak bardzo brzydkim, jeżeli tego inni ludzie nie widzą.

Pani Aleksandrowa, mówiąc bez obmowy, była nadzwyczaj szczupłą a wysoką osobą, istny szkielet kobiety, ważący najwyżej trzydzieści funtów: dlatego też szła zawsze jakby miała upaść na twarz z braku siły lub przydeptania sukni — mówiła żywo, na sposób indyczego gulgotania i to zawsze pytającym sposobem: „prawda panie?“

Przy herbacie poznałem i trzy córki gospodarstwa: Kicię, Micię i Typcię, to jest Konstancyę, Michalinę i Justynę. Pani Kicia zamężna baronowa von Schmidt-Müller jest bardzo efektowną, młodą jeszcze osobą. Wysoka, brunetka, z mglisto-zapłakanem spojrzeniem i sporą dozą milczącego sentymentalizmu, w całej równie wiotkiej i równie jak matka upadającej naprzód postawie. Dwie duże złote kule z trzema mniejszemi kulkami do każdej przyczepionemi, wiszą jej w uszach, złota strzała we włosach, złota brosza również z kulkami, złoty łańcuch na szyi ze złotym zegarkiem u pasa, a na palcach również złote szerokie pierścienie. Przyznam, ta żółto błyszcząca baronowa

ogromnie mi zaimponowała tem złotem: dziwiło mię tylko, że matka natura spłatała jej kompletnie niebaronowskiego figla, umieszczając na końcu nosa dużą czerwoną brodawkę, którą z początku wziąłem za nieobtartą kroplę malinowego soku. Aż mi się niedobrze zrobiło, żem nie mógł podać jej chustki do otarcia — nie śmiałem tylko, i dobrzem uczynił, bo rzeczywiście była to rzecz nie do obtarcia.

Pani baronowa mówiła mało i niestety przez nos jakby w katarze, śmiała się bardzo oględnie, bo śmiejąc się pokazywała dość brzydkie zęby, a co gorsza całe prawie górne i dolne dziąsła. Za to wiele mówiła oczami, szczególniej gdy zjawił się Lowelas tamtejszej okolicy, zawołany tancerz pan Kazimierz.

Niestety, wobec tak dystyngowanej powierzchowności pani Kici i baronowskiego tytułu, pan baron był tylko posesorem wioski o kilka mil od Bielinkowiec odległej, „ale dlatego tylko — dodawała zawsze pani Aleksandrowa — że nie wolno mu kupić własności“.

— Baronowa — mówi matka — prawie zawsze bawi u nas. Trzeba panu wiedzieć, chociaż to moja córka, ale wysoko wykształcona osoba i w tamtej okolicy nie znajduje odpowiedniego towarzystwa; gra i śpiewa jak artysta. Ale że baron, dla przeszkód komorowych, nie sprowadził jej

dotąd swojego instrumentu, a Kicia nie może się obejść bez niego, więc nie śpieszy do domu.

Druga córka, panna Micia, nie wielkiego wzrostu, fertyczna, z fijołkowemi oczami, wcale ładna, choć może nieco krępa dziewczyna, gospodarowała przy herbacie. Mogła mieć lat dwadzieścia dwa lub trzy, a miała mieć dziesięć tysięcy rubli posagu, jak mi to niechcący powtarzał pan Aleksander w dobrej komitywie. Z Micią prędkośmy zabrali znajomość przy nalewaniu szklanek herbaty, co widziałem nie bardzo podobało się mamie i drugiej siostrze Typci, jak ją nazywał ojciec, „pięknej cyganeczce“.

Otóż ta piękna cyganeczka rzeczywiście miała płeć cygańską, oczy cyganki prócz rysów cygańskich, które podobnie jak papy były grube, pałkowate, z dużemi mięsistemi wargami na szerokiej twarzy. Typcia jest sobie prawdziwą śmiejącą się Galateą, długo myślałem, że głucho-niema, rozmowa z nią idzie trudniej niż z kamienia, za to śmieje się bardzo ładnie, pokazując dwa rzędy w istocie bardzo pięknych zębów. W uszach zamiast bombelków ma trójkąciki złote, we włosach ponsową aksamitkę, pod szyją również czerwoną jak płomień kokardę, sukienkę wreszcie zapiętą pod szyję, gdy przeciwnie u Mici zostawiony był mały, wiele obiecujący kwadracik na piersiach.

Obie panny jeszcze dotąd nie skończyły edukacyi, uczyły się właśnie po niemiecku i salonowego śpiewu od sprowadzonej z rasztadzkiego konserwatoryum Niemkini Szarloty, bardzo wybladłej i podstarzałej panienki, której osobliwsza wymowa polskich wyrazów dawała powód po prawdziwej uciechy okolicznej młodzieży.

Nie pamiętam, abym kiedy w życiu był tak najedzony, jak tego wieczora. Podolskiej kuchni nie można odmówić zachęcających przymiotów, a gdy jeszcze kto jest tak roztargnionym jak ja, i bierze trzy razy jedną potrawę, skoro mu ją usłużny Kiryło podstawia, to nic dziwnego, że po kolacyi trudno mu wstać z krzesła.

— Zaśpiewaj nam co Kiciu — zaproponowała pani domu. — Cirl (miało to znaczyć Kiryłło) — rzecze do posługującego w bawełnianych rękawiczkach faceta — przygotuj instrument.

Jakkolwiek wypiłem kilka kieliszków madery, to jednak przypomniałem sobie o instrumencie, i nabrawszy odwagi zapytałem gospodarza:

— Proszę pana, co to za instrument ma on przygotować?

— Serce moje, to *Royal.*

Masz tobie, tyle wiem co wprzód — pomyślałem, lecz udawszy, że rozumiem, sunę za innemi do salonu, i zobaczywszy panią baronową

przy fortepianie, domyśliłem się znaczenia owego instrumentu i *royala*.

Śpiew pani baronowej byłby może nie zły, gdyby nie usłużność moja, z jaką ofiarowałem się jej do przewracania nut na pulpicie, co znów było powodem obserwacyi owej brodawki na nosie. Prawda, że madera szumiała mi trochę w głowie, lecz gdym zobaczył, jak przy otwieraniu ust pani baronowej ta kropla malinowego soku robiła pocieszne ewolucye, taki mię śmiech opanował właśnie przy prowadzeniu Normy na stos całopalny, że pani Balbina zrobiła ogromnego marsa, kierując na mnie swój wzrok przez lornetkę.

— Czy pan Ignacy nie zna „Normy“?

— Owszem, słyszałem kilka razy...

— Ale po włosku pan Ignacy nie słyszał śpiewanej? bo właśnie ta scena, którą baronowa śpiewała, jest jedna z najrzewniejszych.

Szczęściem, że baronowa wstała od fortepianu i malinowa kropla wróciła na zwykłe stanowisko, więc zdusiwszy śmiech w sobie, wykręciłem się jakoś przyznawszy, że nie mam muzykalnego ucha.

Po baronowej siadła panna Szarlota do akompaniamentu, a Typcia stanęła za krzesłem, z poleceniem odśpiewania „Czat“ Moniuszki. Typcia, jakkolwiek bardzo zgrabnie otwierała wiszniowe usteczka i klasycznie pokazywała białe swe ząbki, to za to nie miała wcale głosu. Słabe jakieś i

przytłumione dźwięki, w towarzystwie częstego pochrząkiwania, wydobywały się z jej piersi, i to jeszcze tak monotonnie, jakby kto grał na dziadowskiej lirze. Przemęczyła jednak całą balladę z opuszczeniem strofy, gdzie mowa o ściskaniu kolan wojewodziny.

— Jeżeli „Normy“ nie znam, to „Czaty“ Mickiewicza pamiętam doskonale — odzywam się do pani Aleksandrowej — a panna Justyna opuściła najmelodyjniejszą strofę, gdzie to kochanek klęcząc przed żoną wojewody, mówi...

— Pst!... — zawoła pani, zatykając mi zręcznie usta swą ręką i odciągając ku stojącej z daleka kozetce. — Jak można tak przy młodych panienkach mówić... a pfe, panie Ignacy.

— Nie widzę w tem nic złego, skoro Mickiewicz tak napisał...

— On pisał dla starszych niż moje dziewczęta, a zresztą jak wiesz, pochodził z drobnej litewskiej szlachty, nie odznaczającej się dobrym tonem... U nas na Podolu panienki wychowujemy bardzo skromnie... żadnych takich rzeczy lub dwuznaczników nie usłyszysz w podolskich domach... Broń Boże, pamiętaj o tem... To takie niewinne, takie jeszcze młode...

Postanowiłem sobie pamiętać o tem, lecz co się tyczy tej wiejskiej młodości panienek, nie mo-

głem się z nią oswoić, wiedząc że Typcia już rok temu jak skończyła dwudziestkę...

Nareszcie koło jedenastej w nocy przetrąciliśmy sobie jeszcze z panem Aleksandrem po dobrym kieliszeczku prawdziwej starki, zjedli jeden talerzyk również starej mołdawskiej bryndzy, drugi półgęsków wędzonych, a oddawszy „dobranoc“ damom, puściłem się do oficyny, w której mię po przyjeździe ulokowano. Z kredensowego pokoju otwarłszy drzwi, stąpam śmiało do znanej mi już bocznej sieni, wiodącej na dziedziniec. W sionce było ciemno, lecz pamiętając gdzie są drzwi, idę śmiało naprzód. Naraz czuję pod nogami słomę, której przedtem nie było, lecz nie zważając na to i sądząc, że ją łatwo przejdę, stąpam żywo, choć czuję, że brnę coraz głębiej. Z szumem tej słomy zaczynam się gramolić w kierunku drzwi od podwórza, podnoszę nogę, aby odszukać wolne miejsce, tymczasem słomy coraz to więcej, a że była lekko nałożona, więc już po samą głowę jestem w niej utopiony. Co to jest? — myślę sobie wśród szumu starki — czym zbłądził, czym wlazł do jakiejś szopy?... ale koniec końcem znalazłem się w dość głupiem położeniu. Zwracam się napowrót — znowu słoma; skręcam na prawo — również słoma, a co podniosę nogę i stąpnę — wpadam jeszcze głębiej.

Upłynęło może kwadrans owej walki ze słomą, a widząc, że niepodobna mi się z tej pułapki wydobyć, zaczynam krząkać głośno, nadstawiając ucha czy kto nie usłyszy. — Nic — cisza zupełna. Nie ma co, trzeba wołać o pomoc.

— Hej, jest tam kto? — odzywam się głośno.

Żadnej odpowiedzi.

— Jest tam kto? — powtarzam już donośniej jak owe *Salvum fac* na procesyi.

I to bez skutku.

— Ratunku! — krzyknę na całe gardło, pomyślawszy, że przyjdzie mi tu całą noc przesiedzieć.

Dopiero na taki krzyk boleści, słyszę przez ścianę jakiś szelest, jakiś ruch, bieganinę, nawoływania — lecz nikt nie przychodził z pomocą... Nareszcie gdy moje wzywania powtarzam, rozlega się skrzyp klucza gdzieś niedaleko odemnie i widzę przez słomę, blady odblask światła.

— Kto tu? — pyta drżącym głosem pan Aleksander.

— Ja, proszę mię wydobyć z tej słomy.

— Serce Olesiu, ani mi się waż!

— Tateczku, tato... nie idź...

— Ale dajcież mi pokój — ofuknie pan Aleksander — mam przecie rewolwer.

— Strzelaj serce, strzelaj! to złodziej, ani chybi zakradł się do sieni — dogaduje pani Balbina.

— Ależ to ja, Ignacy, który dziś przyjechałem... nie strzelaj pan! — krzyknę przestraszony.

— Kłamie tateczku! — wołają panny.

— Cichoż bądźcie... to ty Ignasiu?

— Ależ ja, wyszedłem z kredensowego pokoju, aby pójść do oficyny, i wpadłem w tę słomę, z której nie mogę się wydobyć.

Dopieroż śmiech, dopieroż ja zaczynam się gramolić z szumem ku owemu światłu, aż nareszcie cały oblepiony słomą wpadam do panieńskiego pokoju, a panny kładą się od chichotania, a pani kieruje na mnie lornetkę.

Wytłómaczono mi wkrótce cały wypadek:

— Widzisz serce, u nas pali się słomą w piecach i zawsze na doduiu stróż *nałagodzi* sobie słomy z toku... Ale gdzież ta *skotina* Kiryłło, czemu cię nie uprzedził?

Nie można było inaczej dostać się teraz do ganku jak przez sypialnię panien; pani była ogromnie zgorszona tą okolicznością, a nie mogąc mi tak zawiązać oczu jak się to robi parlamentarzowi wojskowemu, sztucznie rozszerzoną osobą swoją zasłaniała rozebrane łóżka panien i inne przedmioty, o których nieżonaty mężczyzna nie powinien mieć wyobrażenia.

Ciężko byłem zmartwiony tym wypadkiem, szczególniej zaś dotknął mię serdeczny, do łez prawie, śmiech Mici, która bądź co bądź przy-

jemną była panienką. Fatalna sprawa dla warszawskiego kawalera — myślałem, kładąc się na wygodnie usłanem łóżku nieobecnego pana Mikołaja i gniewałem się i wreszcie śmiałem, przypomniawszy jak oblepiony słomą wyłaziłem z tej przeklętej topieli.

Okiennice były zamknięte w pokoju, ja znużony, więc musiałem spać długo, bo gdym się obudził i spojrzał na zegarek, była jedenasta. Chciałem się już zerwać z łóżka, gdy patrzę, otwierają się pocichutku drzwi z sieni do drugiego pokoju, a w nich pokazuje się w białym negliżyku znajoma główka pięknej cyganeczki. Udałem śpiącego, panna zawahała się czy wejść lub nie wejść, przymknęła drzwi napowrót, lecz za chwilę weszła leciuchno na palcach, i wyjąwszy z pod rannego kaftanika jakiś zeszyt papieru, wcisnęła go między książki leżące na biurku brata, szybko frunąwszy napowrót do sieni.

Naturalnie, że nie miałem nic pilniejszego do roboty, jak wyjść z pokoju i zobaczyć podrzucony zeszyt. Czytam tytuł — nie ma wątpliwości — to ten dość tłusty romansik Koka panna Justyna odnosiła do biblioteki brata... Nie ma co mówić, mama najkompletniejszą ma racyę, że nie pozwala śpiewać owej strofki „Czat“, gdzie mowa o kochankach, panienki są samą niewinnością... wi-

działem, rumienią się jak wisznie, gdy ktoś nierozważny wymówi przy nich jakie śmielsze słówko.

Pierwszy poranek w domu obywatelskim zacząłem znów od jedzenia, które z pomocą Bożą kontynuowało się aż do północy. Pan Aleksander zajęty był interesami w swojej kancelaryi, więc bawiłem panie zajęte robotą siatek, opowiadając różne nowiny warszawskie, chwaląc operę włoską, opisując ostatnie mody i inne ploteczki wielkiego świata.

Ponieważ każdy dom obywatelski na Podolu musi zawsze mieć coś osobliwszego, czego inni nie mają, na pana Aleksandra przypadł w tym względzie dział artystyczny.

— Pójdź serce — rzecze biorąc mię pod rękę, pokażę ci moją galeryę. Początek to dopiero, ale sam przyznasz, niezgorszy.

W pokoju więc przylegającym do sali, wskazał na trzy wiszące na ścianach szeroko złocone ramy, w których miały się znajdować starej flamandzkiej szkoły arcydzieła.

— Uważasz Ignasiu, to jest oryginalny portret Marcina Lutra, to jest portret Rembrandta przez niego samego robiony, a to znów karczma flamandzka...

Niech mię licho porwie, jeżeli na tych wszystkich płótnach było co więcej widać jak koniec nosa Lutra, pióro od kapelusza Rembrandta, a na

trzecim jakieś białe, okrągłe naczynie, które miało przedstawiać księżyc.

— A to jest nieznanego malarza świątynia Apolina — rzecze, wskazując czwarty obraz nie tak zaczerniony, istny prototyp wszystkich kurtyn teatralnych, albo też kopię którejbądź z nich.

Podziwiałem milcząc te arcydzieła.

— Pójdźże do jadalnego pokoju, tam zobaczysz rzecz znajomą — spojrzyj na prawo... a co?

— Sobieski pod Wiedniem — odpowiadam, przejęty zgrozą tratowania koniem tylu potępieńców ubranych w białe burnusy.

— No jakże ci się zdaje serce? powiedz otwarcie...

— Wspaniałe, bardzo efektowne... tylko zdaje mi się, że król Jan ma z jednej strony twarz nabrzękłą...

— Ważne spostrzeżenie — rzecze pan Aleksander — może być, że król wtedy cierpiał na fluksyę... Niezawodnie tak było... w obozie pod namiotem łatwo się zaziębić. Ja, widzisz duszko moja, nie jestem Sobieskim, a niechno stanę ci na momencik przed otwartą furteczką okna, a zaraz ci spuchnę jak bomba... No, a teraz chodźno jeszcze do mojego gabinetu, a pokażę ci coś osobliwego, czegoś pewno jeszcze nie widział... Canova, oryginalny, prawdziwy Canova... Patrz i podziwiaj! — kończy otwierając kątową szafkę, w której na kamiennym postumencie, niby tań-

cując kozaka drobnemi koziemi kopytkami — stało jakieś straszydło z rożkami na głowie.

— Co to ma być? — pytam zgorszony.

— Faun, no Faun leśny! Ale dotknij... marmur prawdziwy kararyjski i patrz tu na podstawie: „Canova“, co, nie Canova? Dziwisz się zkąd u mnie? Otóż powiem ci pod sekretem... ze zbiorów po Szczęsnym Potockim, jak honor kocham...

— Ale dlaczegoż pan chowasz to arcydzieło? — mówię zdziwiony ową szafką.

— At chciałeś! Balbina ani chce słyszeć aby go postawić w salonie. Kto ma młode panienki, nie może. Myślałem już nieraz, czyby tak jakoś... uważasz... ale ta dzisiejsza młodzież tak ciekawa, więc trudna rada, muszę go więzić... Oto masz serce nasze osobliwości; prawda, że nie trzeba się wstydzić za nie i przyznaj, że nie jesteśmy tu tak zacofani jak wam się zdaje w Warszawie? W każdym szlacheckim domu coś znajdziesz w tym rodzaju osobliwego: ten lubi konie, ten broń, ten stare medale i wykopaliska, inny gromadzi książki, a ja serce to, na czem się znam — dokończył zamykając szafkę i chowając klucz do kieszeni.

Dopiero przed wieczorem dowiedziałem się, że dnia jutrzejszego przypadają urodziny pani domu, że spodziewają się licznego zjazdu gości, że będą i ładne panny, i tańce i muzyka z Laty-

czowa, po którą właśnie i na werbunek młodzieży pojechał Mikolcio.

— Nawet dwóch Galicyanów obiecało — dodaje pani, sadzając mię obok siebie na kozetce. Powiem ci pod sekretem, jeden z nich przepada za Typcią...

— To bardzo szczęśliwie...

— Ogromne ma powodzenie ta cyganeczka. Nasz niedaleki sąsiad, niejaki Bączkowski, młody, przystojny i bardzo porządny obywatel, szaleje, ale to formalnie szaleje za nią... i on będzie jutro... Aleksander jest bardzo za nim; wieś duża, tylko dwóch braci, chłopiec gospodarny, w tym roku kupił sobie nawet lokomobilię do młócenia... ale ona ani chce słyszeć.

— O tej lokomobili?

— Figlarz jesteś — rzecze uderzając mię poufale lornetką. — Wy młodzi to tylko gonicie za ładnemi twarzyczkami, a panny znowu szukają ładnych wąsików.

— Bardzo naturalnie...

— Przepraszam cię panie Ignacy, to jest źle; młodość prędko przechodzi — mówi westchnąwszy ciężko pani Balbina — a twarda rzeczywistość zostaje... Majątek zawsze daje wygody, no i znaczenie w świecie, prawda? Toż samo powtarzam ciągle Mikołajowi, i tobie się zda o tem pamiętać panie Ignacy... pilnuj się...

— Jakże Mikołaj? — pytam. — Uczniem będąc, obiecywał wiele, szkoda tylko, że nie skończył gimnazyum i uniwersytetu...

— Zapewne że szkoda, ale wysłaliśmy go za granicę, bawił tam przez dwa lata, był w Paryżu, był we Włoszech, w Szwajcaryi, w Monachium chodził do konserwatoryum przez pół roku.

— I zawsze taki romansowy? Przypominam sobie, jak się zakochał w siostrze profesora...

— Ciągneli go ci nikczemnicy. Wystaw sobie, płaciliśmy tysiąc rubli rocznie, żeby mieli nad nim opiekę, a on tymczasem nietylko że nic się nie uczył, ale jeszcze narobił długów. Powiem ci, że i teraz mam z nim biedę. Słuchaj panie Ignacy, bo cóż mam przed tobą jako kuzynem i życzliwym nam ukrywać...

Ucałowałem rączkę pani Balbiny za ten dowód zaufania.

— Znowu jakaś wdowa po aptekarzu zawróciła mu głowę w miasteczku. Ma być przystojna i mądra zalotnica... boję się o niego. Zmiłuj się, ty jako starszy powiedz mu przy sposobności słowa prawdy... My udajemy, że nic nie wiemy o tem, a tu proszę cię jest obok nas niemłoda wprawdzie, ale przystojna panienka, jedynaczka: dwie wsie — lasu dwa tysiące morgów... poznasz ją jutro...

— Widocznie tamta mu się lepiej podoba, a jeżeli porządna kobieta...

— Żeby była najporządniejsza! — przerywa mi żywo pani Balbina — zawsze to aptekarzowa. I ty sądzisz, że ja mogłabym mieć synowę, której mąż robił mikstury i pigułki... Fe, wstydź się panie Ignacy mówić coś podobnego, ty, syn mojej ciotecznej siostry?

Zacząłem się tłómaczyć jak mogłem, że świat dziś inaczej się zapatruje na stosunki towarzyskie, że różnice stanów znikają, że zdarzają się częste małżeństwa arystokracyi z córkami bankierów świeżego pochodzenia.

— A to co innego! i owszem, daj taką bankierównę z milionami naszemu Mikolciowi... i owszem, daj! Miliony mój kochany wiele rzeczy przykrywają, i urodzenie i brzydotę i garby... ale ta zalotnica z miasteczka ma tylko kopę słoików z maściami i jeszcze córkę po zmarłym mężu. Wierz mi, wyklęłabym takiego syna, wyrzekłabym się, i proszę cię, abyś mu to przy sposobności powtórzył, czy zgoda?

— Powiem, i owszem, skoro sobie pani tego życzysz...

Nad wieczorem przyjechał pan baron Gustaw von Schultz-Müller, w zielonej karecie z herbami, zaprzągniętej w czwórkę różnomaścistych koni. Dwa krzyczące dzwonki oznajmiły z daleka pana barona, a tuż za nim, jeden już dzwonek przyczepiony do dyszla krótkiego szarabanika, anon-

sował pana Leona Dymnickiego, przyjaciela wszystkich kobiet na Podolu, a szczególniejszego sługę pani Aleksandrowej.

Jeżeli moja fizyonomia wydawała mi się zawsze niepoczesną, to zobaczywszy pana barona nabrałem otuchy, że są jeszcze mizerniejsi odemnie mężczyźni na świecie. Mały, szczupły, żółty na twarzy i prawie bez czoła był pan baron, albowiem czarne włosy wyrastały mu nie wyżej jak w calowej od brwi odległości. Dodajmy do tego wzrok krótki, ztąd kukier na nosie i choroba migreny, z którą się przed wszystkimi produkował, a będziemy mieli wyobrażenie potomka znakomitego rodu z Meklemburga.

Mimo baronowskiej mitry, z którą się biedaczysko na wszystkich sprzętach, bieliźnie, kopertach, powozie, a nawet guzikach lokaja produkował, w oczach pani Aleskandrowej miał wartość tylko w stosunku trzech tysięcy rubli, bo tyle się jego majątku po ożenieniu pokazało. Na tym punkcie szanowna mama była stanowczo demokratką; pan baron ze swoim tytułem spóźnił się trochę na Podole; dawniej możeby co znaczył, ale dziś wobec porównania stanów przez ruble, ceniony był podług zasługi.

Ratował on się jeszcze jak mógł w opinii mamy spodziewaną sukcesyą w Hanowerze, po wygaśnięciu starszej linii baronów Schultz-Müller,

i w tym celu komunikował jej i znajomym różne obiegające o milionach tych pogłoski, jakieś gazeciarskie anonsy szukające potomków tej familii, lecz pani Aleksandrowa w duszy nie dawała im wiary, a tylko dla honoru Kici pozwalała na ich rozpowszechnianie.

Kicia, owa salonowa i dystyngowana Kicia, przekonawszy się, że jest ofiarą, widocznie lekceważyła barona, raz dlatego, że był tylko posesorem, że nie znał się na muzyce, że miał niepoczesną powierzchowność, a powtóre, że ciągle chorował.

— Co mi to za mąż taki — mówiła mi później w zaufaniu — taniec mu szkodzi, podróż szkodzi... fe... skrzypiące drzewo... nic więcej!

Jednakże w obec takich wielkości, baron musiał się przecież czemś odznaczać, czemś na łaskę mamy zasłużyć; więc jako znawca arystokratycznych zwyczajów, przyjął na siebie rolę marszalka, naprzód swego, potem pana Aleksandra domu, i wkrótce wglądając we wszystkie szczegóły zarządu, przemienił się, że tak powiem, w skobieconego mężczyznę. Pani baronowa nie wiedziała o niczem, a pan baron udając bardzo praktycznego człowieka, wydawał na obiad, dysponował praniem, mył i czesał dzieci, zaglądając kucharzowi do garnków. W ostatnich czasach napadła go mania posiadania rasowych koni, które wynajdywał po jarmar-

kach okolicznych, ogromnie uszczęśliwiony, że mu się udało jakiego handlarza oszukać.

— Spojrzyj pan na tego bułanka — rzecze prowadząc mię do okna natychmiast po wzajemnem przedstawieniu — to mi koń jakich mało: rasa czysto arabska, proszę się tylko przypatrzyć.

Przypatrzyłem się, a skutkiem tego nabrałem przekonania, że właśnie był to koń stepowy rossyjski. Licho mi tylko nadało zrobić uwagę, że ma nos garbaty...

— Panie, gdzie on ma nos taki? proszę, pójdźmy na dwór...

— Może mi się zdaje — odpowiedziałem spojrzawszy na moje lakierki, które mógłem zawalać błotem.

— A nie, tu zdawać się nie może, proszę, proszę — woła ciągnąc mię za rękę, aż do samego dyszla karety. — No gdzież tu garb jaki? spojrzyj pan, jak linia czoło idzie prosto na dół — mówi podnosząc do góry łeb konia. A nogi, co? a pierś?... to panie piec nie pierś... Słuchaj Jędrzeju, wyprzęgnij bułanka i wyprowadź go przed ganek, zobaczysz pan krzyż... to mi krzyż...

I nie zważając, że zimno już było na dworze, trzymał mię dobry kwadrans przed sienią, abym podziwiał ów krzyż i osadę ogona.

— Prawdziwa rasa poznaje się po tej osadzie zwyczajny koń nigdy panu nie będzie odsadzał...

— Darujesz panie baronie, lecz zziąbłem, wróćmy do pokoju.

— Andrzeju, przeprowadź go — woła na stangreta — daj mi bat! Żywiej, prędzej!... No, jak idzie! — mówi podcinając konia. — Arabczyk, czystej krwi arabczyk...

I pobiegł za owym koniem ku stajni, z czego korzystając, drapnąłem zziębnięty do salonu, gdzie zastałem nowego gościa.

— Poznajomię panów — rzecze pan Aleksander — mój kuzyn Ignacy Suchociński z Warszawy... pan Leon Dymnicki, nasz sąsiad i przyjaciel...

Słów parę o panu Leonie. Część pierwsza: nos czerwony wpadający w fiolet, policzki zapadnięte i różowe, półperuczka wyrudziała przy reszcie szpakowatych włosów — chustka na szyi w zielono-żółte paski, frak z długiemi a wązkiemi połami, postawa śmieszna, nogi w kolanach zgięte, jakby na resorach — oleju w głowie mało, albo nic.

Część druga: wioska zadłużona w posesyi u żyda, ruchomości na węgierskim wózku, zaprzężonym w cztery koniki, któremi rok cały odbywa peregrynacye od dworu do dworu, szukając sobie małżonki. Służy wszystkim paniom i pośredniczy przy kojarzeniu małżeństw, sprowadza kawalerów na tańcujące wieczory, a zażyłość jego z młodemi mężatkami dochodzi do tego punktu, że pełnoletnia

panna Melania, którą na jutrzejszym wieczorze poznają czytelnicy, powiedziała, że ksiądz, żyd i pan Leon to są nie mężczyźni.

Otóż ten pan Leon przywitał się nadzwyczaj lekceważąco i protekcyonalnie podając dwa palce, a że musiał zdać pani Aleksandrowej jakieś sekretne sprawozdanie z jakiejś zapewne tajemnej misyi — uważałem obecność moją w salonie za zbyteczną i cichaczem wysunąłem się do oficyny.

Niestety, w oficynie tej już nie znalazłem moich rzeczy na poprzedniem miejscu; z przyjazdem dystyngowańszych osób przeniesiono je do drugiego pokoju, sąsiadującego z jednej strony ze spiżarnią, a z drugiej z mieszkaniem jakiejś kaszlącej staruszki.

— A nie przywiózł pan baron bielizny dla dzieci? — pyta we drzwiach owa staruszka, robiąc z ręki daszek nad oczami. — Z Wilusia już majtki lecą, a Frycio tydzień chodzi w koszulinie i nie mam go w co przebrać... Wczoraj chodziłam do pani baronowej, żeby uprali albo co, a ona powiada: moja Pędzichowska, poczekajcie jak pan baron przyjedzie...

— Ja nie baron — mówię zbliżając się do staruszki.

— A któż to taki? — ja bo nie dowidzę, no któż to?

— Jestem z Warszawy...

— A, a, a, to ty mój sokolo Ignasiu — mówi z rozjaśnioną twarzą... Bieda mi ot że nie mam okularów... Dałam paniczykowi dwa srebrne ruble, żeby mi kupił w Kamieńcu, ale gdzie tam jemu stara baba w głowie... Obiecał, tyle że i obiecał... widzę tylko jakby przez mgłę jaką i to z rana... Pamiętasz mię też mój synku, pamiętasz Ignacku starą Gabryelę, co hę?

— Nie pamiętam — odrzeknę, przypatrując się maleńkiej i zgrzybiałej kobiecinie z zaczerwienionemi oczyma.

— Dziwna rzecz, że nie pamiętasz, a toć ja cię maleńkiem dzieckiem nosiłam na ręku? Nieboszczka twoja matka, bo słyszę umarla podobno...

— Już temu lat sześć...

— No proszę, taka młoda osoba, a umarła. Ileż też miała lat?

— Sześćdziesiąt dwa...

— No proszę, sześćdziesiąt dwa. A ja widzisz synku na świętego Gabryela skończyłam ośmdziesiąt i trzy i umrzeć nie mogę... Pókim widziała trochę przez te stare okulary, modliłam się na książce o śmierć prędką, a teraz choć mam cztery książki do nabożeństwa, to na żadnej nie widzę... już tylko z koronki odmawiam pacierze...

— Czy pani Pędzichowska znała moją matkę?

— Dobre jest, czy znałam? — rzecze śmiejąc się z politowaniem Pędzichowska — a toć przy

mnie się wychowała, ta śliczniutka Kostusia... Bywało, starsza pani, bo to chowała się u babki w tym oto starym dworze z filarami, musiałeś jechać koło niego, hę?

— Jechałem...

— Bywało, każe mi do dnia budzić Kostusię, bo to wtedy nie sypiali jeszcze ludzie do południa jak nasi teraz... Ja idę i termoszę panienkę... proszę wstawać, panienko wstawać... A ona mi się tak prosi, jeszcze minutkę moja Pędzichowska, jeszcze kwadransik... zwyczajnie jak młode... No to mówię, spijże sobie jeszcze... bo tak miłosiernie zawraca temi siwemi oczkami, tak molestuje...

— A ojca mego znała pani Pędzichowska?

— Hm... jakżebym też nie znała... on także lubił spać długo... Bywalo, zawsze w sobotę na noc przyjedzie z Kamieńca; śliczny był to mężczyzna i mówili, że już znaczny wtedy urzędnik, tylko cienki jak struna; bywało, w gubernii śmieją się z pana asesora, a i pani starsza mówiła, gdzie ten Suchociński ma brzuch... To jak przyjedzie, zaraz do mnie: moja Gabryelko, pożycz mi jakiego grubego ręcznika... A na co?... Widzisz, muszę się opasać, żeby grubiej wyglądać... I owijał się chudziaczek na koszulę... Ale cóżem ja to miała mówić?

— Jak lubił spać długo...

— A, a, prawda. Nieboszczka znowu pani starsza, to wstawała zimą i latem o piątej i zaraz kawa. Jak kto nie przyszedł, to nie dostał. Kostusia biedactwo już wtedy miała asumpt do niego, bywało prosi babci, posłać mu babuniu kawę... A babunia: nie serdeńko, niech tu przyjdzie, niech wstanie... A jakże tu wstać, kiedy mój chudziaczek przejechał na bryczce piętnaście mil jednego dnia. Ha, więc sobie radziliśmy i ja mu pokryjomu o ósmej przynosiłam kawę jeszcze lepszą... Za pozwoleniem, żyje też jeszcze pan asesor?

— Już dwa lata jak umarł w Warszawie.

— No proszę, już umarł, na co mu to przyszło — powtarza staruszka, — no proszę, niestary jeszcze człowiek... pamiętam go, chyba był młodszy odemnie... i umarł przed Kostusią.

— Ależ w cztery lata po matce...

— W cztery... no proszę...

Byłbym jeszcze długo gawędził z nawpół już zdziecinniałą Pędzichowską, bo jej rozmowa o najdroższych mi osobach mogła być dla mnie niewyczerpaną. Wobec tego żywego świadka młodości moich rodziców, o której mało co wiedziałem, zdawało mi się, że i ja się cofam w lata dzieciństwa i sięgam jeszcze po za urodzenie moje, i widzę tych dwoje młodych a zacnych ludzi w kwiecie ich wieku, pełnych życia, nadziei wzajemnej miłości, ludzi, którym później srogi los tyle zgo-

tował katuszy... I to jest dowód najoczywistszy, że jesteśmy dalszym ciągiem tylko żywota naszych rodziców, że to cofanie się wstecz, ta historya żywego słowa naszych poprzedników, jest potęgą, zdolną w danej chwili zelektryzować najzimniejsze nawet serce.

Przeraźliwy krzyk dziecka w drugim pokoju przerwał naszą gawędkę.

— Olaboga! — krzyknie staruszka — pewnie sobie coś Frycuś zrobił!

I pobiegła w tę stronę, a ja za nią. Wiluś, starszy baronowicz, lat może sześciu chłopczyna, ubrany w brudną koszulinę i majtki trzymające się na jednej szelce, siedział na oknie z batem w ręku wyglądając na dziedziniec, gdy młodszy Frycuś zasłoniwszy twarz rączętami, krzyczał w niebogłosy tacząjąc się po ziemi.

— Coś ty mu zrobił Wilusiu?

— A niech mi nie wydziera bata — mówi grubym głosem zasmolony i rozczochrany baronowicz, lecz zobaczywszy mnie, odwraca się natychmiast, wciskając głowę w kąt framugi okna.

Pokazało się, że ciął batem po twarzy Frycusia, ale tak mocno, aż sina pręga wyskoczyła mu na czoło.

— Skaranie Boskie mam z temi dziećmi — mówi staruszka — podnosząc z ziemi młodsze baroniątko i przykładając mu chustkę zmaczaną

w wodzie, ale na drugą stronę czoła, nie tam gdzie pręga. — Caluteńki dzień zostawiają mi tych chłopaków, a ja nie widzę co oni robią i mało się nie pozabijają... Ani to w co ubrać, ani czem zabawić...

— I niańki nie mają?

— Et, chciałeś pan... Sama matka nie zajrzy tu nigdy; już dwa tygodnie temu jak ich przywieźli, to dnia i godziny nie mam spokoju... Oj ciężki to ten kawałek chleba... gdyby nie Kiryło i panna Micia, tobyśmy z głodu pomarli...

Uspokoiliśmy Frycusia, próbując zabawić go zegarkiem, lecz przekonałem się niestety, że dzieci te były kompletnie zdziczałe, gorzej zaniedbane niż u najbiedniejszego żyda w miasteczku...

— A ojciec — pytam — babka, dziadek?

— Chciałeś synku, im tylko wielkie państwo i grosz w głowie... Pan baron może niezły człowiek, ale nim obie poniewierają... Mówiła mi Anusia pod sekretem, że ona w domu do niczego się nie wtrąci, tylko się wystroić i grać i śpiewać i gości bawić... On się i gniewa i prosi i molestuje, moja Kiciu, moja Kicieńko, moje serce, weź ty się do gospodarstwa... Słyszę klęczał przed nią... A ona: Czyż dlatego poszłam za barona, żeby być klucznicą?... I zabierze się i jedzie do matki i siedzi tu dwa, trzy miesiące, a w domu niech się robi co chce...

— A dziadek... nic na to?...

— Bóg ich tam święty wie, co oni... Pan Aleksander to słyszę jeździ wciąż za jakiemiś interesami. — Oj ma on też głowę do tego, ma... Z Bielnikowic wykurzył siostrę pani, co miała część, niby to kupił... niby wziął na spłatę... i od brata nabył drugą część... coś mu płaci podobno do śmierci, a on siedzi tam we dworku i poluje... Po nieboszczce Korduli, co się to utopiła w stawie, słyszę nabrali dużo grosza i srebra i powozy i konie... Aj mądra to główka u tego p. Aleksandra, bo to był dawniej w gubernii urzędnikiem... a łakome to a chciwe na grosz... Póki mogłam robić, to wszędzie Pędzichowska... a jak Pędzichowska do niczego, to nie ma dla niej kawałka chleba... ot żyję z łaski Kiryła... niechby to już i tak było, żeby mi choć chleb dawali lepszy... ale nie mam zębów i tego od czeladzi ugryźć nie mogę, a Pan Bóg nie chce zabrać...

Los chciał, żebym znów z drugiej strony od spiżarni usłyszał inną rozmowę pani Aleksandrowej z baronem... Pożegnawszy staruszkę, zapaliłem papierosa w swoim pokoju i położywszy się na jakimś pokrytym derką tapczanie, myślałem nad tem wszystkiem, co mi opowiadała Pędzichowska. Naraz przez cienką ścianę oddzielającą pokój od spiżarni, słyszę głos pani Aleksandrowej:

— I on wie żeś ty był w Latyczewie?

— Broń Boże: konie postawiłem u chłopa, a sam do Grunwalda...

— No i cóż?

— Zamówił muzykę i sam zaraz pojechał do niej... wczoraj siedział do dwunastej w aptece...

— Nikczemna kobieta; żebym była Potocką, kazałabym utopić jak tę Komorowską... straszne rzeczy... on gotów dziś nie przyjechać...

Wszedł widocznie kucharz do spiżarni, rozmowa weszła na inny przedmiot.

— Janie, masz tu żelatynę, pan baron przywiózł, pamiętaj, żeby galareta stanęła...

— Dlaczegóż nie ma stanąć, proszę jaśnie pani...

— Patrz Guciu, on już pijany...

— Żebym się z tego miejsca nie ruszył, jeżeli ja co miałem dziś w gębie, proszę jaśnie pani pułkownikowej...

— Patrz, jeszcze kłamie, a ledwo językiem obraca.

— Niech nie widzę jasności Bożej, proszę jaśnie pani pułko...

Nie dokończył frazesu, gdy usłyszałem jedno i drugie i trzecie klapnięcie, a potem jakiś łoskot upadającego na faski ciała.

— Ot *skatina!* — on jeszcze będzie gadał, że nie pijany — słyszę sapiący głos barona...

— Jak Boga ukrzyżowanego...

— Milcz ty szubieniczniku! — i znowu klaśnięcie i nowy łomot między beczkami.

— Poszedł won spać ty, ty!... a jeżeli jutro jedną kropelkę, rozumiesz, jedną kropelkę wypijesz, ubiję jak psa... jakem baron, daję ci najświętsze słowo honoru, ubiję!

— Ot kanalia! — mówi pani Aleksandrowa — i to są sługi, zobaczysz, jutro będzie toż samo...

— Niech mameczka będzie spokojną, ja przypilnuję od rana... Czy paszteciki będą ze ślimakami?

— Nie wiem jeszcze, może z móżdżkiem...

— A nie mameczko... u kuzyna mego w Meklemburgu jadłem ze ślimakami... to w dobrym tonie...

Po tej naradzie kulinarnej nastąpiła rozmowa na temat trochę odmienny.

— A cóż, Melanka będzie? — zapytała pani Aleksandrowa.

— Ledwie namówiłem matkę... mówi żałoba, Melanka nie zdrowa... ale jak zacząłem prosić, że nie potrzebują tańczyć, że to uroczystość familjna, a mameczka wie, jak ja chcę... to muszę zrobić wszystko... A niechże tego Iwana dyabli wezmą, tak mię ręka boli...

— Sokołowska z synem przyjedzie — mówił Leon — żeby tylko Micia chciała...

— On stara się o złożenie w banku swego majątku — mówi dalej pani — i Aleksander, żeby

miał ten spryt, toby tak jedno z drugiem mógł połączyć. Jak uważasz, Sokołowski, co?

— Doskonała partya, wieś duża, obdłużona trochę, ale się może wyrobić.

— Żeby tylko ten akcyzny nie przyjechał.

— Niech przyjedzie... proszę mameczki, można mu zrobić taką minę...

— Serce Guciu, w moim domu nie wypada... Co ja tej dziewczynie nie napersw aduję... że to nie dla niej partya jakiś urzędniczyna... że powinna dbać o honor domu, że szkodzi tem Typci...

— No i mnie...

— Mniejsza o ciebie.

— Przepraszam mameczkę, ale sukcesya w Niemczech prawie pewna. Właśnie wczoraj dowiedziałem się od naszego marszałka jeszcze o jednej nowości. Jakiś stary jegomosć jechał z nim do Odessy, a dowiedziawszy się kto on, rozpytywał czy nie ma gdzie w gubernii familii Schmidt-Müllerów, że właśnie proszony jest od swego krewnego z Pomeranii, aby mu tych szczegółów dostarczył...

— Facecye, mój Guciu...

— Daję mameczce słowo honoru, tak prawda... Ja już zbieram dokumenty, żeby mu przesłać, mam jego adres: hrabia Kopf...

— Dla Sokołowskiej — mówi nie zważając na gadaninę baron — pokój już przygotowany. Leoś

powiada, że ona synem kompletnie rządzi, a sama lubi wszelkie wygódki, i wtedy w dobrym humorze, kiedy się wyspi... Słuchajno Guciu, sztukę mięsa z pieca dać?

— Nie wypada; na wielkim obiedzie nie podają żadnej sztuki mięsa... A dyrektorowie?

— Będą z pewnością, jestem pewna, Aleksander przeprowadzi dla ciebie interes o tę ajenturę...

— Mameczko, czy to stosowne będzie dla mnie?

— Więc myślisz, że ciągle będziemy was utrzymywać, i że ty z tym głupim tytułem barona będziesz jeździł po jarmarkach i skupował kulawe konie... że będziesz grał w dyabełka?...

— Mameczko, niechno ta sukcesya...

— Jaśnie wielmożna pani — słychać płaczliwy głos kucharza — jeżeli ta galaretka jutro nie stanie, niech ja nie będę Wańko, niech ja będę pies ostatni...

— Chciałem ci jeszcze powiedzieć o tym z Warszawy...

— A pójdziesz ty spać pijanico! — krzyknie baron.

— Jeżeli ja pijanica, to bogdajem nigdy światłości Boskiej nie oglądał, proszę jaśnie wielmożnego tego... jak się nazywa...

— Milcz!

— Ja nie chwaląc się znam swoją rzecz... o! znam, nie powstydzę się i paszteciki tego...

indyk tego nadziany... oho farsz... głupstwo dla mnie farsz... ale jeszcze pan tego... jak się nazywa, mnie skrzywdził... ja pijany...

Harmider powstały znów przy wyrzucaniu kucharza nie dozwolił mi dosłyszeć informacyi o mojej osobie, a szkoda, człowiek najciekawszy jest wiedzieć, co też o nim mówią przyjaciele...

III.

Wieczór proszony.

Dzień ten dokołataliśmy jakoś szczęśliwie, chociaż nie bez pewnego umęczenia. Zbytnia gościnność i uprzejmość na wsi po większej części bywa nadzwyczaj uciążliwą dla stron obu... Nie znam nic nudniejszego na świecie, jak być bawionym od rana do nocy w wiejskim salonie, zwłaszcza w porze, gdzie na przechadzkę wyjść nie można... W ciągu parugodzinnej rozmowy, z obcymi ludźmi, wyczerpać można całą encyklopedyę znanych i nieznanych frazesów, przejść wszystkie literatury świata, wszystkie działy sztuk pięknych i niepięknych, a jeżeli nie można wprowadzić na plac sąsiadów i sąsiadek, to dalibóg ta zabawa z urzędu każdemu kością w gardle stanie. Szanowne czytelniczki ze wsi miejcie tę litość nad waszemi ofiarami, pozwólcie choć parę godzin dziennie od-

cząć swojemu gościowi — nie bawcie ich tak szczerze i nie każcie im drugich bawić.

Na drugi dzień, korzystając z przybywania innych zaproszonych na wieczór, schroniłem się do mego pokoiku, myśląc, że odpocznę trochę po tej dwudniowej pańszczyźnie salonowej, lecz i tu los kochany nie pozwolił korzystać z samotności. Prócz czubiących się baronowiczów w sąsiedztwie, a ztąd i gderań Pędzichowskiej, ulokowano w moim pokoju dwóch jeszcze dżentlemanów obywatelskich. Szczęściem, że jeden z nich nic nie gadał, lecz rozpakowawszy swoją podróżną walizę, jak usiadł od jedenastej godziny przed lustrem, to do samej czwartej po południu przystrajał swoją na angielski sposób przystrojoną facyatę z pomocą uzbrojonego w różne żelazka lokaja Oleksy...

I nie dziwię się powadze pana Stanisława; była to jedna osobistość w powiecie, znająca się z grubym w różno-kolorowe kartki pomalowanym *Swodem mirowych urządzeń*, które woził zawsze z sobą... Ojciec jego były adwokat, obecnie właściciel dwóch wsi nad Dniestrem, już w młodzieńczych latach wpoił w syna zamiłowanie do tych artykułów kodeksu, a pan Stanisław w dwudziestym czwartym roku życia przyjął najkompletniejszą w tym kierunku edukacyę. Gdyby nie pan Stanisław, mirowy sędzia nie miałby co robić w swoim okręgu, a tak mając co tydzień kilka

skarg do zalatwienia o różne szkody i przestępstwa w dobrach pana Stanisława spełnione, pocił się biedak przy redagowaniu wyroków, aby nie być na czem złapanym w zjeździe.

Za to drugi współlokator, ośmnastoletni Adolfek Prostacki, z zajęczemi na wierzchu osadzonemi oczyma, nie dał mi chwili spokoju, zarzucając nieustannie swojemi pytaniami. Pan Adolf, z powodu choroby oczu, przez dwa lata nie mógł ukończyć czwartej klasy w gimnazyum, dlatego papa po naradzie z kuzynem Aleksandrem postanowił oddać go na wydział agronomiczny do szkoły politechnicznej w Rydze, tymczasem zaś dla wprawy w niemieckim języku przyjął mu wydalonego z fabryki cukru pisarza czecho-niemca jako guwernera.

Z zajęczemi oczyma Adolfek jest sobie dobrze wykarmiony i bardzo grzeczny chłopczyna; poczęstowawszy mię papierosem, ogromnie był uszczęśliwiony dowiedziawszy się, że przyjeżdżam prosto z Warszawy.

— Pan z samej Warszawy?...

— Z samej.

— Warszawa ładne miasto, co? podobno jak Paryż, co?

— Ładne, ale mu do Paryża daleko...

— A w Paryżu pan był?

— Byłem, nawet mieszkałem tam czas jakiś...

— E, e, e, pan mieszkał w Paryżu? — pyta wytrzeszczając swe zajęcze oczy, a że był dość żywego temperamentu, więc przy całej rozmowie to zrywał się, to chodził po pokoju, poprawiając czuprynę spadającą mu na czoło, to wreszcie przypatrując się z zajęciem jasno-czekoladowym swoim majtkom. — Powiadają, że Paryż to ma więcej niż milę długości?

— Sądzę, że więcej niż trzy...

— Doprawdy? to jak od nas do Kamieńca. A w Paryżu, to sami Francuzi, co?

— O nie, jest i mnóstwo cudzoziemców...

— I Anglicy?

— I Anglicy...

— Prawda panie, że Anglicy to dzielny naród, co? że nie mają krzeseł do siedzenia, ale worki z wełną...

— Nie słyszałem o tem...

— Tak panie, pan Gembacki słyszałem opowiadał mamie, a on ma guwernantkę do dzieci czystą Angielkę... I pan Gembacki powiada, że tam tylko jeżdżą końmi w Anglii...

— Naturalnie, czemże by jeździli?

— Ha, mogliby klaczami, ale powiada, że klacze tam w ogromnem są uszanowaniu i drogo się płacą panie... Dlatego i pan Gembacki sprzedał mi parę angielskich klaczy bardzo drogo... ale jakie klacze... czysto angielskie...

Wyczerpawszy ciekawe w tym rodzaju zapytania, pan Adolf przejrzał się w lustrze, poprawił wysokie, podrzynające uszy kołnierzyki, poprawił bujnie rosnącą mu czuprynę na głowie, i nagle, jakby sobie co przypomniał, stanął przedemną.

— Jak pan uważa, czy to będzie z szykiem, jak ja wystąpię dziś w tej kolorowej koszuli, co? Powiadają, że teraz w Anglii najmodniejsze są koszule *Bosfort* — mówi rozsuwając kamizelkę na piersiach i pokazując szerokie czarno-żółte pasy.

— Sądzę, że lepiejby było przebrać białą.

— A to szelma ten mój Niemiec, on sprzedał mi sześć takich *bosforów* po trzy ruble i powiedział, że najmodniejsze. Co ja tu zrobię, hę?... Jak pan uważa, posłać do domu po białe?

— Naturalnie, że posłać, balowe ubranie zawsze używa się cale czarne, koszula tylko i krawatka biała...

— I krawatka biała, a ja wziąłem niebieską srebrem nakrapianą... I pan będzie miał białą krawatkę? — pyta wciąż muskającego się przed lustrem Stanisława.

— Co takiego?

— Czy pan ma białą krawatkę?

— Mam ale dla siebie...

— Przepraszam panów — mówi zaambarasowany, szukając czapki — ale ja muszę iść do mamy, żeby natychmiast posłała mi po białą ko-

szulę do domu... Bestya Niemiec, tylo mi narobić kłopotu... nie wiem czy Hryćko zdąży...

Do pierwszej godziny mnóstwo już nazjeżdżało się gości, jest i pani Sokołowska z synem, jest i dyrektor z żoną, jest i muzyka żydowska u arendarza, a syn gospodarstwa dotąd nie wrócił... Widzę, pani Aleksandrowa przyjmuje z serdeczną wdzięcznością składane sobie powinszowania, a co chwila przybiega do okna i niecierpliwi się i irytuje, mimo zapewnień pana barona, że Mikolcio wróci na czas.

Nadeszła pora obiadowa, trzeba rozsadzać gości przy stole, pani już traci głowę, a jednak stara się być uprzejmą dla starszych dam, młodzieży znów, umieszczając ich między pannami, prawi słodziutkie komplementa — mimo to obiad zepsuty — przynieśli zupę — syn nie wrócił...

Pamiętam będąc dzieckiem, przy nauce pacierza, nie mogłem nigdy odróżnić *Ojcze nasz* od *Zdrowaś Marya*, i gdy poczciwa, stara niańka powtarzała mi miarowym głosem „i nie wódź nas na pokuszenie“, oczekując, czy dalej sam nie powiem — mnie zamiast „ale nas zbaw“, pakowały się na usta wyrazy „między niewiastami“, które coś przez trzy lata, mimo dwukrotnych codziennie poprawek, regularnie powtarzałem.

Przyzwyczajenie to zamienione w nałóg, stało się później ostrzegającą maksymą życia, ile razy

los rzucił mię na ofiarę publicznego zabawiania niewiast, do czego wrodzona moja gadatliwość bywała przez gospodynie domów wyzyskiwaną.

Okoliczność ta przypominała mi się więcej niż kiedybądź, kiedy mię ciotka zasadziła podczas obiadu do tej towarzyskiej pańszczyzny między dwiema ciężkiego kalibru salonowemi armatami. Zaszczyt to niemały obsługiwać prawdziwe dzieła Kruppa, temu nie zaprzeczam, ale podczas tego obiadu spojrzawszy na szary koniec stołu, ubrany w żywy wieniec prześlicznych kwiatów Podola, złorzeczyłem w duszy wszystkim nowoczesnym wynalazkom i bez wątpienia wolałbym zostawać przy asekuracyi tej lekkiej artyleryi — choćby jeszcze starego systemu.

Ale cóż, pani Aleksandrowa prosiła, dorzuciwszy przy rekomendacyi tak wymowny komplement o moim towarzyskim talencie, że rad nie rad musiałem się wcisnąć między dwa szeleszczące ogony sukień moich sąsiadek, lawirując nogami tak, aby te dwa narzędzia publicznego zamiatania ulic o ile można uszanować.

Dobry żołnierz przed rozpoczęciem ataku musi rozpatrzeć swoje stanowisko: na mojem miejscu, nie mając pod ręką lekkiej kawaleryi, wysyłam ostrożnie parę własnych oczu na rekonesans.

Na prawo korpulentna żona dyrektora jednego z banków odeskich, dama w kwiecie wieku, który

z całą znajomością nowoczesnej malatury umiała chronić przed zwiędnięciem — pokusa jedna...

— No — pomyślałem w duszy — przed tak uzbrojonym nieprzyjacielem we wszystko, co nowoczesna sztuka wojowania odkryła, wszelka śmiała obrona niepodobną. Błyszczące oczy, rumiane usta, pyszny gors, zapachy, brylanty, koronki, a w rezerwie Odesa, głośne powodzenie, potęga finansowa — są to wszystko rzeczy nie dla takich piegowatych, czerwonobrodych indywidualności jak moja... Trzymajmy się odpornie, jeżeli nadejdzie chwila ataku, ograniczając całą działalność na nalaniu szklanki wody, gdy szanowna potęga finansowa uczuje pragnienie.

Dzięki Bogu, a raczej panu Sokołowskiemu, starającemu się o złożenie swego majątku w banku, szanowna małżonka potęgi finansowej, spojrzawszy raz tylko w moją stronę, zwróciła się stanowczo w przeciwną, zostawiając waszemu słudze możność podziwiania białych i gładkich, dość głęboko odkrytych pleców swej figury.

Na lewo czarna suknia, czarny dwupiętrowy kok, pod nim ozdobiona długiemi błyszczącemi kolczykami poziomka, a na tej poziomce dwa również czarne, wysmukłe i świecące punkciki — to twarz, jak się zdaje, dawno już pełnoletniej panny Melanii, córki naprzeciw siedzącej w peruczce staruszki.

Moja sąsiadka rozpoczęła ze mną rozmowę od gorąca, a więc od tematu nie bardzo nowego. Byłem w złośliwem usposobieniu i zamiast podtrzymywać konwencyonalny dyalog, umyślnie począłem rzucać najśmielsze aforyzmy, mniemając, że wprowadzę tem w kłopot moją podolską poziomkę. Pokazało się jednak, że trafiłem na swoją...

— Oryginalne masz pan poglądy, doprawdy oryginalne — rzekła spoglądając mi bystro w oczy. — Pan z Wołynia zapewne?

— Nie mam tego honoru, jestem warszawski...

— Oryginał — dorzuca poziomka.

— Tak jest, łaskawa pani, przynajmniej dotąd nie pozwalałem nikomu zdejmować z siebie kopii, ani robić przedruków...

— A to bardzo ciekawy z pana egzemplarz, unikat, prawdziwy unikat, biały kruk... Dotąd nie widzieliśmy czegoś podobnego na Podolu, i czemuż zawdzięczamy to szczęście?..

— Oryginalnemu również utopieniu się mojej ciotki w karecie, po której spadek przyjechałem w te strony.

— A, a, a, to pan jesteś Suchociński, siostrzeniec nieboszczki deputowanej? — rzecze spoglądając na mnie uważniej z widocznym uśmiechem.

— Czy panią bawi może nazwisko? — pytam nieco skonfundowany przytomnością i złośliwym uśmiechem poziomki.

— Nie, owszem cieszy, że przynajmniej raz w życiu spotykam człowieka co nie kłamie swojemu nazwisku. U nas na Podolu tak przywykliśmy nazwisko i osobę porównywać w odwrotnym od siebie stosunku, że jak się zdarzy coś harmonizującego w tym względzie, wydaje nam się oryginalnem...

— A nie mógłbym prosić pani o bliższe objaśnienie tego fenomenu?

— I owszem — odpowiada zsuwając na talerz skorupki muszel z pasztecikami. — Pan nie lubisz pasztecików ze ślimaków? — dodaje, widząc że odprawiłem z półmiskiem lokaja.

— Nie jadłem nigdy...

— Spróbuj pan... Kiryłło, podaj panu Suchocińskiemu jeszcze raz. Chcąc poznać ludzi podolskich, trzeba się karmić temi co i oni potrawami. Musisz pan znać nowsze badania o wpływie pokarmu na charakter człowieka... Kto nie jada ślimaków, żabek i kukurydzy, ten nie zrozumie szlachty podolskiej... A panu, choćby z tytułu tego spadku po ciotce, znajomość ta może być potrzebną...

Zsunąłem tedy aż dwie muszelki ze ślimaczem mięsem i przyznam się czytelnikowi, smakowały mi dobrze. Nie uwierzycie może, ale daję wam słowo honoru, po zjedzeniu do tego stopnia jakoś rozjaśniło mi się w umyśle po podolsku, że panna Melania, dotąd poziomka, wydała mi się już tru-

skawką, a marmurowe plecy pani dyrektorowej banku najskuteczniejszą protekcyą dla otrzymania większej pożyczki na dobra ziemskie niż ich wartość...

— Śmiem przypomnieć się łasce pani co do obiecanych wyjaśnień.

— Widzisz pan tego młodego i różowego blondyna z przeciwka, zabawiającego dyrektorowę.

— Żonę potęgi finansowej?

— Tęż samą; sądząc po jego powierzchowności i sposobie traktowania tej pani, jak on się powinien nazywać?

— Trudno mi określić, nie znając go bliżej!...

— Ale przyznasz pan, Fiutowicz byłoby mu do twarzy?

— Dość trafne nazwisko...

— Tymczasem nazywa się Taktowicz, choć od samego urodzenia, a nawet, jako piąty syn dumnego panka, samem już urodzeniem nie popełnił ani jednego czynu zasługującego na miano taktu... Ten znowu co siedzi przy pani Aleksandrowej, czarny jak cygan z siwymi włosami, a czarnemi brwiami, nazywa się Głębocki; gdy przeciwnie cały jego rozum obywatelski, książęce i hrabiowskie koligacye jego żony, jego pszenica, jego ujeżdżalnia, nawet ma ujeżdżalnią, siedzą bardzo płytko, płyciej jakby się mogło wydawać — bo na końcu jego języka... No, a ten nudzący moją matkę projektami zbudowania młyna parowego, ma wieś nazywającą się

Dobregłowy. Spojrzyj pan na jego błędny wzrok i powiedz sam, czy może być głową Dobrych głów taka facyata?

— Ależ surowym jesteś pani sędzią swoich sąsiadów — przerywam zastraszony złośliwością panny Melanii.

— Mam to nieszczęście być prawdomowną...

— Rzeczywiście...

— A jednak moja opinia jest sprawiedliwą, zapytaj pan o to pani Aleksandrowej, tylko tak w cztery oczy.

— Przy pomocy lornetki...

— Och nie, nie... szanowna kuzynka pańska okularów używa wtedy, gdy chce coś ukryć... Zresztą co do prawdziwości mej zasady o kłamanem nazwisku, dlaczego nie zarzucam panu coś podobnego?

— Więc Suchociński wydaje się pani pod każdym względem jakby w suchotach?

— Odgadłeś pan myśl moją. Jak wszyscy suchotnicy, masz pan porządną dozę złośliwości i ułudy na przyszłość.

— Przepraszam...

— Że tak jest, dowiodę... Sądzisz dotąd, że kuzyn twój pan Aleksander Prawdzicki jest chodzącą i najżyczliwszą prawdą?

— Nie wątpię o tem.

— A ja przeciwnie pozwalam sobie wątpić. Tego pana znamy tu od lat dwudziestu; i on kłamie

swojemu nazwisku. Zresztą i o tem utopieniu się ciotki rozmaicie mówią, i o testamencie są jakieś wersye. Pan Aleksander podobno więcej ratował karetę niż deputatową; nie mogąc otworzyć drzwiczek, żałował stłuczenia szyby...

Zastanowiła mię mocno ta okoliczność i spojrzałem uważniej na pana Aleksandra, który z niewysłowioną szczerotą na ustach, a pełną butelką w ręku pilnował pustych kieliszków przed biesiadnikami...

— Serce Ignasiu zalegasz — mówi nademną, całując w głowę. — U nas na Podolu nie lubią zaległości...

— Prócz regulacyi spadku — szepnęła cichutko panna Melania.

— Panno Melanio, mam żal do pani, że mi bałamucisz kuzynka. W towarzystwie pani zapomina o swoich obowiązkach... proszę, dokończ kieliszka.

— Uczę go patrzenia na świat przez podolskie okulary — odpowiada wesoło moja sąsiadka.

— Dobrze, dobrze — mówi, nalewając mój kieliszek — niech się uczy kochać Podole, to święte, uczciwe nasze Podole.

— Czy z ludźmi? — pyta panna Melania.

— Filutka z pani — dodaje śmiejąc się pan Aleksander. — Serce Ignasiu nie daj się, pamiętaj co powiedział o nas któryś poeta:

W oczach Podolanek jest wdzięk,
Coby wędrowca przykuł tam na wieki...

— Chyba to rubel, panie pułkowniku, jest tą Podolanką.

Lecz, że w tej chwili pan dyrektor banku wniósł zdrowie solenizantki, a we drzwiach ukazał się Mikołaj, syn gospodarstwa, pan Aleksander, nie dokończywszy wiersza o Podolankach, jak mi się zdaje strawestowanego z Wenecyanek, pobiegł z butelką napełniać inne kieliszki.

Kuzynek mój, zwany tu Mikolciem, wyrósł na przystojnego mężczyznę o ruchach zręcznych, dowodzących wprawy salonowej. Rozmówiwszy się krótko z matką i poprawiwszy w baranki ufryzowaną czuprynę, zbliżył się do krzesła panny Melanii; widocznie nie poznawszy mnie, rozpoczął z nią dość cichą, poufale prowadzoną rozmowę.

Okoliczność ta pozwoliła mi nadstawić ucha w stronę pani dyrektorowej, która siląc się mówić po polsku, bawiła pana Taktowicza opowiadaniem podróży swojej i pobytu w Petersburgu... Mąż utrzymywał, że żona pochodzi z greckiej familii, mnie się zaś zdawało, że ojczyzna jej leżała kiedyś więcej na wschód — typ żydowski najwidoczniej bił z całej twarzy, manifestując się oprawą oczu i haczykowym nosem.

— Przedstawcie sobie, najęłam kwaterę przy Newskim; gospodarz obowiązał się dać *otopłenie*

(opał), a między tem w komnatach tak chłodno, że musiałam nogi włożyć w *kawior*[1]). Posyłam za nim raz — nie przychodzi, posyłam drugi raz a on powiada, że *toplia* do niego nie należy... Ot widzicie, jak to źle *położyć się*[2]) na kim, a jeszcze w takim Petersburgu...

— Trzeba było do policyi — wtrąca Taktowicz...

— Gdzież damie samej *szatać* się po policyi, a jednak posłałam za stójkowym, on mówi do mirowego... a mirowy: dokument jest? — pyta... Nie, tylko słowo. No to on was *nadut* (oszukał) moja pani, i kończone dzieło.

Wniesiono nowy toast, pan Mikołaj zbliżył się do pani Sokołowskiej, a ja ujrzałem panią marszałkowę obok siebie. Matrona ta, korzystając z zamięszania sprawionego przy piciu zdrowia gospodarstwa, przyszła zobaczyć Melankę, czy jeszcze przez wilków nie pożarta.

— Duszo moja, gdzie wstążka z szyi?

— Czy ta co nazywają: *Jeunes gens suives-moi?*

— Swawolnica jesteś...

— Muszę mamie przedstawić sąsiada mego: pan Ignacy Suchociński z Warszawy.

Ukłoniłem się usiłując powstać, lecz przy tym ruchu nadeptałem popielaty ogon pani dyrektorowej. Miły uśmiech marszałkowej pomięszał

---

1) *Kowr*, znaczy dywan.
2) Zaufać.

się z groźnem spojrzeniem drugiej sąsiadki, lecz że nastąpiły dalsze zdrowia, w których musiałem przyjąć udział, ognista strzała spojrzeń dyrektorowej nie zostawiła głębszej rany.

— Czy wobec tych toastów nie obawia się pani mojego sąsiedztwa? — pytam panny Melanii, spełniwszy pękatą czarę szampana.

— Ja nie, lecz co do mamy, uważam jest w obawie...

— Z jakiego powodu?

— Żebyś pan przebrawszy miarkę nie padł ofiarą mojej kokieteryi.

— Tak pani jesteś straszną, że nawet mama to widzi...

— Niestety, tak jest. Przypatrz się pan jej niespokojnej i zamartwionej twarzy, jak śledzi bacznie każdy mój ruch, każdy uśmiech, jak daje mi znaki szczególniejszem chrząkaniem. Najlepszego serca i dobroci niesłychanej matka, ale podług jej przekonania każda panienka powinna być tak skromną w salonie, że tylko co pół godziny może powiedzieć *tak*, lub *nie*, oczy spuścić na dół, rączki złożyć w pierniczek... Spojrzyj pan na moje ubranie; jestem w pancerzu cnoty, tak po samą brodę i po same dłonie... sznurówka mię dusi...

— I pani, osoba tyle rezolutna, nie masz odwagi stawić opozycyi?

— Mam, ale bierną... Cóż pan chcesz? jestem córką Podola. My tu wszyscy pod pozorem, że nie wolno, nic nie robimy, zasklepiamy się biernie w swojej skorupie... to tak wygodnie mieć wymówkę...

Wstaliśmy od stołu; mężczyźni podali rękę damom, mnie co do panny Melanii uprzedziła marszałkowa, pochwyciwszy ją wprzód, nim ona zdążyła zebrać z krzesła swoją suknię.

— Ignasiu, zły obrałeś kierunek — szepnęła mi pani Aleksandrowa, gdym jej dziękował za obiad. — Liczyłam, że ty światowy człowiek będziesz bawił dyrektorowę, a tymczasem złowiła cię ta z góry traktująca wszystkich Melanka.

— Przyjemna osoba...

— Micio powiada, że jest jak fałszywie przyprawna musztarda...

— Przeciwnie, widziałem, ona jest bardzo względną dla niego.

— Prawda, co, uważałeś, przepada za nim...

— Cóż ona za jedna?

— Córka sąsiadki naszej, uczona, lecz grymaśnica wielka, i choć ma dwa tysiące pięćset morgów ziemi i dwa tysiące morgów lasu, a obok cukrownię, nie mogła sobie dotąd dobrać amatora na to wszystko... Mąż powiada, że ten las przy braku drzewa w fabryce wart krocie...

— Słyszałem, nazywają matkę marszałkową.

— Et... taka tam marszałkowa z przypadku. Ojciec jej był urzędnikiem w *pałacie*, no i tak uciułał sobie, jak to dawniej było można... ale rozpił się przy końcu... Lecz proszę cię, nie zaprzątaj sobie niemi głowy... kiedy Mikolcio nic nie może... Pójdź, przedstawię cię pannom Reżyłowskim.

Panny Reżyłowskie, rodzoniuteńkie siostry owego dżentelmana-prawnika, mojego współlokatora w oficynie, chodziły po salonie w towarzystwie Mici, która przy nich wyglądała jak ich córeczka...

— Oddaję was pod opiekę warszawskiego kawalera — rzecze pani Aleksandrowa, wymieniając moje nazwisko, a szepnąwszy coś do ucha Mici, zbliżyła się do pani Sokołowskiej, cernowanej już przez pana Leona z jednej, a przez barona z drugiej strony.

Oddane mi pod opiekę damy nie zadały sobie tej pracy obejrzenia mojej osoby dokładnie; starsza Zosia śledziła nieustanie pana Mandolińskiego, młodego podolskiego gladyatora, który z synem gospodarza domu w sąsiednim pokoju raczył się jeszcze resztkami wina pozostałego z obiadu, i szeptała do ucha siostry Juni jakieś interesujące półsłówka, bo i ta zwracała głowę tę w stronę, śmiejąc się nieustannie.

Ja próbowałem w niemem milczeniu towarzyszyć moim damom w przechadzce salonowej, a com zaczepił Zosię pytając o pogodę lub okolicę Podola, dostawałem w antraktach między szeptami siostry lakoniczną odpowiedź:

— Ja nic nie wiem

— Dopiero dwa tygodnie, jak wróciłam od babci ze Szwajcaryi — rzecze po chwili takim tonem, który powinien był wykluczyć chętkę do dalszej dyskusyi.

— Babcia zawsze mieszka w swoim zamku? — spytała kuzynka Micia.

— Zawsze; nawet kupiła drugi dla naszej mamy... Ależ ten pan Zygmunt mocną ma głowę... Patrz Miciu, kończą już drugą butelkę z panem Mikołajem.... Dopieroż będą tańczyć z fantazyą... Muzyka z Międzyborza, czy z Latyczewa?

— Z Latyczewa — odpowiada Micia — poczciwy Mikolo przysłał ich jeszcze przed szabasem...

— Ciekawam czy grają walca *Leben und lieben* Fausta, rozkoszny walc, słyszałam go w wiedeńskim Praterze... A ty Miciu jeszcze go nie masz?

— Zdaje się — wtrącam — że między nutami, które przywiozłem z Warszawy, jest ten walc...

— Ja bo przepadam za walcem — mówi Junia zawsze zwracając się do Mici — ale na dwa *pas*. W Warszawie jak teraz tańczą? — dodaje niby do mnie.

— Przyznam się pani, że nie wiem, nie należę do tańczących...

Gdybym powiedział, że odsiedziałem dwa lata ciężkiego więzienia, mniejsze by to uczyniło wrażenie na moich damach, niż to, że nie umiem tańczyć. Ani usilne starania kuzynki Mici, ani uporczywy mój spacer obok tych żółtych garniturów nie zdołały wywołać jednego słowa więcej ku mej osobie. Szwajcarskie zamki, pan Zygmunt, wystawa wiedeńska, nowa cukrownia pod dyrekcyą papy, kapelusze *Fru-fru*, panna Patti, Odessa, na zimę i tym podobne wyrazy zamieniane między sobą wśród nieustannych obserwacyj pijących panów, zmusiły mię do opuszczenia z dość głupią miną nadzwyczaj przyjemnego towarzystwa panien Reżyłowskich.

Przy samej rejteradzie spotkał mię i ów pan Zygmunt Mandoliński, którego jeszcze studencikiem poznałem w domu rodziców moich w Warszawie. Odwożąc go na pensyę prywatną, stary ojciec, niegdyś plenipotent sądowy, polecił go opiece mojej matki, skutkiem czego razem z Mikołajem zapraszany był dość często na obiad.

— Jak się pan ma? — zapytał podając mi rękę na przywitanie z tem głupowato-zamglonem spojrzeniem, jakie sprowadzają pustki w mózgu zalane kilkunastu kieliszkami wina.

— Jak się pan ma? — powtórzyłem sucho.

— A co u nas panie na Podolu, ludzie żyją?...

— Żyją.

— Nie tak jak w waszej Warszawie, co?

— Nie tak...

— U nas panie bez tych ceremonij, po staropolsku.

— Tak po staropolsku, konserwatywnie — dodaję.

— Tego ja nie wiem, czy konserwatywnie, ale że szczerze, to prawda. Nigdy do tej łaciny nie miałem apetytu, choć bestya Pantecki męczył nas... Pamiętasz pan, jak to się trzeba było prosić, aby puścił w niedzielę do was na ten obiadek... No nie obrażaj się panie Ignacy — mówi dalej ściskając mię czule za rękę — ale cienkie były u was te obiadki; sam przyznaj, że u nas na Podolu mają ludzie gust panie, mają smak...

— Tylko nie w słowach — pomyślałem, zostawiając na uciechę panien Reżyłowskich tego ukończonego z prywatnej pensyi trzecioklasistę...

— Patrz serce, jaki to porządny wyrobił się z tego Zygmunta obywatel — szepnął mi w przelocie pan Aleksander, całując w głowę. — Na bujnej podolskiej ziemi serce, to nawet z młodego kąkolu wyrośnie pszenica... Żebyś wiedział, co z niego za gospodarz? ba, ba, sieje koniczyny, a dwuletnie sterty stoją u niego jak miasteczko

jakie... Teraz był we Włoszech... Wyrobił się, daj Boże aby mój Mikołaj poszedł tą drogą...

— Między dwuletnie sterty...

— Ty bo zawsze moje serce demokrata! Już to wy Warszawiacy lubicie nas Podolaków prześladować temi stertami; a ja ci powiadam, że u nas przy tych stertach serce jak na dłoni... Trzymamy się jak widzisz swojej gromadki, z Panem Bogiem, jak będzie to będzie, aby zgodnie, po staremu... Pójdźże ze mną do mężczyzn, przedstawię cię dyrektorowi naszego banku...

— Temu małemu skrzywionemu żydkowi? Na co mi ta znajomość?

— Serce Ignasiu, nie bądź dzieckiem... to ważna figura u nas... ogromny klucz kupił przeszłego roku w naszych stronach... Potężna to głowa finansowa. Pójdź proszę cię, taka znajomość zawsze się przyda...

— Kuzyn mój pan Suchociński z Warszawy — wyrzekł z powagą pan Aleksander, stawiając mię przed oblicze uzbrojonego w złoty kukier dyrektora.

— Nasz łaskawy sąsiad radca stanu Śliwogrodzki, dyrektor banku, nasza poczciwa kasa podolska...

Poczciwa kasa podała mi koniec ubrylantowanego palca, powiedziawszy:

— *Oczeń przyjemnie...*

— Nasz ukochany sprawnik Dymitr Iwanowicz! — prezentował dalej pan Aleksander.

Sprawnik w mundurze ze złotemi belkami na kołnierzu a skręconym bulionem na ramieniu podał mi już pół ręki, a ukłoniwszy się dość sztywnie, miał widoczną chęć zapytania mię o pasport.

— Pan Zagonowski sąsiad, wzór gospodarzy Podola, prawdziwy nasz dyrektor agronomiczny — prezentował dalej kochany kuzyn.

— Przesadzasz pułkowniku — odpowie uśmiechając się młody i dobrze rumiany, przyjemnej powierzchowności mężczyzna, ściskając mi rękę z całą energią.

— Pan Zagonowski zaprowadza u siebie uprawę pokrzyw i fabrykę batystów... Ho, ho... mądra to głowa, doktor tylu a tylu nauk heidelberskiego uniwersytetu...

Pan Zagonowski przyjął to z widocznem lekceważeniem.

— Pan Krajanka — mówi dalej p. Aleksander, wskazując na siwiejącego już z długimi włosami i brodą mężczyznę. — Filozof nasz, ekonomista i polityk; od tego możesz się wiele nauczyć. Nie ma ekonomicznego systematu, któregoby nie zgłębił do dna.

— Prócz pańskiego — dorzucił z ironją uśmiechnięty pan Krajanka.

— A kuzynka Leosia już znasz... Z tym radzę ci zawrzeć przyjaźń, jeżeli chcesz się dostać do serduszka naszych kwiatów podolskich.

Wszyscy ci panowie, jak również i młody doktor medycyny, tudzież sędzia śledczy, których wprzód poznałem, słuchali z uwagą jakiegoś opowiadania potęgi finansowej, z czego korzystając mój opiekun, odciągnął mię na bok, dając tego rodzaju ostrzeżenia:

— Dla dyrektora dystynkcya, pamiętaj: przy pełnym żłobie zawsze łatwiej się pożywić; ze sprawnikiem ostrożnie z polityką; z Zagonowskim nie mów nic o dyrektorowej; Krajanki unikaj, to złośliwy demagog i u władz podejrzany liberał; przed tym oto grubym hrabią Szapsal... nie wydaj się, że masz odbierać pieniądze, a z Leosiem nie trącaj się w kieliszek, bo ma kapitalnie mocną głowę i spoiłby cię na nic...

Przy dwóch stolikach gorliwsi amatorowie preferansa już zajęli swoje miejsca, ksiądz dziekan, pan Głębocki „panie dziu“, brat pana Aleksandra, ów dożywotnik z dworka, o którym wspominała Pędzichowska, i stanowy Delijanów zajęli jeden stolik, przy drugim siadło trzech nieznanych mi, ciągnąc na czwartego akcyzowego rewizora, młodego w okularach mężczyznę, który ulegając jedynie gorącym prośbom gospodarza, zdecydował się przegrać partyę wista...

— One do prokuratora — peroruje dyrektor banku wśród zwiększającego się coraz bardziej grona słuchaczy — a ja do prezesa *pałaty* — obaczym kto *praw*... Podały *proszenije* do gubernatora, on przyzywał mnie razy dwa, ale ja posłałem żonę. Kobiety, panowie, a jeszcze takie kobiety jak moja Anastazya, mają wpływ. On z góry do niej: „Wasz mąż musi im zostawić pałac“... A ona: *Wasza świetłość*, to będzie krzycząca niesprawiedliwość, majątek kupiony z publicznego targu, *usłowija* wykonane... Gubernator powiada: „Ależ to córki po jenerale, wyrzucać ich z kwatery niepodobna, wy sami kobieta, jak wam nie wstyd prześladować biedne istoty, które straciły wszystko?“ A moja Anastazya: „Wasza świetłosć gdyby prosiły męża, zostawiłby im ten pałac nawet do śmierci, ale gdy one *zsyłają się* na *zakony*, to z jakiejże *statii* mają zajmować pałac w majątku przez nas kupionym?“ Gubernator *pozwał* urzędnika do szczególnych *poręczeń* i oddał mu całe dzieło, a tak panowie, te stare czarownice wyrzucamy jutro z pałacu, prawda Dymitry Iwanowicz? — pyta zwracając się do sprawnika.

— Taki rozkaz — odrzekł z powagą pytany.

— Już to nasz kochany dyrektor — wtrąca pan Aleksander — ma głowę, och, on potrafi sobie dać radę wszędzie! Panowie, powinniśmy dzię-

kować Bogu, że nam zesłał takiego sąsiada, pod jego łaskawą opieką nie zginiemy.

Obecni pochylili głowy na znak wysokiego hołdu, pan Głębocki nawet wstał od kart, aby uściskać rękę tej potęgi finansowej izraelskiego pochodzenia, a ten aż się wspiął na palce, chcąc dorównać wysokiemu swemu obywatelskiemu zadaniu.

— Cukrowy „zawód“ puszczam panowie na akcye, sprowadziłem dyrektora nowego z Alzacyi, i ten ręczy za 50 procentów... Tak panowie, nie chcę wejść pomiędzy was, aby coś dobrego dla okolicy nie uczynić; czwartą część akcyj zostawiam przy sobie... Ażeby panom ułatwić nabycie, żądamy dziesięć procentów gotówką, a reszta burakami. Ot panowie, jest chwila pokazania waszej inteligencyi... i jakby to powiedzieć... „przemyślności...“

— W moim gabinecie jest lista do zapisów przygotowana — wtrąca słodziutko pan Aleksander — kto łaskaw, jestem na rozkazy... I ty Ignasiu weźmiesz z pięć — mówi biorąc mię pod rękę i odprowadzając na stronę. — Fabryka w najlepszym stanie dawała dotąd dziesięć procentów dywidendy, ale doprowadzimy ją do czterdziestu.

— To niepodobna...

— Serce moje, nie znasz tutejszych stosunków. Switkowiecka daje pięćdziesiąt, kołaczyniecka czterdzieści trzy, zainowiecka zeszłego roku miała

blisko sześćdziesiąt... Tu serce moje, fortuny rosną jak na drożdżach, radzę nie opuszczać sposobności. A żeby jeszcze udało nam się kupić las od tej Dobrzyckiej, matki Melanii, przy której siedziałeś przy obiedzie... ba, ba, ba...

— Czy to wielki las?

— Dwa tysiące i coś morgów o granicę od fabryki. Z ojcem, póki żył, nie można było dojść ładu; teraz jak umarł nie ma z kim mówić... A zresztą przyznam ci się, nasz Mikołaj ma się ku Melance, więc uważasz jestem między młotem a kowadłem, jeżeli będzie co z tego, to szkoda sprzedawać.. jeżeli nie będzie, to szkoda fabryki. Serce Ignasiu, ty jesteś sprytny, widziałem, rozmawialiście bardzo żywo... Uważasz, nie mógłbyś tak coś z niej wymiarkować... tylko ostrożnie, dyplomatycznie, tak... niby...

— Popróbuję — odrzekłem.

— Serce synku, zrób to dla familii... toż my swoi... — dokończył całując mię w głowę — pięć akcyj piszę...

Nie mięszając się do dalszej rozmowy tych panów, do której mię też nikt nie zachęcał, słyszałem jednak jak przez ich usta przechodziły krocie i dziesiątki tysięcy rubli. Ten zarobił tyle a tyle, ten bierze pensyi tyle a tyle, temu żona wnosi posagu pół miliona, ten znów sprzedając ośm tysięcy korcy pszenicy — co razem wzięte,

porównawszy z dziesięcioma tysiącami rubli, które miałem odebrać w spadku, wydało mi się tak kolosalnem, że drobna postać moja zaczęła przed samym sobą maleć coraz bardziej — aż w końcu stopiła się na zero wobec tych milionów.

Przyznam, smutno mi się zrobiło na sercu — iluzya pewnej zamożności, jaką sobie razem ze spadkiem wyrobiłem, rzedniała przedemną, jak owe dymy wonnego kadzidła, znikające w fantastycznych zwojach pod sklepieniami wysokiej świątyni, po których tylko zostaje pamięć zapachu — nic więcej.

Lecz w takich razach, obok podobnego smutku, rozbudza się energia człowieka, i staje obok w postaci ambicyi, czasem zazdrości, a najczęściej — żądzy... Dlaczego i ja nie mam popróbować? — myśli sobie taki zawiedziony marzyciel. — Czuję, siły mam lepsze od wielu innych, zdolności zaprzeczyć sobie nie mogę... Jeżeli ten a ten w porównaniu z moim rozumem i wykształceniem mógł, dlaczegożby mnie się nie powiodło?

Otóż wśród takich rozmyślań i oddaniu sobie należnej sprawiedliwości, zbliżyłem się do salonu, w którym rozpoczęto tańce. Oczy moje instynktownie zaczęły szukać panny Melanii, a gdy spostrzegłem siedzącą pod lustrem obok matki i pani Sokołowskiej, naraz czy skutkiem spożycia pasztecików ze ślimaka, czy może pewnego oswojenia

się z jej brzydką i złośliwą twarzą, dość, że wydała mi się z daleka nie tak rażącą: a nawet czarne, wypukłe oczy inteligentnemi.

Już kiedy mówić prawdę, to mówić: obok tej poziomkowej twarzy stał mi ów las, graniczący z cukrownią i dwa tysiące pięćset morgów ziemi zdolnej pod buraki. Odpychałem ja wprawdzie jak mogłem te akcesorya, ale napróżno; bo jeśli odrzuciłem na bok wyobrażenie szumu drzew w tym lesie, to znów powracało ono albo pod formą przestrzeni, albo pod formą ciekawości, ile też na jednym morgu może być sztuk dorosłych dębów? No, to przecież nie były żadne interesowne i do osoby panny Melanii odnoszące się marzenia — bo tylko prosta ciekawość myślącego i badającego umysłu.

Obecność mamy i drugiej pani nie była mi na rękę, a tymczasem krzykliwy głos klarnetu w orkiestrze doprowadzał mię do pasyi.

Pięciu brodatych żydów osadzono we drzwiach sąsiedniego pokoju, a ci zaufani w swoją latyczewską sławę, nie żałowali ani ust ani rąk, i nie grali, ale prosto powiedziawszy rżnęli swoją sztukę, wybijając takty to nogami, to głową, to wreszcie całą figurą. Widocznie artyści ci rozkoszowali się grą swoją. Że basista piłował basetlę — nie dziwię się, ale dlaczego ten klarnet tak krzyczał przeraźliwie, tego sobie wytłómaczyć nie mogę.

Dziś jeszcze, gdy wspomnę wydęte czerwone policzki ryżego artysty, jak tupiąc nogami całe swoje płuca chce wpakować do tego instrumentu, zatykam sobie uszy na ten rozpaczliwo-dziki wrzask jego... Sam dyrektor, grający z żydowską fantazyą na skrzypcach, przy zwrotach zakrawających na *majufes*, wtóruje jeszcze głosem całej harmonii.

— To panie grają, hę? — zaczepia mię czerwony jak burak pan Zygmunt — tak panie u nas na Podolu, z szykiem!

Widziałem różne tańce na świecie i w prywatnych domach i na wielkich balach i pod trzema murzynami nawet, lecz coś podobnie hałaśliwego, tupiącego i zawadyackiego jeszcze mi się nie zdarzyło podziwiać. Wprawdzie baterya z butelkami wina, do której bardzo często udawali się tańczący, dodawała wiele animuszu i energii, lecz i starsza generacya nie ustępowała w kłapaniu butami o posadzkę.

Mój pan Zygmunt, kuzynek Mikołaj i pan Leon z długiemi połami fraka, rej wodzili. Znajome mi już dwa żółte garnitury, owe właścicielki szwajcarskich zamków, zdawały się w objęciach pana Mandolińskiego istnemi maryonetkami. Co on z niemi wyrabiał — to trudno opisać; wystawiwszy naprzód głowę z wyszczerzonemi zębami, otrząsając lwią grzywę spadającą mu nie-

ustannie na oczy, nie tańczył ale po prostu jeździł niby po stepie ze swoją tancerką. I w prawo, i w lewo, i naprzód i w tył zamiatał nią na wsze strony, zgięty jak żołnierz do ataku na bagnety. Kwiaty z włosów, koronki z szyi, falbany z sukien leciały jak grad dokoła — on nic nie widział, tylko wciąż jeździł i jeździł z całą zajadłością...

Mamie rzeczonych panienek, poważnej matronie w bronzowej aksamitnej mantylce z dwoma językami na przodzie, widziałem, oczy się śmiały z radości, ile razy pan Zygmunt, sadzając obok panienkę, zakręcił w ten sposób, że ogon lekkiej sukienki musnął ją po twarzy, i nic dziwnego; pan Mandoliński był pożądaną partyą — miał jeszcze niesprzedane sterty pszenicy z zeszłego roku — porządny obywatel.

Muszę przyznać, że kuzynek mój Mikołaj, który dwa lata był za granicą i kształcił swój smak w salonach Szperla, obchodził się z tancerką trochę delikatniej. Leciutko, na paluszkach, przycisnąwszy do siebie panią dyrektorowę i wpatrując się rozkosznie w jej oczy — wywijał nią po mistrzowsku. Sprawnik, brzęcząc ostrogami, kręcił się na manier wojskowy drobniutko, w miejscu; kochany zaś Leonek wyprowadzał z urzędu same mężatki, po staremu, z daleka, podparłszy z fantazyą lewy bok ręką, obracał się z widocznem

wysileniem, nie troszcząc się co tam się dzieje z panią baronową. Lecz najpocieszniejszym był mój przyjaciel z zajęczemi oczyma pan Adolf! Biedaczek ten, zasadziwszy kukier na nos, nigdy nie mógł znaleść odpowiedniej luki między tańczącemi parami, ażeby się wysunąć na środek. On umiał zaczynać polkę z jednej tylko nogi, i jak wziął jaką panienkę, tak się zapędzał i zapędzał, robiąc pocieszne *prysiudy* przez parę minut nim znalazł wolną chwilę, a w tej chwili wolną lewą nogę... Żartobliwa panna Melania, podobno kuzynka jego, ile razy do podobnych czat obrał sobie przed nią miejsce — zwykle przy ostatecznym zamachu chwytała go za koniec fraka i tem psuła całą sprawę.

Pani Aleksandrowa z niewinno-gościnną minką, nie odejmując lornetki od oczu, dyrygowała jednak całą kompanią, dla której ten wieczór był urządzony. Micia, biedna Micia, której serce lgnęło do akcyznego rewizora, zasadzonego tak gościnnie do kart, co kilka minut odbierała tajemne znaki i zbliżała się do mamy po rozkaz dzienny. W tem samem położeniu był pan Leon, bo jak pijawka przyczepił się do młodego Sokołowskiego, a obadwaj do tajemnej szafki z Faunem leśnym w pokoju pana Aleksandra, gdzie przezorny przyjaciel kobiet zachował kilka butelek lepszego wina na wyłączny swój użytek. Niezmordowany gospodarz

domu, na wzór ajenta gieldowego, dzielił swój czas i pracę między dyrektora banku i panią Sokołowską — syn znowu Mikołaj trzymał w asekuracyi panią dyrektorowę.

A baron Schmidt-Müller? Otóż pan baron impertynencko zażartował z wszystkich, założywszy mały banczek w faraona. Przychodziła żona parę razy, przysyłała i pani Aleksandrowa wzywając go do wspólnej zabawy — pan baron udał bardzo zajętego i powtarzając stereotypowo: „w ten moment, za chwileczkę, idę zaraz“, oczami zapytywał partnerów, ile kto stawia.

— Pan nie tańczy? — zaczepiła mię panna Melania, gdy przesuwając się z kąta w kąt zbliżyłem się w jej stronę.

— Nie umiem tańczyć...

— A ja nie mogę, będąc jeszcze w żałobie; proszę, siadaj pan, posprzeczamy się trochę... tu obok na kozetce... Ależ nie obawiaj się pan mojej kokieteryi... zresztą niezadługo spędzi go ztąd mama moja... niech tylko spostrzeże...

Szczęściem nie było widać nigdzie pani marszałkowej, a natomiast znaczące spojrzenie pana Aleksandra przypomniało mi obiecaną misyę.

— Jakże pani się bawi? — pytam patrząc jej w oczy.

— Wybornie; zdaje mi się, że jestem na placu boju w charakterze korespondenta do której z ga-

zet... i zachwycona jestem rozkazami naczelnego wodza... wszyscy dotąd wzorowo pełnią swoją powinność... Akcyzny odcięty od Mici, Sokołowska zjada już trzecią porcyę lodów, i słusznie... ten piec nieustannie potrzebuje ochłody... a majątek ich ratunku w pożyczce listów kredytowych... Syn jej na dziś ma pozwolenie oddać się w opiekę pana Leona, z rozkazem nadskakiwania Mici... to wielce ułatwia otrzymanie tej pożyczki za protekcyą pana Aleksandra, któremu powinno się zdawać, że działa dla dobra przyszłego zięcia... Otóż wie pan, ten pojedynek mię zaciekawia; i Sokołowska i pan Aleksander oboje są lepsi... Komu się uda?

— Więc pani sądzisz...

— Ależ zapewniam, zapewniam, że tak jest, i że panią Sokołowską, wszechwładną panią swojego syna, z wielką forsą umyślnie po to sprowadzili i wieczór dla niej wydali...

— A dyrektorowa?

— To znowu inna pieczeń· na tym samym rożnie... tu idzie o ajenturę dla barona... Uważałeś pan, jak Mikolcio jest grzeczny dla niej... ona lubi takich grzecznych kawalerów... Nawet ja jestem na drugim planie...

— Nie rozumiem...

— Nie wtajemniczono pana dotąd, że pan Mikołaj stara się o nasz las... chciałam powiedzieć o mnie...

— To bardzo szczęśliwie... — wtrącam zadowolony, że rozmowa nasza przyjmuje pożądany dla mnie obrót.

— Dla mnie, czy dla lasu?

— Ależ dla niego...

— Widzę, że sam nie wierzysz swoim słowom... Masz pan jeszcze za mało wprawy dyplomatycznej... Mówiąc to krzywisz się...

— Ależ bo ten klarynet... słyszy pani jak się drze... a mnie to doprowadza do pasyi...

— To panie narodowy nasz instrument — rzecze mi śmiejąc się wesoło. — My tu wszyscy jesteśmy klarynetami w swoim rodzaju. Krzyczeć i rezonować jak najgłośniej, to cała nasza zasługa, to cała opinia; a trzeba panu wiedzieć, jesteśmy bardzo drażliwi na opinię... Lubimy prawdę, ale naszą czysto podolską prawdę.

— Ach daruje pani, ale pod tym względem jesteś uprzedzoną...

— Doprawdy? proszę zechciej mię przekonać. Powiedz, słyszałeś pan kiedy, żeby kto u nas, a dzięki tej czarnej ziemi, mamy bardzo zamożnych obywateli, zrobił jakąś ofiarę na użytek publiczny, czuł się w czembądź obowiązanym społeczeństwu? Słyszałeś pan kiedy o jakiem stypen-

dyum, o jakimś szpitalu, o jakiejś dobroczynnej instytucyi lub czemś podobnem?...

— W tem są pewne miejscowe trudności, jak mię zapewniano...

— Mój panie, chcącemu nie ma nic trudnego... Ale trzeba panu wiedzieć, myśmy skierowali nasze usiłowania do celów nierównie wznioślejszych, serca nasze roztopiliśmy w nieograniczonej miłości, wiesz pan czego?

— Cnót domowych...

— Rubla, szanowny panie... rubla! My jesteśmy z zasady demokraci... Tytuły nie mają tu znaczenia... Widziałeś pan, jak pani Aleksandrowa traktuje swego barona? Rubel nas zniwelował... I on jeden ma prawo do szacunku, poważania, uczciwości, a nawet żąda tego wszystkiego od tych co nie mają rubli. Spróbujno pan wystąpić z jakimś zarzutem przeciw rublowi? a zobaczysz jak cię okrzyczą za demagoga i parweniusza, ani się spostrzeżesz, jak cię obrzucą klątwami, nim powiesz dalsze słowo...

Rozmowa ta pełna sarkazmu na ustach młodej kobiety, zaczęła być dla mnie przykrą — widziałem, że gotowa z zasady już gryźć wszystko i wszystkich, i rad byłem, gdy jakaś głośniejsza wrzawa dochodząca z drugiego pokoju przerwała nasze debaty...

Pan Leon już z prawdziwym ferworem prowadził właśnie dziarskiego mazura z panią baronową na czele, a uniesiony zapałem wprowadził całe koło tancerzy aż do jadalnego pokoju. Młodzi przemykali się między stołem jako tako, lecz starsze damy zaczęły sarkać na to, czem oburzony pan Stanisław, ów poważnej miny Anglik, odłączył się z częścią tańczących i powrócił z drogi do sali.

— Jak pan śmiałeś zmieniać porządek? — krzyczy obrażony pan Leon.

— Bo mi się tak podobało — odpowiada niedbale jurysta amator. — Dziś już na *szpicbalach* nie wymyślają takich figur...

— Pan mię obrażasz!

— Obrażam.

— Biorę panów na świadków — rzecze do otaczających — że jestem umyślnie obrażony... Ja panie, ja Leon Dymnicki, jestem obrażony...

Taniec przerwano, na środku sali uformowała się gromadka ciekawych, przybiegł i pan Aleksander, zaczął mitygować i perswadować, lecz gdy gwar wzrastał coraz bardziej i groźniejsze słowa wylatywały ze stron przeciwnych, zaproponował Mikołaj wyniesienie się do oficyny dla pogodzenia przeciwników.

— Jabym go zamalował i rzecz skończona! — mówi półgłosem do Leona pan Mandoliński.

— Wszyscy widzieli, ja nie zaczepiałem... Nie daruję, jakem Dymnicki...

— Wyzwie cię — rzecze jakiś czupurnej miny młodzieniec, wieszając się pod rękę Stanisława...

— Niech wyzywa...

— Wyzwę jak Pana Boga kocham... Jakem Dymnicki, do ostatniej kropli krwi — dochodziły urywane jeszcze słowa od tłoczących się ku drzwiom przedpokoju gromadki.

Wiedziony ciekawością, jak się ta sprawa zakończy, pobiegłem i ja za nimi, a potrzebując nabrać papierosów do cygarnicy, wstąpiłem do swego pokoju...

Tu znowu inny przedstawił mi się widok. Na oknie pali się bladem światłem jakaś łojówka, w drzwiach przeciwległych stoi Pędzichowska, a przez całą długość pokoju skacze jak opętany kandydat do instytutu politechnicznego w Rydze.

— Tramta tam ta, tramta tam ta — wyśpiewuje sobie już cały potem oblany od zmęczenia, i wywija nogami i podskakuje tak dziwacznie, jakby go szał opanował.

— Co pan robisz? — pytam go nagle.

— Et to nic... to... — odpowiada zatrzymując się przedemną widocznie zażenowany. — To widzi pan, ja sobie *przepowiadam* mazura...

— Jakto „przepowiadam?“...

— No przypominam sobie, bo ten guwerner mój uczył mię i uczył, a tu jakoś inaczej tańcują mazura... Mój drogi panie, niechno pan zobaczy czy tak będzie dobrze, Pędzichowska mówi że dobrze, ale ja więcej panu wierzę. Najgorzej proszę pana idzie mi z temi hołubcami... nie mogę trafić obcas w obcas, żeby stuknęło, ale zawsze wyrżnę się w nogę... prawda panie, że trudno, hę?

— Bardzo trudno...

— Widzi Pędzichowska — mówi zwracając się do staruszki — że bardzo trudno...

— A dlaczegoż pan Leon, serdeńko, jak podskoczy...

— Podobno za wiele podskakiwał! — szepnę do Adolfka — bo poróżnili się z panem Stanisławem w mazurze i teraz przyjdzie do pojedynku.

— E, e, e, do pojedynku... naprawdę panie do pojedynku? Jak Boga kocham, nie widziałem nigdy pojedynku. Proszę pana, w pojedynku, to się biją?

— Naturalnie, do śmierci!

— E, e, e... naprawdę do śmierci?

— Pójdź pan do Mikołaja, a zobaczysz...

— O, jeżeli na śmierć, to ja nie pójdę... mama by się gniewala, ja proszę pana jestem nerwowy... tak proszę pana, bo jestem podobny do mamy... a mama ogromnie jest nerwowa... Nieraz jak się rozgniewa o co na tatę, to z płaczu dostaje ta-

kiego trzęsienia, że wszyscy ją trzymamy za ręce, a ona się trzęsie i trzęsie...

— Mama jest kobietą, a pan przecie mężczyzna...

— Przepraszam, nie, ja jeszcze nie mężczyzna... mama mówi, że jak wrócę z Rygi, to dopiero będę mężczyzną... i będę miał swojego lokaja i strzelbę...

— A kiedy tak, to „przepowiadajże“ sobie pan mazura — rzeknę wychodząc z pokoju.

U pana Mikołaja za to młodzieży jak nabił, a dymu tyle, że trudno rozpoznać osoby. Wśród gwaru, krzyków, odgróżek, rad i odradzań dominuje głos pana barona, który stanąwszy na krześle między dwoma partyami przeciwników, nieustannie woła:

— Za pozwoleniem panowie, za pozwoleniem... ależ pozwólcie...

— Byłbyś wiesz czem Stasiu, gdybyś ustąpił — szepcze do ucha naszego dżentlemana jakiś Galicyanin...

— Leosiu, pokaż mu, jak to u nas honor krwią się myje — woła uderzając o stół Mandoliński. — Żadnej zgody... jabym panie posiekał go w drobne kawałki!

— Za pozwoleniem panowie, proszę o głos — powtarza swoje baron.

— Słuchajno Aleksandrze — szepcze przy drzwiach Głębocki do gospodarza domu, przeciskającego się ku stolikowi — czyby mocium dziu nie dać znać

sprawnikowi?... Co to jest, żeby o takie głupstwo przelewać poczciwą krew szlachecką... Sprawnik przyjdzie, nie da i kwita...

— Ależ serce, poczekajmy jeszcze...

Tymczasem czerwony jak burak pan Leon Dymnicki siedział na łóżku z desperacką miną, pijąc już czwartą z kolei szklankę wody. Krawatka mu się na szyi przekręciła, boczne kosmyki włosów zasłaniające łysinę opadły na kołnierz, rozpinał kamizelkę, poprawiał fraka, opędzając się brzęczeniu przyjaciół, którzy go ze wszystkich stron szarpali, pobudzając do energicznego wystąpienia.

— A róbcież jaki koniec! — zawoła do barona — bić się to bić, niech dyabli wezmą...

— Za pozwoleniem panowie — przemawia znów z krzesła baron — robić to robić porządnie, z zachowaniem zwyczajów...

— Ależ moje serce — przerywa mu pan Aleksander, ściągając z krzesła — w moim domu ja nie mogę pozwolić na taki skandal...

— Obraził go! — krzyknie Mandoliński — krew panie za taką zniewagę, krew!

— Krew, krew! — powtarza chórem druga strona...

— Zróbmyż więc panowie po ludzku — mówi dalej baron — panie Leonie, proszę sobie wybrać

dwóch sekundantów... a pan Stanisław również... tak ludzie robią za granicą...

— Oho, kiedy już mowa o sekundantach, ja taki idę do sprawnika — szepcze pan Głębocki, biorąc mię nie wiem dla jakiej racyi pod rękę i wyprowadzając z pokoju. — Panie dziu z tą naszą młodzieżą nie można żartować, powybijałoby się to do nogi...

— Zdaje mi się szanowny panie, że to wyglądać będzie na denuncyacyę...

— *Pro publico bono* panie dziu, *pro publico*. Tam gdzie idzie o życie ludzkie, wszystkie środki godziwe.

— Ale nie w sprawach honorowych...

— Darujesz panie dziu... ale co do honoru, to ja znam się na tem. Siostra mojej żony jest za hrabią z Wołynia, druga za księciem panie dziu... Uważasz panie tego, ja wiem co honor...

Naturalnie tym argumentem przekonał mię zupełnie pan Głębocki; siostra żony za hrabią byłaby już dostateczną rękojmią honoru, a cóż dopiero ta druga co za księciem?...

Nie wiem już, co dalej działo się w oficynie, ale za to między damami w salonie panował straszny popłoch. Obstąpiono nas z ciekawością dopytując „a cóż, a jakże... nie godzą się?...“ Toż samo działo się przy powrocie innych mężczyzn, którzy coraz groźniejsze przynosili wiadomości: na

pistolety... na rewolwery... o dwadzieścia kroków... do barjery... jutro rano... itp. Powszechne oburzenie było przeciw panu Stanisławowi.

— Bo żeby to jeszcze coś porządnego — mówi mama Sokołowska — ale to wioszczyna obdłużona... udaje mądrego, uczonego i myśli, że na ten szyld złapie jaką bogatą żonę... Słyszę, zajeżdża do Kraszowic... Nie mieliby też komu oddać Jadwisi...

— Pani się śmieje — pytam, zbliżając się do panny Melanii, rozmawiającej z panią Sokołowską.

— Żadna komedya tyle mię nie ubawiła, ile ten pojedynek...

Zrobiłem wielkie oczy, widząc niezwykłą wesołość panny.

— Pan musisz złą mieć opinię o mojem sercu, widzę to po pańskiej minie... Bądź pan spokojny i o nich i o moją dobroć... Zaręczam, nie zrobią sobie żadnej szkody. Odkąd pamiętam, nie było tu u nas żadnego pojedynku... karmiemy się młodą kukurydzą i pasztecikami ze ślimaków...

— Waryaty! — zawoła wchodząc z impetem Mandoliński — chcą się strzelać zaraz w nocy przy latarniach...

Jak raz huknęło coś w jadalnym pokoju jakby z pistoletu, wszystkie panie krzyknęły ach! — a jejmość Sokołowska naprawdę zemdlała... Trze-

źwimy, lejemy wodę... otwiera nareszcie zamglone oczy, a pierwsze jej słowa:

— Leon zabity!

— Nie, zapewniam panią, to tylko wystrzelił korek z butelki szampańskiego wina.

— Już mi lepiej, dziękuję...

Pan Głębocki, konesor honoru obywatelskiego, nie zapomniał o sprawniku; trafił tylko w złą chwilę. Szanowny urzędnik ten miał daleko ważniejszą czynność do załatwienia — bo pulę wynoszącą już przeszło trzysta rubli, do której odważniejsi aspiranci dorzucali kolejno po kilka i kilkanaście papierków.

— Pół puli! — krzyknie wstając z krzesła i rzucając kartę na prawo i na lewo.

Grobowe milczenie zaległo dokoła — słychać było nietylko oddech grających, ale nawet delikatny szelest kładzionych kart po środku.

— Szczęście! — zawoła rzucając z pasyą trzymane jeszcze karty... Przegrał!... A ta kanalia newka! Ile było w puli?

Obliczono, że pula wynosiła trzysta czterdzieści rubli...

— Tak, zapiszcie za mną sto siedmdziesiąt — mówi cały blady, zapalając papierosa.

Lecz mirowy sędzia, do którego właśnie pan sprawnik zwracał mowę, jakoś nie spieszył się

z zapisywaniem, lecz wziąwszy kredkę do ręki, czekał spoglądając ku współgrającym.

— No cóż, zapiszcie, ja odpowiadam... nawet jednej karty nie trafisz, tfu!

Gdy sędzia z widoczną niechęcią stawiał przed miejscem sprawnika ową cyfrę 170, pan Głębocki delikatnie odciągnął go na stronę.

— Panie sprawniku, proszę na chwilkę, maleńki interes.

— Co, założyliście za mnie?... Daję wam słowo, natychmiast odeszlę... Dajcie trzysta rubli.

— Nie mam z sobą... jak konor hocham mocium dziu, tyle nie mam.

— Tak dajcie dwieście?

— Ale bo to o co innego idzie mocium dziu, tam w oficynie kompletnie się zabijają... tego... pojedynek mocium dziu...

— Czort ich zabierz, niech się zabijają, a jakie w tem moje dzieło?... Ja tylko połowę bił i nie mógł zabić, ot szczęście...

Pula jeszcze była nierozegraną, i znów przyszła kolej na sprawnika, z czego korzystając pan Głębocki, przytuliwszy uszy, wyniósł się cichaczem z pokoju i nie czekając do kolacyi, drapnął gdzieś do oficyny, że go już potem oko ludzkie nie widziało.

Tymczasem powoli wszystka gorąca młodzież, czy znużona walką, czy zwabiona kolacyą, znalazła

się w salonie. Przy bocznym stoliku zastawionym butelkami znalazł się pan baron, odgrywający tu rolę gospodarza...

— I cóż z pojedynkiem? — pytam go przyjmując kieliszek...

— Jak przyszło do wyboru sekundantów, a usłyszeli o sprawniku, wszyscy drapnęli... Zresztą ojciec żony... uważasz pan, Sokołowska prosiła...

— Więc cóż?

— Podali sobie ręce...

Jakoż w tej chwili pokazała się trójka prowadząca się pod rękę, pan Aleksander w środku, po bokach dwaj zapaśnicy z uśmiechniętą miną.

— Wina! — krzyknął pan Zygmunt. — I choć to nie była pora do toastów, nalano kieliszki a młodzież z niekłamaną szczerotą wypiła staropolskie „hochajmy się“.

— Złote serca u naszej młodzieży, co? — mówi mi z rozkoszną miną uszczęśliwiony pan Aleksander. — Głupstwem są te wszystkie pojedynki... U nas serce, jak widzisz, tak zawsze zgodnie, po Bożemu, nie tak jak u was... My tu szanujemy nasza poczciwą krew na lepsze czasy...

— Powinszować panu takiego pojednawczego usposobienia — odzywa się panna Melania do pana Stanisława — postąpiłeś po chrześciańsku.

— Pani sobie żartuje ze mnie. Rzeczywiście farmazonem nie jestem, Darwina nie czytam, a skoro przeprosił...

— To bardzo logicznie...

— Powiadam ci, jak honor kocham — zapewnia w kącie jakiegoś grubego jegomości pan Leon — jak mię zaczął przepraszać, nie było sposobu!... Mówię ci, formalnie całował mię po rękach!...

Zasiedliśmy ochoczo do kolacyi. Gospodarz nie żałował wina, a gdy wznoszono toasty, odezwała się muzyka, dodając animuszu. Skoro więc zagrano walca, tyle par wystąpiło naraz do tańca, że zdawało się, iż rozniosą ściany salonu, tak to wszystko rozbijało się po kątach... Starsze damy powoli zaczęły znikać, pan dyrektor z żoną odjechał, toż samo zrobiła pani marszałkowa z Melanią, zaprosiwszy mię w uroczysty sposób do siebie. Młodzi tańczyli jeszcze, choć panicze coraz więcej obsiadali zielone stoliki, przy których baron rej wodził, chowając do kamizelki pomięte papierki.

Za to z panem Leonem jeszcze nie koniec. „Co się odwlecze, to nie uciecze“, powiedział sobie jego los opiekun kiwając głową. Osoba tego szanownego przyjaciela kobiet, już dawno na notesce kontrolora przyszłości ludzkiej naznaczoną była na bohatera, i jeżeli ów mazur naokoło jadalnego stołu zrobił kompletne fiasco, to za to udała mu się inna wyprawa do świątyni Fauna

w gabinecie pana Aleksandra, w której zachowaną była jeszcze butelka rumianej Dry Madery.

Są indywidualności opatrzone takim zapasem pamięci, że ich ona wśród największych nieszczęść nie zawodzi. Do tych należał i pan Leon, który nie mógł mimo usilnych starań panów Soterna i Szampana przy kolacyi zalać owego robaka zgryzoty. Kiedy więc tańce szły sobie w sali ochoczo, on pocichutku wysunął się do owej szafki w gabinecie, a odkrywszy u stóp Fauna przed panią Maderą wszystkie bole swej duszy, szukał u niej pociechy i ratunku.

Panie, to już rzecz znana, mają dobre serce, a doktorowa Madera, jako osoba gorącego temperamentu, lepsze od innych; zatem ukoiwszy nieszczęśliwego pupila swego, ułożyła go do spoczynku między futrami zgromadzonemi tam na sofie, a ułożyła tak zręcznie, że pana Leona niktby tam nie odszukał.

Trzeba zdarzenia, że pani Sokołowskiej usłano właśnie w tym gabinecie sofę ze wszystkiemi wygodami, na jakie tylko zasób domowy zdobyć się potrafił, a nawet z ofiarą jednej, jedynej dla waszego sługi czytelnicy przeznaczonej poduszki. Kiryło zapewniał, że pani Sokołowska musi spać na trzech, więc ja powinienem kontentować się maleńkim jasiem panny Mici.

— Bo proszę pana — mówi mi Kiryło — panicz pani Sokołowskiej ma się do naszej panienki... Akcyznikowi już dziś *odkazali* i ujechał jeszcze przed kolacyą.

Około drugiej godziny zaprowadziła pani Aleksandrowa szanowną matronę z wielką pompą do swego gabinetu.

— Żebym tylko mogła się przespać spokojnie — rzecze dziękując gospodyni — ten wypadek dzisiejszy rozstroił moje nerwy... Czuję, serce rozsadza mi piersi... a ja tak nie mam snu...

— Urządziliśmy wszystko jak najlepiej, ten pokój jest najbardziej oddalony od sali, a w trzecim tylko grają jeszcze starsi panowie w wista, i sądzę niedługo skończą...

Ucałowały się obie damy serdecznie, jakoby przyszłe babki nowej generacyi Sokołowskich, albowiem już wszystkim wiadomo było, w jakim celu zjechała tu z synem ta dama. Służąca zamknęła drzwi, zgaszono świece i nic już nie przeszkadzało do uspokojenia rozstrojonych nerwów.

Około piątej zrana odprawiono muzykę, a zostali panowie dyabełkowicze przy zielonych stolikach.

— Słuchajno Ignasiu, nie masz z sobą drobnych pieniędzy? — zaczepia mię już na wychodnem kuzynek Mikołaj. — U mnie w pokoju śpią goście, i nie mogę się tam dostać do biurka.

— I owszem, co mam tem ci służę.

— Tęgo idzie gra... Powiadam ci, Zagonowskiego można ściągnąć, pali się... Ja ci jutro rano oddam — rzecze przyjmując odemnie pieniądze. — Ile tu ma być? Sto dwadzieścia rubli? Dobrze, pamiętaj biorę sto dwadzieścia... A ty nie spróbujesz?...

— Nigdy nie gram...

— Szkoda, mógłbyś co „chapnąć“, to przynajmniej pójdź się przypatrzyć... I tak łóżko twoje pewno zajęte... Baron dobrze stoi...

Powlókłem się więc za nim z pustym już pugilaresem i przechodząc od stolika do stolika, podziwiałem tę szlachetną i ciężką pracę ludzi, których uczciwa krew nie powinna być na byle co marnowaną.

Czytelnicy zapewne nie wezmą mi za złe, jeżeli kiedyindziej opisując tamtejsze jarmarki, dam im więcej szczegółowe o tej obywatelskiej pracy sprawozdanie, bo na teraz pilno mi zajrzeć do pana Leona, spoczywającego wśród pachnących tumakowych salop w gabinecie pana Aleksandra.

Gdyby spirytus uczęszczał kiedy na wykład logiki w Niemczech, to zwolennicy jego, upiwszy się, poszliby spać i nie zawracali głów trzeźwym, ale że ten sam spirytus należy do liberałów, przeto wolno mu mieć swoje marzenia, które w tej chwili w głowie pana Leona przedstawiały się w formie pozostałej u stóp Fauna resztki Madery. Walcząc

ze snem, prawie cudownym sposobem wydobył się z futer, otworzył szafkę, wysączył resztę, i legł na swoje miejsce. Skrzypnięcie drzwiczek i zapewne niezbyt delikatne obejście się z Maderą przerwały sen pani Sokołowskiej, otworzyła więc oczy i spojrzała przed siebie... Szafka była otwartą, z czego korzystając wschodzący księżyc, oblał swem światłem arcydzieło Canowy.

— Mówię panu — opowiada mi to na drugi dzień pani Sokołowska — serce mi bić przestało... Chciałam krzyknąć... zabrakło mi głosu, tyle jednak miałam przytomności, że zamknęłam instynktownie oczy. Dreszcz, poty, bicie serca, ale to bicie jak młotem, buch... buch... no mówię panu, włosy stanęły mi na głowie!

— I cóż dalej? — pytam.

— Jednak po chwili gdy czuję, że głowa mi jeszcze siedzi na karku, pomalutku, z ciekawości otwieram oczy i ze strachem znów spojrzę... Okropności... Ten sam biały dyabeł na kozich nóżkach stoi tam gdzie stał i śmieje się do mnie. Poleciłam ducha Panu Bogu, przeżegnałam się i znów spojrzę... Ale zdaje mi się zaczyna przebierać kopytkami... prawda — rusza się... aż naraz jak ryknie... a ja równemi nogami i na ziemię i do drzwi.

Otóż właśnie ja stałem za grającymi przy stole, tyłem obrócony do drzwi, któremi pani So-

kołowska wpadła z krzykiem, chwytając mię oburącz za szyję...

Jeżeli ona się zlękła białego dyabła, to ja sto razy więcej, uczuwszy na plecach coś bardzo ciężkiego, a na szyi żywą obrożę ściskającą mi gardło.

— Biały dyabeł! — słyszę przeraźliwy głos nad uchem i czuję, że te ręce formalnie mię duszą, a ciężar w tył pociąga.

Wszyscy zerwali się od gry, i to szczęście, że młody Sokołowski poznawszy matkę po głosie, przybiegł jej z pomocą, inaczej bylibyśmy runęli wspólnie na podłogę.

— Biały dyabeł tam, biały dyabeł! — powtarza ze strachem, pokazując na drzwi gabinetu i chowając się w kąt pokoju za syna.

Odważniejsi, porwawszy świecę, weszli do gabinetu, a ujrzawszy z daleka śmiejącą się twarz figury, cofnęli się znowu.

— Ależ to posąg! — zawołałem, przypomniawszy sobie wczoraj oglądane arcydzieło — to marmurowa statua!

— Nie, nie! — woła z kąta, drżąc ze strachu kobieta. — Nie, to żywy dyabeł, przebiera nogami...

— Niech się pani przekona...

— Za nic w świecie! tylko posłuchajcie, ryczy...

Uciszyli się wszyscy nadstawiając ucha — rzeczywiście słychać jakieś przeciągłe chrapanie,

wcale niepodobne do ludzkiego głosu. Ale że było nas tylu, więc uzbroiwszy się w laski, już z dwoma świecami postępujemy zwolna w stronę, zkąd wydobywa się odgłos... Spostrzegłszy wystające z pod futer buty, nabieramy odwagi, a pokazuje się, że przybyliśmy w sam czas, bo biedny Leoś, opuściwszy głowę z sofy ku ziemi, mógł lada chwila stać się ofiarą apopleksyi... Dopieroż śmiech powszechny i cucenie śpiącego dyabła!

Na wiadomość, że to pan Leon był powodem owego przestrachu mamy Sokołowskiej, pani ta wpadła w prawdziwą pasyę, i długi czas nie mogliśmy dać sobie rady z obrażoną i rozgniewaną matroną. Mimo, że wynieśliśmy do salonu nieprzytomnego Leosia, że zamknęliśmy szafkę z Faunem, nie chciała powrócić do tego pokoju. Musieliśmy zatem przenieść sofę do innego pokoju, a sami zaprzestać gry wbrew opozycyi pana Mikołaja, który moje stodwadzieścia rubli już przepuścił, tracąc szansę odegrania. Wprawdzie mnie okoliczność ta nie wyszła na złe, gdyż zająwszy pozycyę Leona między futrami, przespałem się wygodnie do rana.

Gdy cała ta sprawa wyszła na jaw przy kawie, wytrzeźwiony Dymnicki nie śmiał podnieść oczu na panią Aleksandrową, a dowiedziawszy się, że Kostuś szuka sekundantów, desperacya jego nie miała granic.

— Pięknie pan pokierowałeś sprawą — rzecze doń półgłosem gospodyni, przypatrując mu się przez lornetkę. — Wszystko stracone, Sokołowska obrażona na nasz dom, i kazała zaprzęgać do karety... Otóż to przyjaciel domu...

— Niech się dzieje wola Boska! — zawoła z rozpaczą Leoś. — Mam jeden środek naprawy tego wszystkiego... mam!

I nie dopiwszy herbaty, zrywa się od stołu i wybiega z pokoju.

— Co on zrobi? — mówi do mnie gospodyni. — Myśli że ją ubłaga... Myli się, to uparta i rozkapryszona kobieta, jestem pewna, że wyrzuci go za drzwi... Przyznam się, toż samobym zrobiła... co to jest zakradać się do pokoju kobiety!...

— Ależ pani Sokołowska, poważna matrona, wyższa po nad taką drażliwość...

— Dziecko jesteś, panie Ignacy; pani ta ma więcej jeszcze pretensyj od najmłodszej panienki. Widziałeś jej strój pretensyonalny do figury... jej wyciętą suknię...

— Chwała Bogu! może się to wszystko pomyślnie skończy! — odzywa się wchodząc do nas pan Konstanty z rozpromienioną twarzą.

— Cóż takiego? — pytamy wszyscy.

— Leoś oświadcza się mojej mamie...

— Nie może być?

— Najformalniej, na kolanach, z płaczem...

— Jakto, i mama się zgodzi? — pyta ciekawie pani Aleksandrowa.

— Droży się jeszcze... ale widzę, zezwoli... ja znam mamę... zaczyna płakać także... I lepiej, będę miał ojczyma, bo co to jest proszę pani strzelać do człowieka, a musiałbym, jak honor kocham, musiałbym...

Niedługo znika niepewność, wrócił i pan Leon z uszczęśliwioną miną, całując ręce gospodyni...

— Naprawiłem, prawda szanowna pani, wszystko naprawiłem... — dodaje westchnąwszy...

Nadspodziewanie jednak, pani Aleksandrowa przyjęła tę wiadomość z bardzo a bardzo obojętną miną, a gdy rozochocony Kostuś zapytał o Micię, rzekła mu sucho:

— Biedaczka bardzo cierpi na migrenę... wątpię czy wyjdzie do salonu...

— Panie Ignacy — szepnie mi nieznacznie po za samowarem — bądź łaskaw daj znać Mici, żeby mi nie wychodziła na krok ze swego pokoju.

Rozkaz ten wypełniłem ochoczo, dla czego, również nie wiem, może dlatego, że Micia, dowiedziawszy się o zmianie frontu, była nadzwyczaj tym wypadkiem uradowana.

— Dobrze to mówią ludzie — rzecze później z całem zaufaniem pani Aleksandrowa — że od głupich przyjaciół zachowaj nas panie. Jemu się zdaje, temu przepraszam pijaczynie, że ja wyda-

łabym teraz Micię za Konstantego. Cały majątek jej, a idąc za mąż powtórnie sama go potrzebować będzie. No powiedz sam, cóż ten Kostuś wart bez Kopytkowic? Nic... próżniak bez nauki... ot poprostu pasożyt obywatelski...

Dziwna zmiana opinii — pomyślałem — wczoraj był pożądaną partyą, a dziś?...

— Aleksander — mówi do wchodzącego męża — proszę mi wyrzucić natychmiast to straszydło z gabinetu... wiesz, tego twojego Fauna...

— Serce moje, to arcydzieło Canovy... — sumituje się nieśmiało pan Aleksander — to marmur kararyjski...

— Żeby to było samo złoto, to wyrzucić, inaczej każę potłuc w kawałki... Jakieś potwory stawiać w pokojach, jeszcze z tego może być jakie nieszczęście! Co to za głupia moda...

— Duszeńko...

— Żadna duszeńko... powiedziałam i rzecz skończona! zakończyła z energicznym giestem wychodząc z pokoju.

I cóż więcej? — zapytacie czytelnicy.

Jak na teraz nic! Czy wam zamało na jednem małżeństwie i to małżeństwie podeszłej wdowy, o które zawsze trudno między ludźmi, a jeszcze trudniej w powiecie? Zresztą, muszę i ja trochę odpocząć po tylu wrażeniach. Bądźcie spokojni, daleko jeszcze do końca moich przygód, Podole

jest niewyczerpaną krainą do zdejmowania obrazów. A panna Melania?...

Żart na stronę, rzeczywiście nie wyjeżdżam jeszcze z tych okolic, raz dlatego, że dzięki formalnościom prawnym, daleko mi do odebrania owych dziesięciu tysięcy rubli, bez których przecież nie wyjadę; a powtóre, że panu Mikołajowi w tym chaosie zginął kluczyk od francuskiego zamka, i nie możemy biurka otworzyć. Choćbym chciał wyjechać, to nie mogę — cały mój fundusz pożyczyłem na szczęście kochanemu kuzynkowi, i co najmniej muszę czekać dwa tygodnie, nim przyszlą mu z Odessy drugi egzemplarz owego kluczyka.

KONIEC.

SPRAWA U WÓJTA.

Zapraszam czytelników do tej opuszczonej przez Pana Boga stanisławowskiej okolicy, którą, jak niesie podanie, szatan, pokazujący na puszczy Chrystusowi Panu świat cały — ze wstydu zakrył odwrotną stroną swej osoby.

No, no, szanowni obywatele galicyjskiego Stanisławowa, proszę bardzo, nie róbcie tak srogiego marsa, nie ruszajcie wąsami z gniewu — tu nie o was idzie! Koło Warszawy po prawej stronie Wisły ku Podlasiowi, jest drugi wasz imiennik, także Stanisławów. Ale gdzie jemu do waszego grodu, który ma asfaltowe chodniki, gaz, hotele europejskie, straż ogniową, muzykę z indyczemi piórami u czapek muzykantów, swoje losy publiczne, i swoją bryłę szczerego złota do przegrania!

Ten Stanisławów z pod Warszawy, o którym chcę mówić, jest sobie taka biedota, że doprawdy wstyd nam robi, nosząc toż samo nazwisko. Wy-

obraźcie sobie, że tam prócz jednego dukata z uszkiem, używanego jako medal dla narzeczonych w rodzinie Borucha Friedmana, nikt jak żyje innego złota nie widział. Nawet gdy przyjdzie święto Trzech Króli, to pan burmistrz rok rocznie dla utrzymania zwyczaju i honoru parafii, daje do święcenia ślubną obrączkę swoją, a i ta, jak utrzymują złośliwi, jest bardzo poszlakowanej szczerości.

Otóż w tem Stanisławowskiem — cały bowiem powiat nosił to nazwisko, choć rezydencya jego była w Mińsku — istnieje wioska o dwudziestu pięciu chatach, zwana Wielkim Zakątkiem, w której prócz kościoła parafialnego z wybielonym frontem, mieści się urząd gminny i nibyto dworska propinacya pod nadzorem Szlomy Bernszteina. Co środę jest tu sąd gminny i jest tam Szloma, długi, chudy i nigdy nieczesany żyd jako pachciarz, jako suchy arendnik, jako dzierżawca młyna i rybołostwa, jako dzierżawca majdanu, i jako, jako... główna oś życia wszelakiego w Wielkim Zakątku.

Będąc prawowiernym katolikiem, ma się rozumieć ja, a nie Szloma Bernsztein, i nie mając najmniejszego powodu kuszenia czytelników jak ongi szatan Chrystusa Pana, nie ukryję nic z piękności tej okolicy. A nie jest ona znowu tak brzydką, żeby nie mogła wzbudzić potrzebnych uczuć w sercu naprzykład takiego pana Heliodora,

pisarza gminnego, który do siostry księdza proboszcza w tym samym Zakątku wiersze pisuje. Nie — ma swoją rozmaitość, choć na wspólnem tle żółtego piasku, jako to: karłowatej sośniny kępy, których kupiec wycinać nie chciał, dalej trochę moczarów z olszynowemi zaroślami, a wreszcie górki i niziny również ze szczerego piasku, lecz za to przetkane czarnemi punktami wychudzonych pni po wyciętych lasach. Gdzieindzie na pochyłości stoi kilka brzóz samotnych, którym się już płakać sprzykrzyło, gdzieindzie w otwartem polu medytuje niby rozłożony parasol geometry stara przysiadła gruszka, a wszędzie, jak okiem zajrzeć, wałęsają się różnego kształtu i koloru kamienie polne, nic tylko kamienie, jako świadkowie potopowej jeszcze rewolucyi.

Sam Wielki Zakątek przycupnął na małem wzgórzu, mając u stóp swoich wijącą się wśród olszynowych zarośli rzeczułkę, ginącą tuż przed kościołem w jakiemś trzęsawisku, które tu nazywają stawem. I zdaje się, że tam pod zieloną pokrywą trzciny i sitowia musi być coś płynnego, skoro jest obok usypana grobelka z drogą, prowadzącą do wsi, jest jałowy upust dla zbytniej wody i egzystuje młynek do połowy już w ziemię zapadły, na którego drzwiach głupi Maciek porysował węglem udatne portrety imci pana Szlomy Bernszteina. Biedny ten stary trzęsący się młynek ze

zbakierowanym dachem, rozpaczliwą miną swoją bardzo przypomina podchmielonego chłopka, wracającego z karczmy ku domowi. Stoi on to niby, ale widać, że forsownie nadrabia miną, aby nie stracić równowagi.

Tuż obok, przedzielony szeroką zbutwiałą rynną, prowadzącą niegdyś wodę na koło, czerni się niby suchotnik rozebrany do koszuli, obszarpany i zdesperowany tartak olbrzymich rozmiarów. Dopóki Zakąteckie lasy dostarczały sosen zwanych tu chojakami, zapomniany dziś piłat miał swoje świetne chwile: zgrzytając dzień i noc zębami dwóch pił, pruł kloce na deski i bale, które pan Szloma co wtorek i piątek na kilku gospodarskich furmankach wyprowadzał do Warszawy. Ale gdy przed trzema laty poszły już pod piłę ostatnie nasienniki — tartak po rozbrojeniu zostawiono na łaskę i niełaskę czasu, jako widomy znak niewidzianych już teraz borów Zakąteckich.

Kierując się od młyna ku górze, na której stoi kościół, spotykamy po prawej ręce od drogi kolosalnych rozmiarów dymiącą się baranią czapkę — właśnie to jest majdan, w którym jeszcze ten sam Szloma wysącza na smołę i terpentynę resztki pni po starodrzewach i wypala karłowate sosny na materyał już nieprzydatne. Na około tego majdanu, wśród stosu porąbanego łuczywa, poniewierają się omazane smołą beczki i półbeczki, a nad

tem wszystkiem skrzypi wysoki żuraw od studni z balansującem na żerdzi wiaderkiem. Posępnego oblicza majdan ma przystawioną obok siebie i przez wygiętą rurę połączoną kadź, niby fajeczkę na krótkim cybuszku, z której od czasu do czasu pyka sobie dymem i terpentyną dla rozrywki.

Teraz zapuszczając stopy w ruchomym piasku, mało co niżej niż po kolana, wywindujmy się na wzgórze, a będziemy już we wsi. Miejsca na ulicę wcale sobie nie żałowano — choć w dziesięć karet zaprzężonych w poręcz czwórkami można tu jechać wygodnie. Zaraz na prawo tuż nad majdanem stoi drewniany kościółek, przytulony do murowanej fasady swojej, ogromnie uszczęśliwiony, że ma go kto od wichrów północnych zasłaniać. A dobrodziejstwo takie nie dawniej jak przeszłego roku wyświadczył mu za poradą księdza proboszcza miejscowy dozór kościelny, wystawiwszy na przodzie w różne esy i floresy powykrawany mur frontowy, gdy cały kościół drewniany pozostał w tyle. Funduszów na budowę nowej świątyni parafia nie miała, stary kościół znów zanadto naprzód cisnął się piersiami, więc zdecydowano tymczasem dać mu nowy pancerz, do którego nie wiadomo jakim cudem udało się panu Bartłomiejowi, cieśli ze Stanisławowa, przylepić resztę drewnianej budowli. Bądź co bądź nowy kościół od wjazdu wyglądał imponująco, a umieszczona na jego szczycie i nową

blachą pobita kopuła z krzyżem, już dwie mile widną była niby gorejący snop przedziwnie mieniącego się blasku słonecznego.

Stanąwszy przed kościołem, mamy już przed sobą na prawo i lewo ciągnące się w dal szeregi chat wiejskich w rozmaitej pozycyi do ulicy ustawione. Z lewej ten szereg rozpoczyna oczywiście karczma wielka, rozlana z podsieniem na słupkach i stajnią zajezdną zamienioną na stodołę arendarza. Karczma ta dzięki staraniom pana Szlomy, ma wewnątrz katarynkę, stojącą na wielkim stole, a zewnątrz aż dwa szyldy. Na jednym, sprowadzonym umyślnie z Warszawy, poważnej tuszy w niebieskim fraku i z wysoko pod uszy wzniesionemi kołnierzykami, siedzi jegomość serwetą podwiązany pod samą brodę. Czy on miał co jeść, czy też golić się — już nie wiadomo, albowiem Szloma przez oszczędność kupując ten szyld na Pociejowie, nabył tylko jedną połowę blejtramu; jemu głównie chodziło o pokazanie przejeżdżającym panom, że nawet tacy jegomościowie w niebieskim fraku mogą tu znaleźć odpowiednie przyjęcie. Za to drugi szyld krzywo wielkim gwoździem przybity, już dotykalniej przemawia do widzów niższego gatunku: na prawo ma duży gąsior z wódką, obok niego rząd coraz mniejszych naczyń blaszanych i trzy pełne kieliszki; na lewo trzy butelki piwa, z których kłęby burzącej się piany

niby dym z komina, zakrzywionymi łukami wydobywają się wprost do trzech ogromnych szklanic, ustawionych dla braku miejsca cokolwiek wyżej od butelek.

Przeciwległą połać ulicy rozpoczynał naprzeciw karczmy na wysokiem podmurowaniu ustawiony dom gminny, do którego wchodziło się po schodach na ganek. Wprawdzie piasczysta miejscowość nie wymagała takiego podniesienia domu nad poziom, lecz że tak stało w planie nadesłanym z gubernii, gmina nie śmiała budować inaczej. Z jednej i drugiej strony ganku są sztachety przed oknami, a na szczycie facyaty wielka tablica z czarnym orłem i napisem w dwóch językach: „Wójt Gminy Zakątek Wielki“.

Nie pójdziemy już dalej na wieś, raz, że nie ma po co, a powtóre, że trzebaby po same kostki brnąć w piasku; dodamy tylko, że jak ciągnęła się długo ulica, nie widać ani jednego żyjącego drzewa, ani jednego ogródka z zielenią, bo w takiej glebie nawet z urzędu za sztachetami gminnej kancelaryi posadzone brzozy rość nie chciały, dlatego wójt, aby rozkazowi stało się zadosyć, przed każdym przyjazdem naczelnika musiał wkopywać nowe gałęzie z liśćmi, jakoby te były przyjęte.

Godzina piąta rano, słońce jeszcze nie zeszło, dlaczegoż to niezwykły ruch i krętanina obja-

wiają się na ulicach Wielkiego Zakątka? Miejscowy sołtys bez czapki, bez sukmany, jednak z mosiężną blachą, przypiętą do koszuli na piersiach, w asystencyi poważnego kundla Burka i dwóch ziewających dziesiętników, chodzi od chaty do chaty i odbywa rewizyę... Rzeczywiście fakt w dziejach Zakątka niesłychany przytrafił się tej nocy: Szymonowi Boruciowi, gospodarzowi na jednym morgu i jednej czwartej części dawnego czworaka dworskiego, ktoś przez okienko w komorze wyciągnął kożuch, który przed dwoma laty kosztował na jarmarku w Stanisławowie całe trzydzieści sześć złotych i groszy piętnaście.

Podczas gdy sołtys z dziesiętnikami rewiduje w chacie, żona owego Szymona z zapłakanemi oczyma, głosem ochrypłym setny już może raz opowiada zebranej gromadce, jak ona to, wszedłszy do komory po chleb na śniadanie dla swojego, zobaczyła roztworzone okienko, jak wiatr buchnął na nią odrazu, jak ją coś tchnęło, że tu musiał być złodziej, i jak akurat zobaczyła, że nie ma Szymonowego kożucha na ścianie.

Sołtys przechodzi od chaty do chaty, a koło Szymonowej zbiera się coraz większa gromadka. Z czem kto szedł do jakiej roboty, z tem się zatrzymywał na ulicy: to z cepami, to z widłami, to z konewkami na wodę lub garnkiem na ogień — a nawet wypędzający bydło do trzody gromadzkiej

zagapili się do tego stopnia, iż krowy ziewając i rycząc zaczęły się czochrać o urzędowe sztachety kancelaryi, a jedna już pozwoliła sobie sięgnąć pyskiem do zielonych liści posadzonej niedawno brzeziny. Szczęściem, że pan pisarz gminy dopiero przed godziną wróciwszy stójkowymi końmi z komisyi, gdzie z gorzelanym z Rudek całą noc grał w karty, spał jeszcze, bo inaczej spisałby zaraz z tą krową protokół, a sąd gminny nałożyłby ze dwa złote kary za niszczenie urzędowych rzeczy przed kancelaryą.

— Eh, albo oni ta co znajdą? — odzywa się jedna kobieta, trzymająca skopek z mlekiem w ręku. Jak złodziej mądrze ukradł, to jeszcze mądrzej schował. Najlepiej moja Szymonowo dać na mszę do świętego Antoniego, a potem jak się wyjdzie z kościoła, gdzie oko najprzód padnie, tam będzie zguba. Tak rok, kiedy mi się to urwał prosiak, com go gnała z jarmarku, tom dała na mszę świętą, a wychodząc po onej mszy z kościoła, akurat spojrzałam na Zarybnik, i widzita szłam, szłam w tamtą stronę, a mój prosiak leży w rowie...

— Pleć baja, pleć — odzywa się druga z pomarszczoną twarzą jak pargamin, podobno lekarka wiejska — to dobrze jest jak idzie o zgubę, a nie o skradzione... Człek zawsze musi spojrzeć przed siebie, a zguba jest z tyłu?

— To już Pan Bóg i święty Antoni tak dopuści, że choćby niechcący przyjdzie obejrzyć się gdzie trzeba.

— E, rachujta na obejrzenie — dowodzi znowu stara — kiedy jest inszy wypróbowany sposób na złodzieja. Moiściewy, wziąć przetak i wbić w niego nożyce...

— To, to, to, najlepiej przetak! — powtarzają naraz trzy inne kobiety, rozbiegając się po chatach dla odszukania potrzebnych do wróżenia ingredyencyj.

— Widzita — prawi dalej ta sama staruszka — kiedy łońskiego roku zginęły mojej synowej korale ze szkrzynki, to przetak kręcił się i kręcił się i kręcił zawsze ku onej skrzynce. No i cóż powiecie, kiedy korale tam były, choć nie w samej skrzynce, to za skrzynką, boje synowa przypadkiem wyrzuciła, kiedy wybierala przyodziewek... A co to było posądków na innych? Nawet dziewuchę od Floryanowej obiła... i widzita, że niewinnie...

Tymczasem przyniesiono ogromny przetak czy rzeszoto z izby, rozłożone nożyczki ostremi końcami wbito w łubowy kabłąk, a sama znachorka z poszkodowaną Szymonową delikatnie podtrzymywały na końcach palców kółka rękojeści nożyczek. Ciekawość obecnych prawie że oczami wyskakiwała na owe rzeszoto, które zawahawszy się kilka razy

tu i tam, jednym końcem zaczęło się kierować w stronę kościoła. Wszystkie głowy mimowoli obejrzały się na kościół, i zapanowało powszechne zdumienie, żeby znów w świętem miejscu miał się znajdować kożuch skradziony. Zrobiono drugą próbę, stanąwszy z owem rzeszotem od wschodu i zachodu słońca — nie ma wątpliwości, zguba i złodziej są gdzieś w okolicy kościoła.

Przyszła kolej na zrobienie rewizyi w chacie ławnika gminnego, lecz stanowczo nie puścił sołtysa.

— Jak to? — powiada Tomasz Woźniak — ja, co sądzę sam złodziei, mam być posądzany o złodziejstwo?

I mimo protestu Szymona, że wszyscy gospodarze we wsi są sobie równi, mimo odgrażań, że skargę o to zaniesie do pana komisarza, Woźniak nie dał przystępu do siebie i nie dał.

— Eh — odzywa się na to lekarka wiejska — wasza cała robota sołtysie jest po próżnicy i niepotrzebnie turbujeta gospodarzy, bo kożuch jest tam! — kończy, pokazując ręką w stronę kościoła. A gdy mu opowiedziała całą historyę z rzeszotem, szanowny urzędnik wiejski uznał właściwem posłuchać danej rady, kierując swe kroki z całą kawalkatą na cmentarz kościelny.

Słońce jak raz podniosło się nad horyzont, blaszana kopuła tylko się mieni od światła gorejącego, a zacietrzewieni rewidenci wiejscy szukają

owego kożucha po wszystkich zakątkach cmentarza. Gdzie tam! nie ma i nie ma.

— Więc to chyba na majdan pokazywało rzeszoto — dowodzi stara kobieta — bo on jest w tym samym kierunku.

I nie czekając decyzyi sołtysa, spuszcza się po piaszczystej pochyłości wzgórza, w czem dopomagają całej gromadzie wyrostki wiejskie, wywracając po drodze ucieszne koziołki.

Jak raz pan Szloma z drugim jakimś żydem windowali beczkę ze smołą na furę, gdy sołtys w imieniu prawa oświadczył rewizyę w majdanie.

— A szukajcie sobie — mruknął zajęty szwargotaniem z żydem, gdy cała gromada, niby mrówki na mrowisku rozbiegła się po różnych zaułkach stosów łuczywa, węgli i beczek. Naraz daje się słyszeć przeraźliwy krzyk kobiety:

— Sołtysie, a pódźcieno tutaj... kożuch jest!

I rzeczywiście w grubie pieca, na ciepłym jeszcze popiele, spoczywał sobie główny palacz i dozorca majdanu, niejaki Maciej głupim zwany, a spoczywał jak raz przykryty Szymonowym kożuchem. Zedrzeć z niego ten kożuch, i porwać za kudłatą czuprynę spiącego, było ze strony zagniewanego Szymona dziełem jednej chwili. Zaspany chłopisko, czarne jak dyabeł, z opuchniętą od pijaństwa twarzą, prawie bez ubrania, bo to, co było na niem, ledwie że trzymało się na strzęp-

kach — podniósł się ociężale na nogi, a zobaczywszy całą gromadę szarpiących go i krzyczących nad nim ludzi, ziewał tylko i mruczał, opędzając się na wsze strony.

— Do trzysta dyabłów... no no do trzysta... co to robita... dajta spokój do trzysta...

Najbardziej dojadała mu żona Szymona, okładając go pięścią po plecach, po której aż dudniło, z okrzykiem: Naści złodzieju! naści złodzieju, a nie kradnij z komory, a nie kradnij...

Jeszcze głupi Maciek nie był w stanie przyjść do poznania, co się z nim dzieje, gdy sołtys z pomocą dziesiętników skrępowali mu powrósłem ręce, i w tym stanie poprowadzili do gminnej kancelaryi.

— Ny, co to jest? — pyta arendarz, zastępując im drogę — gdzie wy jego bierzecie?

— Do haresztu — ofuknie sołtys.

— A co będzie z piecem? kto będzie pilnował ognia?

— Ha, to sobie ta radźcie jak chcecie, u niego znalazł się kożuch Szymona.

— Wielgie rzecz takie gałgańskie korżuch... pamiętajcie sołtys — mówi pan arendarz — co ja jest Szloma, i co wi jeszcze przyjdziecie na moje podwórko!

— A niechta przyjdę, ale złodzieja trza do haresztu. No chłopcy — mówi, zwracając się do dziesiętników — bierzta go i i pilnujta, bo jakby

uciekł, na was pójdzie wszystko, będzieta odpowiadać nieprzymierzając, jakbyśta sami ukradli kożuch...

Czując, jak wielkie obowiązki leżą na nich, dwaj stróże zaopatrzywszy się po drodze w wielkie koły, które z płotów powydobywali, i niosąc w tryumfie popiołem zawalany kożuch, zaprowadzili aresztanta przed kancelaryę gminną. Pan pisarz spał jeszcze, zatem usadowiwszy głupiego Maćka między sobą na schodach, gawędzili o tem i owem, podając sobie przez głowę drzemiącego więźnia łubową tabakierkę dla poczęstowania.

W karczmie tymczasem, gdzie cała gromada wtoczyła się za sołtysem i Szymonem, który uważał za obowiązek zaprosić na półkwaterek wódki tego urzędnika, toczyła się ożywiona rozmowa o wszystkich szczegółach dopiero co ukończonej rewizyi i odnalezienia kożucha. Kobiety, jak to zwykle bywa na wsi, nieco słabszej głowy a gorętszego na razie języka, były zdania, że co najmniej wypadałoby głupiego Maćka gdzie nad stawem powiesić, a potem jeszcze drzeć z niego pasy, potem ćwiartować i inne jeszcze historye wyrabiać.

— Tak, tak moiściewy — dogaduje stara lekarka — ja niecierpiąca złodziei, wszystkich bym het wywieszała...

— Et baj baja — odzywa się na to sołtys z urzędową miną — ktoby ta słuchał babskich

sądów. Abo to nie mamy swego wójta i ławników... Nie bojta się, oni mu choć jest na ten przykład Maciek jakoby głupi, nie przepuszczą.

— Jaki on to głupi, kiedy trafił do komory — rzecze już podchmielona Szymonowa, wsadzając pod chuścinę nieustannie wymykające się na oczy kosmyki włosów. — Na złe to on miał rozum, bo sobie uciął widełki i niemi tak kręcił przez okienko, aż wykręcił kożuch ze ściany.

— Jak się to chłopisko na nic zmizerowało — wtrąca inna kobieta, ucierając fartuchem usta po wypiciu kieliszka. — A toć on mi jest krewniak nawet po stryjecznym, ale jak go zmanił Szloma do siebie, tak się rozpiło na nic przy onym piecu. Moiściewy, on może tyle nie winien, bo to okrutnie cni się człowiekowi na takiem gorącu, i wszyscy powiadają, co są przy hucie, że wódka chłodzi... A jemu żydzisko ino raz po raz poddaje wódki i nic nie płaci. Zwlekło się też chłopisko na żydowskiego sługę i już do innej roboty nie wytrzyma. Łońskiego roku wziął go mój zięć do wiązania snopków, to powiada, co zakręci kneblem, a snopek się rozłazi.

Z Maćka zeszła gawędka na zięcia i na syna owej kobiety, a potem na synową, która, jak się często zdarza u matek mężowskich na wsi, jest najulubieńszym przedmiotem rozmowy, jest czems

najgorszem w świecie, czego już nawet i wieszać i ćwiertować nie warto.

Szymon z sołtysem przy drugim stole, wyczerpnąwszy całą rozmowę o Maćku, zeszli na najboleśniejszy przedmiot dla sołtysa, to jest na brata jego rodzonego Oleksę, który, ożeniwszy się z pokojówką od hr. Zierskiego, został leśniczym w Rudkach. Sołtys nie może strawić owego spanoszenia się brata, który z Kułaka zrobił się Kułakowskim, jeździ bryczką i pantalony opuszcza na cholewy.

— No! — mówi z desperacyą oparłszy się jedną ręką na stole, a drugą trzymając półkwaterek z wódką — co pan Oleksa to pan!

— Eh, jaki on ta pan? — dogaduje również zafrasowany Szymon.

— Niech on sobie będzie Kułakowski — powtarza swoje sołtys, a ja sobie ino Kułak, chłop... Pan to pan... nie wlezę ja mu tam w drogę.

I jak utknęli na owem państwie Oleksy, to popijając i wyjmując fajkę z ust co chwila dla całowania się, płakali niby bobry jakie, powtarzając w długich przestankach:

— Niech będzie z Oleksy pan... pan to pan całą gębą... a jużci pan!...

Nie pamiętam, czy mówiłem państwu, że była to środa, a zatem dzień sądowy w gminie Wielkiego Zakątka. Otóż od samego już rana

ściągali się ze wszech stron interesanci, to pieszo, to konno, lub wózkiem zaprzężonym w jednego konia z duhą, jak tam jest zwyczaj, a wszystko to zatrzymywało się przed karczmą dla wytchnienia i narady. Spojrzmy na tego wysokiego chłopa w słomianym kapeluszu, z jaką on powagą wchodzi do izby szynkownej, prowadząc za rękę może dwunastoletniego wyrostka. Chłopak wygląda jak dezerter wojskowy, który dopiero co wyrwał się z rąk przynajmniej baszybożuków tureckich — tak wszystko na nim obdarte. Z koszuliny została tylko jedna połowa, bo druga z kawałkiem kołnierza i rozpłatanym rękawem spuszcza się ostentacyjnie aż do ziemi. Na obnażonych plecach jego czerwieni się pręga jakby ślad uderzenia prętem, a na twarzy tuż koło nosa kilka plam krwi zaskrzepłej, które z niezwykłą starannością od wczoraj konserwowano. Jest to *corpus delicti* pobicia przez ogrodnika z Karczowizny, który złapawszy go na kradzieży drzewa w lasach dworskich, zdjął mu surdut na znak przydybania na gorącym uczynku.

Jako pendent do tego, już przed kancelaryą gminną stoi przy sztachetach wąsaty ogrodnik z laską w ręku i z kapociną chłopaka pod pachą; — nie idzie on do karczmy, z obawy wywołania nowej awantury, lecz zaglądając do kieszeni, czy przypadkiem nie uronił listu dziedzica

do sądu, grzebie sobie kijem po piasku, układając w głowie oracyę, z którą przed sądem wystąpi.

Dalej z wielką trudnością i zatrzymując się co chwila na drodze, jakiś kapotowy gospodarz prowadzi kulawego konia na sprawę. Kobieta okryta czerwoną chustką, popędza prętem owego kalekę, a że koń ma jedną nogę w kolanie oprawioną w łupki, więc skacze tylko na trzech, wyrzucając forsownie głową do góry... Tu znowu idzie gromadka samych kobiet wiejskich, ubranych odświętnie, idzie i kłóci się i zatrzymuje — widocznie obie strony procesujące się każda ze swoimi świadkami są tutaj razem.

Zadzwoniono na mszę w kościele, lecz jakoś nikt się tam nie spieszy, stary dziadek z długą siwą brodą wylazł przed furtkę, popatrzył w stronę karczmy, głową pokiwał, a zwabiwszy kowalowego chłopaka na służącego do mszy, uchwycił powtórnie za rzemień od sygnaturki i zaczął dzwonić na nowo.

Tymczasem z drugiego końca wioski pokazała się bryczka zaprzężona w parę koni, a na niej sam wójt Ignacy Pasternak wraz ławnikiem Jacentym z Leśnowoli. Pan wójt, chłop krępy lat przeszło czterdziestu, czerwony jak burak, wygląda już wcale polityczniej niż inni chłopi. Od czasu jak pan naczelnik zaprosił go raz na herbatę do

siebie, kazał sobie w mieście włosy krótko ostrzydz, na szyi zawiązał chustkę niebieską w białe kraty, i sprawił czarną długą kapotę, na wzór kapoty organisty... Spodni jeszcze nie śmie opuścić na buty, ale już te buty z cholewami każe sobie czyścić do *glancu*.

Nie ma co przyganić, zakątecki wójt ma tęgą minę na wiejskiego urzędnika; na piersiach błyszczy mu bronzowy medal, zawieszony przez szyję na mosiężnym łańcuszku, a choć jeszcze nie używa chustki do nosa, to jednak ma ją w tylnej kieszeni surduta, a w nią obwija gminną pieczęć, którą podług rozkazu naczelnika zabiera zawsze z kancelaryi do domu.

Kiedy wójt wchodził na schody do ganku, wszyscy powstając odkryli głowy, a kilka bab nawet pocałowało go w rękę.

— A cóż ta pan będzie spał do południa czy co? — odzywa się, wchodząc do pokoju pisarza — Tyla luda czeka...

Pan Heliodor z obrośniętą twarzą jak niedźwiedź, ani spojrzy na wójta, ale przeciągając się coraz to rozkoszniej, ziewa i ziewa do upadłego.

— Naczelnik się okrutnie ciskał, jakem był wczoraj u niego, i pada, że nas r o z o r z e za te zaległości w robocie...

— To niech przyjdzie sam i robi...

— Eh, co też pan gada, niechby on się dowiedział o tem... Panu dobrze jeździć do Rudek na arbatę, a na mojej głowie wszystko...

— Ha, bo wyście wójt...

— A wyście pisarz.

— To też ja piszę, co mi każecie... I teraz powiedzcie co trzeba, to ja siadam i piszę.

— Ale bo na co to po próżnicy komedye grać! Pan przecie wie, że ja czytać nie umiem. Napisać to napiszę swoje przezwisko Ignacy Pasternak i pieczęć przyłożę, jak trzeba, bo się znam na tem, gdzie głowa orła, ale się na prawie nie znam... Niechno pan wstanie i podpisuje, komu trzeba... Naczelnik powiada: tyś wójt głupi i nienauczny, a pisarz ci powinien poradzić wszystko.

— Pamiętacie — mówi na to pisarz — jak mi przy was powiedział w kancelaryi: słuchaj, ty jesteś pisarz i nic tu nie znaczysz bez wójta...

Sprzeczali się jeszcze dość długo o swoje atrybucye, spędzając jeden na drugiego, że on ma całą władzę, wreszcie zniecierpliwiony pan Heliodor rzecze z ironią:

— Mój wójcie, czy słyszeliście kiedy, aby mądry słuchał głupiego?

— No, a któż tu ma być mądry, a kto głupi?

— Jak wam się zdaje, ha?

— Jużci nie ja, kiedy mię gromada obrała, a urząd potwierdził...

— O, że wy macie rozum, to ja wiem, boście już nową chałupę postawili z obywatelskiego drzewa, boście za córką dali trzy morgi gruntu, no i grosze macie...

— Ej panie Heliodorze — przerywa mu wójt z błyszczącem spojrzeniem — nie wywołujta wilka z lasu, bo jak się zapytam o pieniądze z kar...

— Takie tam wasze głupie kary po dwadzieścia groszy! — mówi z grymasem ubierając się pisarz — to i na papierosy nie wystarczy, a w Świerkowie sąd nie kładzie mniej jak rubla; to mi sąd...

— No, no, niechno pan idzie do kancelaryi, my sobie od dziś inaczej uradzili, tylko jak ja każę czytać panu w książce, co tam stoi w prawie, trzeba czytać tyle złotych, ile razy ja chrząknę — niechże pan pamięta...

O godzinie dziesiątej rozpoczęły się posiedzenia sądu. W kancelaryi po za baryerą zasiadł wójt przy stole zakrytym zielonem suknem — pieczęć ustawił przed sobą, poprawił krucyfiks i chrząknął. Po jednej i drugiej stronie jego zajęli miejsca dwaj ławnicy, wprawdzie z bosemi nogami, jednak z medalami urzędowymi, które już nie na łańcuszku, ale na szpilce mieli przypięte do sukmany. Jeden, to znajomy nam Tomasz Woźniak, z głową nieczesaną pewnie od Zielonych Świątek,

nieustannie porusza ramionami do góry, a potężny nos burakowego koloru wsadziwszy do pustej tabakiery, obwąchuje nim wszystkie jej kąty. Drugi już siwowłosy i przygarbiony starowina, mając wzrok krótki, w dziwny sposób przypatruje się każdemu winowajcy, a usta ma ciągle otwarte, i miele niemi jakby nieustannie coś sobie szeptał. Pan Heliodor zajął miejsce naprzeciw wójta; niewyspany, z czerwonemi oczyma, rozłożył dwie wielkie księgi przed sobą i zaczął temperować pióro, przycinając go z grymasem na paznogciu.

— A niechno tu przyjdzie ogrodnik z Karczowizny i Bartłomiej Gondek — odzywa się wójt do cisnącej się we drzwiach gromady.

Wąsaty ogrodnik wystąpił naprzód i dał pismo dziedzica, w którem się żali na owego Gondka, jako ten przez cały rok za grosz nigdzie drzewa nie kupi, a opala się kradzionem w lasach dworskich, i że właśnie ogrodnik przydybał wczoraj jego chłopaka, jak zdejmował szczapy z gotowych sążni, a na znak tego wziął mu kapocinę i czapkę którą się sądowi odsyła.

— No i jakże to było? — pyta stary ławnik z opuszczoną dolną szczęką.

— Raniuśko kazała mi pani odnieść kalafiory do Rudek; dziękować Bogu udały mi się kalafiory, bom je tego roku flancował na nowinie za olendernią, gdzie to wszystkie ścieki idą przez ziemię.

Wyciąłem sześć i niosę w koszyku, aż tu patrzę, na wycince siedzi Bartłomiejów Antek na sążniu, i buch jedną szczapkę na ziemię, i buch drugą... He, he! krzyknę na niego, co, powiedziawszy prawdę. źle zrobiłem, bo mój chłopak tylko uszy postawił jak zając i myk w krzaki. Ja wielmożny sądzie nie wiele myśląc, za nim, ale chłopak uciekał jak sarna, szczęście, że zawadził o suchą gałąź i pacnął — więc doleciałem go, kapocinę zdjąłem, a on mię oto w palec ugryzł...

— Niechno wielmożny sąd patrzy — przerywa mu ów wielki chłop, Bartłomiejem nazwany, podnosząc na baryerę i obracając gołemi plecami do prezydyum obdartego chłopaka — jak mu to ogrodnik zdejmował kapocinę! Gdzież to jest sumienie tak mi dziecko skatować!

— Ja przysięgnę nie raz ale sto razy, żem go ani nie tknął — powiada ogrodnik — uciekał ci, bo uciekał przez krzaki, a potem się wywrócił sam, to się zadrapnął...

— A kto mu podarł koszulinę, kto?

— To na cóż się kręcił i wydzierał, kiedym go chwycił za kołnierz?

— Widzita Bartłomieju — odzywa się na to wójt, obejrzawszy wraz z ławnikami ową rysę na plecach Antka — po co to już takiego dziecka uczyć złego, hę? Nie mówię żeby sobie tam jednę

albo drugą gałązkę suchą podniósł, ale brać z sążni, co już są ułożone, to i pana szkoda.

— Jako żywo, ktoby go ta uczył wielmożny sądzie. U mnie cudza rzecz, choćby to źdźbło słomy było, to święte jest i wara od tego; przecie ja katolik jestem i do świętej spowiedzi chodzę... Ogrodnikowi ino się przywidziało, i niepotrzebnie rżnął chłopaka o ziemię i nogami go kopał, i tak go oto pokrwawił, niechno pan wójt zobaczy... No powiedz Antek, rżnął cię o ziemię? nie wstydź się.

— A juści tak — mówi chłopak, spoglądając bokiem na ogrodnika.

— Od wczorajszego rana — prowadzi dalej Gondek — ani mu tego odmyć, a caluśką noc to się dzieciak zrywał i coś nim tak trzęsło, że moja musiała w nocy wstawać i do karczmy lecieć po wódkę. Niech ta wielmożny sąd jak chce sądzi, ale ja tego ogrodnikowi nie daruję... Co mi lada kto ma rozbijać moje dziecko! Albo go to chował, albo mu jeść daje?

— A z tem drzewem jak? — zapytuje drugi ławnik, szorując nosem po pustej tabakierce — wziął go czy nie?

— Nie wziął ci — mówi ogrodnik — bo nie miał czasu, choć to Bartłomiejowi nie pierwszyzna; toć wszyscy wiedzą, że on nigdzie drzewa nie kupuje, a na kominie i w piecu rok cały pali.

— Nieprawda! krzyknie z zapalczywością Gondek — czy ja kupuję czy nie kupuję, to licho komu do tego! Cóż to widział mię kto, złapał mię kto?

— Ino cicho! — przerywa wójt. — Nie macie czego krzyczeć, bo tu nie karczma ale sąd i urząd... Panie pisarzu, niechno ta pan przeczyta, jak stoi w prawie o tem.

Pan Heliodor, włożywszy pióro za ucho, otworzył szafę z aktami, i w górnej pułce zaczął szukać między książkami. Zajrzał do jednej — nie ta; zajrzał do drugiej — nie ta, aż trafił na trzecią, dużo kart naprzewracał, nim odczytał głośno co następuje:

„Za szkodę przez małoletnich popełnioną, równie jak przez psa, albo inne gospodarskie bydlę, odpowiadają rodzice i ci czyje to bydlę.“

— No widzicie Bartek, że będziecie musieli zapłacić na gminę karę — mówi wójt chrząkając dobitnie dwa razy. — Niechno pan przeczyta, ile za to kary? Dzieci nie trzeba namawiać do złego, bo to jest grzech i obraza Boska, a każdego jest szkoda, choćby nieprzymierzając i pana.

Pisarz znowu przeczytał z książki, że prócz szkody, winny zapłaci złotych dwa kary, albo odsiedzi jeden dzień w areszcie.

Bartek tylko skrzywił nosem, podrapawszy

się w głowę, gdy tymczasem ogrodnik, tryumfując, pokręcał sobie konopiastego wąsa.

— A jakże będzie wielmożny sądzie z krzywdą mojego chłopaka? — odzywa się skazany — to jemu nic za to, że mi skatował dzieciaka?

— Eh, bo na co wam się ogrodniku wtrącać w nieswoje rzeczy — odzywa się ławnik, któremu się usta niedomykają. — Ogrodnik jest od ogrodu, a do lasu na to jest gajowy, coby pilnował szkody. On już nauczny do chwytania szkodników, i breweryj takich nie wyrabia... Kto widział tak obcesowo gonić chłopaka przez krzaki... i koszulinę mu podarliście, i czego Boże broń, oko sobie mógł wybić...

— Tak, tak — dodaje drugi ławnik — niech każdy pilnuje swego nosa.

— Jakże to panie pisarzu stoi w książce? — pyta wójt, chrząkając coś bardzo długo.

— Tu napisane — mówi pan Heliodor, pukając w owe prawo: „że kto sobie przywłaszcza cudze atrybucye, ukarany będzie aresztem dni trzy, albo zapłaci karę od jednego rubla do trzech...

— Ano widzita ogrodniku — przemawia wójt z powagą — nie trzeba brać na się cudzych kontrybucyj... widzita nie trza... Ogrodnik to niech będzie ogrodnik... No jakże ławnicy powiadają?

Ławnicy nachyliwszy kudłate swoje głowy do ostrzyżonej głowy wójta, szeptali coś długo, a skut-

kiem tej narady stanął wyrok, aby ogrodnik zapłacił rubla na gminę.

— Ha, widać już ogrodnik nie może uczciwie strzedz pańskiego dobra! — zawoła z irytacyą ukarany.

— Eh — rzeknie wójt ciszej, zbliżając się do baryery — wasz pan nie dopuści, abyście ogrodniku byli pokrzywdzeni; przecie to nie szło o wasze, a o jego. Ja jemu powiem, a on nie jest taki... Widzita ja chciałem tak jakoś, ale jak stoi w prawie, to na to nie poradzi... Przecie my tego prawa nie pisali, ino od cesarza jest dane.

Wyrok tej treści zapisał do jednej księgi pan Heliodor, do drugiej karę, nie zważając, że obie strony protestowały głośno, odgrażając się pójść na skargę do „chrześciańskiego“ komisarza (po rossyjsku *krestiański* znaczy włościański).

Na porządku stała druga sprawa, niejakiego Józefa Kropidły, kolonisty ze wsi sąsiedniej, z gospodarzem Jędrzejem Wojtasem, o konia, który właśnie na trzech nogach stał ze spuszczoną głową przed sztachetami. Prócz tego że sprawa sama przez się była dość zawikłaną, bo nawet pisarz w drukowanem prawie nie mógł odszukać na nią lekarstwa, zachodziła tu jeszcze bardzo ważna okoliczność, że ten Kropidło jest bliskim krewniakiem wójta po żonie, a Wojtas ani mniej ani więcej — tylko ma rodzoną córkę starego ławnika

za żonę. O ile z opowiadań stron obu da się streścić rzecz cała, powtarzam ją wiernie czytelnikowi.

Kropidło wynajął od Wojtasa konia do zwózki kartofli, i tego samego dnia wieczorem odesłał go przez chłopaka właścicielowi. Rano spostrzegł Wojtas, że koń na przednią nogą kuleje, a więc bez namysłu odprowadził go do kolonisty.

— Okulawiliście mi konia — powiada — to sobie go kurujcie, ja kaleki nie wezmę...

Ale gdzie tam gadać Kropidle o tem: nieprawda, jako żywo koń był zdrów wczoraj, a trza było nie brać, i ani chce słyszeć o przyjmowaniu. Wojtas nie głupi, konia uwiązał u płotu, a sam w nogi.

— Ho! — krzyczy za nim kolonista — czy ja to nie wiem drogi do waszej chałupy czy co! — I odprowadza konia napowrót.

Sprawa poszła na upór, dość że przez dwa dni w ten sposób ganiali owego konia, oddając go sobie nawzajem. I byliby jeszcze z tydzień toż samo robili, gyby się im nie zdarzył przejeżdżający Młotkowski, kowal ze Stanisławowa, jedyny doktor na wszystkie końskie i innego stworzenia boskiego choroby. Młotkowski znany był w całej okolicy ze swej zdolności do leczenia, bo nawet po dworach puszczał krew bydlętom, zestawiał nogi, robił zawłoki i przepisywał lekarstwa.

— Dacie mi osiem złotych i kwartę wódki — powiada — to ja wam tego konia tak wyrychtuję, że będzie jeszcze zdrowszy niż był.

Rada w radę przy kieliszku, ułożono, że koszta kuracyi pójdą na spółkę, a wódkę wypiją razem... Jak rzekli tak zrobili, tylko że zamiast kwarty, wypili dwie, i gdy już Młotkowski był w rezonie, a wtedy ma zawsze najlepszy zmysł do badań lekarskich — popędzili konia na podwórko chaty Wojtasa.

Kowal zakasawszy rękawy surduta rozpoczął dyagnozę choroby: Najprzód ścisnął koniowi gardło — koń nie parska...

— A widzicie żółte zołzy są!... ani chybi żółte zołzy... Siarki dwa funty z otrębami pszennemi — mówi — dawać przez trzy dni, a potem kadzić bylicą...

Wojtas szybko kiwnął głową na znak, że to wszystko zrobi, gdy doktór zaczął obchodzić konia do koła przypatrując się jego nogom...

— Na wszystkie cztery nogi ochwacony! — decyduje dalej machnąwszy ręką. — Patrzcie jak on to stoi, — abo to nogi są? To kołki a nie nogi... Trza zaraz krew puścić, bo do jutra nie wytrzyma... He, he... i przednia noga wywichnięta w łopatce... pomacajcie Jędrzeju, no chodźcież pomacajcie, gdzie jego kości...

Wojtas pomacawszy we wskazanem miejscu, przyznał, że noga w osadzie przeskoczyła na inną kość i że trzeba mu ją w swoje miejsce naciągnąć.

— Co to naciągnąć! — zawoła kowal — to trzeba dać fontanelę, to trzeba smarować arniką... to trzeba Bóg wie co robić... No, no, żeby też tak konisko spaskudzić...

Uwiązano tedy konia przy płocie, Młotkowski wydobył z kieszeni instrumenta, i przystawiając puszczadło do nóg, uderzał drewnianym młotkiem, póki mu nie otworzył żyły w każdej nodze z osobna.

— No widzicie Jędrzeju, jaka to czarna posoka, hę? — mówi, pokazując ciemne plamy na puszczadle. — Żeby tak było poczekać do jutra, toby mu się zsiadła w żyłach jak kwaśne mleko, i ruszyłby go paraluż.

Nie żałowano mu tedy owej czarnej krwi, a gdy już sama tryskać nie chciała, szanowny doktór pozapinał rany szpilkami.

— Zaraz inaczej koń patrzy — mówi, zakładając pętlicę postronka na tylne nogi.

Jędrzej przyznał, że tak jest, pomagając kowalowi do przewrócenia pacyenta. Osłabione konisko nie dało wiele z sobą roboty, lecz mając skrępowane wszystkie cztery nogi, legło z ogromnym jękiem na podesłanym nawozie, gdy sam gospodarz i czterech jego sąsiadów przysiadło mu jednocześnie i głowę i szyję i cały korpus. Do chorej nogi

kowal przyłożywszy gruby kołek dębowy, skrępował oboje razem, a wziąwszy siekierę do ręki, obuchem bił w górny koniec tego kołka, bił i bił żeby się noga wyciągnęła na dół, a potem w łopatce skoczyła na swoje miejsce. Za każdem uderzeniem, konisko próbowało się zerwać na nogi, ale pomocnicy doktora nie żałowali siły, przyciskając go do ziemi, więc tylko stękało, dmuchając nosem i wydłużając szyję. Nareszcie skończyło się naciąganie, konia rozwiązano, a kowal otarłszy ręce o skórę pacyenta, klasnął głośno, aby go zmusić do powstania. Niestety, biedaczysko już nie miał siły, i trzeba mu było dopomódz podsadzając drągiem pod całe ciało.

— To nic — mówi niezrażony tem kowal — ja wam powiedziałem, że się zrazu osłabi, ale za to jak będzie chodził potem...

Zawleczono jakoś onego konia do stajni, chłopcy podesłali mu słomy, a doktór poczęstowany jeszcze raz wódką, zadowolony ze swojej kuracyi odjechał z dobrą myślą do domu. Lecz na drugi dzień koniowi zamiast lepiej, zrobiło się gorzej: i jeść już nie chce, i wstawać nie może, czem zmartwiony Wojtas, poszedł na naradę do ojca ławnika, skutkiem czego nastąpiła skarga do sądu, aby kolonista zabrał sobie chorego konia i zapłacił mu dwadzieścia dwa ruble, to jest tyle, ile za niego

dawano w roku zeszłym na jarmarku w Jadowie, na co ma gotowych świadków.

Kropidło ufny w protekcyę wójta, ani chciał słyszeć o tem, i również udowadniał świadkami, że u niego koń nie kulał, że zapłacił już na kuracyę, i że to nieprawda, jakoby za niego dawali dwadzieścia dwa rubli, a wreszcie, że dopiero kowal mu nogę zepsuł naprawdę.

— Nie gadalibyście po próżnicy na kowala — ofuknie stary ławnik, powstawszy z miejsca. — Ja nie od dziś znam Młotkowskiego i wiem, że on dobry jest do koni... Ale, kowal zepsuł nogę... Komuż to on kiedy co zepsuł... Miejcie no w całej głowie tyle rozumu, co on go ma w jednym palcu! Zsiłowaliście konia, kładliście po osiem worków kartofli na wóz... A któżto widział obciążać tak stworzenie boskie?... Nie bójta się, są ludzie, co to wszystko pod przysięgą poświadczą.

Wójt ujął się za krewniakiem, i nuż dowodzić, że chłopski koń nie jest do spaceru, a jak kto płaci za wynajęcie bydlęcia, to musi na nim robić... Od słowa do słowa, powstała ogromna kłótnia między członkami sądu, do której mięszały się i strony interesowane, i świadkowie, i przyjaciele świadków, i żony ich, a w kancelaryi zrobił się taki harmider, że sam Szloma arendarz aż przybiegł z karczmy dowiedzieć się, co tam takiego się stało.

Wójt czerwony jak karmazyn i spocony, że mu się aż z czoła lało, wybiegł do żyda przed kancelaryą.

— Ny, co to o tego Maćka idzie? — pyta, usuwając się z wójtem za węgieł domostwa.

— Miałbym sobie też o co głowę turbować... pal go sześć i Maćka.

— Wy jego wójcie zaraz puścicie, on głupi jest Maciek, wszyscy o tem wiedzą, a tam przy majdanie nie ma nikogo...

— Zapłaci sztraf na gminę — mówi wójt. — Ale widzita, tu o Józka, mego pasierba idzie z tym koniem. Ławnik myśli, że on tu wszystko znaczy...

— Z czego on zapłaci? — prowadzi swoje dalej arendarz — Maciek jest takie łapserdak, co żeby nie ja, toby umarł pod płotem.

— Eh, dajcie mi ta pokój z Maćkiem! Wsadzi go się do haresztu na jaki tydzień i będzie, ale z tym Wojtasem gorsza sprawa. Powiadam wam, konia sami popaskudzili, Młotkowski jeszcze mu gorzej zrobił, a teraz wszystko na Józefa... Żebyście poradzili jako...

— Ten Maciek nie może pójść do haresztu — rzecze Szloma, trzymając ręce w tylnych kieszeniach swego chałata — kto jemu da jeść?

— A już ci wy, bo u was służy.

— Jakto on służy! Niech jemu dyabli wezmą z taką służbą. Ja jego najmuję do wypalenia piec,

a jak piec wyjdzie, niech idzie gdzie chce... Słuchajcie no wójt, jego trzeba wypuścić zaraz; kożuch odebrali...

— Ale nie można złodzieja puszczać, naczelnik by się gniewał... ale nie można bez kary...

— To jemu dajcie z dziesięć — doradza żyd.

— Ho, ho, ho, już to nie te czasy! Naczelnik powiedział, ani mi tchnąć nikogo... choć widzicie Szloma, jabym ta złodzieja nie żałował.

— Po co żałować! — dogaduje arendarz, złodziejska skóra na to jest, coby jemu bić... Niech mu dyabli wezmą, kiedy on jest złodziej...

Jeszcze dość długo naradzali się we drzwiach za węgłem kancelaryi, podczas gdy głupi Maciek rozciągnięty na ciepłym piasku pod sztachetami spał sobie w najlepsze, opędzając się przez sen muchom, które zbitą czarną gromadką dokuczały mu we śnie.

Niewiadomo, jaki był skutek narady, dość że wójt z lepszą miną powrócił już do kancelaryi, a zająwszy znów prezydyalne miejsce, uderzył pięścią w stół, aby się uciszono. Powoli, wśród ostatnich strzałów swarzących się, które niby rakiety jakie wypadały w słowach: „nie wezmę konia, musicie wziąć, a kto mię zmusi“ itp., wójt odetchnąwszy parę razy, przemówił do zgromadzonych:

— Słuchajcie moi ludzie, ja wam powiem, jak nie przymierzając ksiądz na świętej spowiedzi. Ani wy Józefie niceście tu nie winni, ani wy Jędrzeju niceście tu nie winni...

Wszyscy otworzyli usta na tak mądrą przemowę, a Wojtas wzruszywszy ramionami, wyrzekł, obracając się do teścia ławnika:

— Ha, a gdzież ten co konia okulawił?

— Ale słuchajcieno, niech ja skończę — odzywa się wójt z całą powagą swego urzędu — to winien kowal Młotkowski, po co się podjął wykurować konia, i po co wziął osiem złotych i kwartę wódki?

— Prawda! — daje się słyszeć naraz kilka głosów. — Myśwa słyszeli, że się podjął...

— Ano widzicie; więc odprowadzić mu konia do Stanisławowa i powiedzieć, niech go sobie kuruje... A pan panie pisarzu, zapisze to wszystko do księgi i napisze do burmistrza przykazanie, że na sądzie u nas tak stanęło i koniec.

Ławnicy, pomedytowawszy trochę, zgodzili się na ten wyrok, a choć tam występował jeszcze kolonista, kto ma konia zaprowadzić, a Wojtas skrobał się po głowie, że mu bieda będzie w chałupie bez szkapy, to jednak obie strony przystały na rozsądzenie i hurmem ruszyło wszystko do karczmy na poczęstunek swoich świadków.

Teraz dopiero przyszła kolej na Maćka. Rozespanego, z ogłupiałem od pijaństwa spojrzeniem, wepchnął sołtys do izby sądowej. Litość brała patrzeć na tę zaniedbaną postać żydowskiego sługi, na to wybladłe oblicze, podartą i smołą zaczerniałą koszulę, ten chwiejny chód i zezwierzęcenie doprowadzone do idyotyzmu. Podchmielony sołtys, razem ze Szymonem i Szymonową, przerywając sobie co chwila, opowiedzieli historyę kradzieży owego kożucha ze wszystkimi detalami, nie przepuszczając nawet cudownej wróżby przetaka.

— I na cóżeś ty wyciągnął ten kożuch? — zapytuje wójt głupiego Maćka.

— Albo ja ta wyciągał?

— No to on sam przyszedł do ciebie do majdanu i położył się na tobie?

— Hm, hm — mruczy, śmiejąc się pociesznie Maciek — a może ta i przyszedł... trzysta jego wiedzą...

— A masz na to świadków... hę? — bada stary ławnik, ruszając wargami... — No gadaj!

— Hm, hm, czy ja mam świadków... hm, a juści mam jednego...

— To powiadaj!

— Chyba Pana Boga...

Wszyscy rozśmieli się głośno, jeden tylko Woźniak ławnik, jako bardzo nabożny człowiek i starszy bractwa różańcowego ofuknął go od razu.

— Co ty będziesz Pana Boga wzywał na świadki, ty włóczu jakiś, ty heretyku! A chodzisz ty kiedy do kościoła, albo do świętej spowiedzi? Zaprzedałeś duszę swoją żydowi i gorzałce i jeszcze będziesz tu w sądzie obrażał pana Boga... Albo i ten Szymon mało co więcej wart od niego: ino całą wieś budzić, harmideru tyle narobić i obrazy Boskiej. Ja ta jestem za tem, żeby Maćkowi dać na pamiątkę jak się patrzy ze dwadzieścia oblewanych, a Szymon niech zapłaci na kancelaryą, żeby okienka na noc w komorze nie otwierał, i złodziejom nie dawał okazyi. A gospodarzy we wsi trzeba przeprosić, bo to jest krzywda mieć kogoś w posądzeniu i to od byle jakiego gospodarza na morgu.

— Czy na morgu, czy na dziesięciu, to ja płacę podatki cesarzowi jak wszyscy, bo mię wykaz (ma to być *ukaz*) zastał we wsi...

— No, no, tylko stulcie gębę Szymonie! — krzyknie wójt na to, a gdy wszystkie trzy głowy sądowe nachyliły się ku sobie dla narady, wypadło, że Maciek za udowodnioną kradzież kożucha z komory, otrzyma piętnaście plag w dzień piątkowy, jak się skończy palenie pieca, a Szymon za posądek gospodarzy i zrobienie harmideru we wsi, postawi gromadzie dwa garnce wódki. Dopóki zaś tego nie wypełni, kożuch zostanie w kancelaryi, albo w piątek zastawiony będzie u arendarza.

Maciek wysłuchał tego wyroku z taką obojętną miną, jakby to nie o niego chodziło, ziewnął, po głowie się podrapał, a wywinąwszy młynka na pięcie, wyszedł z kancelaryi, powtarzając ciągle: trzysta nadało, a bodaj cię trzysta wzięło... Co do Szymona, ten nie bardzo się frasował karą dwóch garncy wódki, sam lubił się napić, a był pewny, że jego kobieta wynajdzie tam jakiś sposób na to, żeby było czem arendarzowi zapłacić...

Nie chcę już więcej nudzić czytelnika dalszemi sprawami, jakie się dnia tego odbywały w sądzie Wielkiego Zakątka, a powiem koniec Szymonowego kożucha.

W piątek, jak było w wyroku zapowiedziane, kampania palenia w piecu smołowym została ukończoną i Maciek już miał dzień wolny. Nie myśląc wcale o egzekucyi, która się powinna odbyć w sieni kancelaryi gminnej, a może właśnie dla nabrania odwagi, poszedł do karczmy, usiadł za szynkownym stołem i kazawszy sobie postawić jedną kwaterkę, przekomarzał się z synem arendarza, niejakim Lejbusiem.

— Słuchajno ty Lejbusiu — mówił, pociągając go za pejsy — zagraj mi na katarynce...

A gdy wymawiał się żydek, odpychając głupiego Maćka, wziął go bez ceremonii za kołnierz i postawił przy katarynce:

— Graj żydzie, bo ja płacę! — krzyczał, przytupując nogą — graj do trzysta, pókim dobry...

Opór Lejbusia cieszył go nadzwyczajnie, śmiał się też biorąc pod boki i przyspiewując:

Przyszedł sąsiad do sąsiada
Chodaczka pożyczyć...
Nie pożyczę bo kosztuje,
Jak uderzysz noga w nogę,
Chodak się zepsuje...
Będzie kłótnia między nami,
A ja nie daruję...

I ten wyraz „nie daruję“ przeciągał, powtarzając kilka razy z jakiemś dziwnem wyciem — podobnem do wycia wilków.

Tymczasem zafrasowany Szymon z bardzo pokorną i uniżoną miną konferował w alkierzu z panem Szlomą, który dobierając okowitę na wódkę, ani się spojrzał na proszącego.

— Idź ty sobie odemnie, ty Szymon!... ty nie masz u mnie na szeląg kredyt... Ty jesteś oszukaniec... i oddaj, com ci naborgował na chrzciny.

— Ja wam odrobię wszystko albo do cepów, albo i karpinę będę dzióbał, ino sobie siekierę wyrychtuję...

— Dajcie mi pokój i idźcie z Bogiem! Co to jest dwa garnce wódki?...

— Jak Boga kocham, tak wam oddam na gody, niechno mi się prosięcina trochę poprawi...

— A jak ja chciał was do pieca, to wy powiedzieli, co wam się drze przyodziewek, co wy wolicie ręce pod siebie założyć, a nie iść do żyda na zarobek. Ny, idźcie, idźcie do księdza, co jemu się wysługujecie, niech on borguje.

— Byłem ja ci u jegomości — mówi Szymon, drapiąc się w głowę, ale on powiada: na gorzałkę nie dam...

— Ny, to i ja nie dam...

Gospodarze wiejscy pamiętając o owych piątkowych przeprosinach, jakoś nie mieli tego dnia żadnej ochoty do pracy. Jaki taki wyszedłszy z chałupy, popatrzył na słońce, kichnął, w głowę się podrapał, a włożywszy ręce do kieszeni kapoty, ot tak sobie, aby tylko gdzie iść — puścił się na wieś ku karczmie. Przyjechał i sam wójt mieszkający w sąsiedniej wiosce, znalazł się stary ławnik, któremu jak raz popsuła się kosa u lady, a Tomaszowi Woźniakowi znowu zabrakło tabaki i musiał iść do arendarza dowiedzieć się, czy świeżą sprowadzono z miasteczka.

Szymonowi sprawa z arendarzem szła coraz gorzej. Żydzisko uparło się, że nie da wódki na kredyt i nie da, gdy więc wyszedł z alkierza i zobaczył, jak głupi Maciek zapija sobie wesoło z kwaterki, zajadając pszenną bułkę z serem, straszna go żałość i złość ogarnęły.

— Widzisz ty włóczu jakiś — odzywa się, stając po drugiej stronie stołu — potrzebne ci to było wyciągać mi kożuszynę z komory hę? Teraz za co ja postawię gospodarzom te dwa garnce wódki, kiedy grosiczka nie mam w chałupie, a Szloma na bórg dać nie chce?

Maciek ledwie raczył popatrzeć się na niego, a choć miał pełne usta sera, to się roześmiał jakoś dziwnie, a głupie jego oczy tylko mu się zaświeciły.

— I ty dostaniesz piętnaście... — mówi dalej Szymon.

— Do trzysta! — zawoła na to Maciek — to się pomieniajmy. Mnie Szloma zakredytuje te dwa garnce wódki, a wy Szymonie weźta na siebie karę, może się ta jako wykupicie...

— Ja, ja miałbym wziąć w skórę za ciebie, ja gospodarz! O, niedoczekanie twoje, ty włóczu jakiś... Widzicie go, co mu się to zachciewa...

Za całą odpowiedź, głupi Maciek pociągnął z kwaterki i zaczął swoją piosnkę „Przyszedł sąsiad do sąsiada...“

Gospodarzy już zebrało się kilkunastu, i gotowi zastawić kożuch u Szlomy, a tu już przymrozki jesienne pokazują się na dworze i bez kożucha ciężko iść na roboty do lasu. Szymon więc medytuje, idzie raz jeszcze do alkierza, oddaje się pod opiekę arendarki — nic nie pomaga.

— A da ci Szloma te dwa garnce wódki? — zapytuje wreszcie głupiego Maćka.

— Co nie ma dać! Do trzysta, on musi dać, bo cisnę mu piec, a kogo on znajdzie?... Szloma, Szloma — woła na przechodzącego arendarza — skredytujecie mi dwa garnce gorzałki?

— Jak wójt się zgodzi, a ty się podpiszesz przy świadkach, co będziesz przy dwa piece siedział, to ja dam...

— O, ja się podpiszę, a co mi ta o podpis... Do trzysta... dlaczegobym się nie miał podpisać...

Więc Szymon skruszony bardzo i zdesperowany pobiegł do kancelaryi wójta z propozycyą, że on od kary na Maćka odstępuje... Ale z wójtem ani gadaj...

— A coby to naczelnik powiedział, że my puszczamy złodziejstwo bez kary, a sam najjaśniejszy cesarz toby zaraz napisał po wszystkich gminach, jako wójt Wielkiego Zakątka jest nijakim wójtem. I stałoby to wszystko wydrukowane... Albo stawiajcie dwa garnce wódki Szymonie, albo zastawimy kożuch u Szlomy... Widzita, już tak zapisane w książce, to nic nie pomoże ani święty Boże...

Widząc, że Szymon nic nie odpowiada, cały sąd w komplecie wybiera się do karczmy. Przez drogę widać jak wójt jest rozsrożony, jak się rzuca ku staremu ławnikowi, który z kożuchem

pod pachą zdaje się coś przekładać — bo tylko wywija rękami powtarzając ciągle: nie i nie...

— Arendarzu — odzywa się wójt, biorąc od ławnika kożuch i podając go Szlomie — postawcie no dwa garnce wódki na zastaw tego! Ino jej tam nie chrzcijcie po swojemu, bo wy jesteście żyd..

Lecz arendarz, spojrzawszy na ową kożuszynę, jakoś nie kwapił się bardzo z wykonaniem rozkazu, a tylko skrzywiwszy nosem, powiada lakonicznie:

— Nie dam!

— Aaa — odezwał się chórem sąd cały — toć wart jeszcze więcej niż dwanaście zł tych...

— Niech on będzie wart, a mnie co po fant... ja mam już dosyć tego w komorze...

— Arendarz, powiedziawszy te słowa, nie chciał brać do rąk kożucha, i wyszedł sobie obojętnie do alkierza.

I sąd i gromada cała zgłupieli kompletnie na taką odprawę. Podobnej rekuzy nikt nie przypuszczał, więc pochyliwszy głowy zaczęli dumać i dumać, jak tu przyjść do wykonania już w księgach zapisanego wyroku.

— Ha, gadajta co będzie teraz! — mówi wójt do ławników. — Sądzilista, to odsądzajcie...

— Ja powiedziałem swoje — rzecze ławnik z ruszającą się szczęką — nie chcecie pogodzenia, to niech będzie jak chce...

— A wy Tomaszu jak uważacie, hę?

— Ja od kary nie odstępuję — twierdzi Woźniak, zażywając raz po razu tabakę i spoglądając z ukosa na Szymona, do którego miał złość za ową rewizyę w jego chałupie. — Chcą się godzić, to niech się godzą, ale jeden z nich musi dostać, co zapisane... Co nam ta, jak się pogodzą między sobą, to już ich sprawa, ale jakby nikt nie dostał, ludzie by gadali: jaki mi to sąd, co pisze karę, a potem nic z tego...

— Widzita Szymonie — mówi wójt odwracając się do niego — kto nie dopatrzy okiem, to zapłaci workiem. Jak chcecie, to niech się i na was skrupi... Sąd o tem wiedzieć nie potrzebuje...

Tym sposobem, gdy i prawu i sumieniowi sądu stało się zadosyć, Szymon w imię dobrowolnej ugody otrzymał w sieni kancelaryi gminnej zasądzonych na Maćka plag piętnaście z rąk miejscowego sołtysa, któremu jednak wójt szepnął, aby nie siłował się bardzo, ale tak uczciwie po sąsiedzku ten przykry spełnił obowiązek.

Dwa garnce wódki Maciek rzeczywiście postawił, gromada piła, narzekając na ciężkie czasy, a Szymon najgłośniej dowodził, że dziedzic za dużo trzyma owiec, które psują pastwisko dla gospodarskiej chudoby, i że koniecznie trzeba napisać skargę do komisarza o to.

Szanowni czytelnicy, nie myślcie, że to jest żart autora z łatwowierności waszej! Nie, opowie-

działem fakt, który rzeczywiście miał miejsce, fakt smutnie świadczący o skali moralnego wykształcenia naszego ludu... Byłoby to śmiesznem, gdyby nie było bolesnem, dlatego liczę, że przesunięcie przed oczami czytelnika podobnych obrazków, zachęci obywatelstwo do brania żywszego udziału w pracy, której celem podniesienie rzetelnej oświaty naszych współbraci.

KONIEC.

SPADKOBIERCY KASYERA.

W dniu 19 marca wstałem bardzo rano. Był to dzień imienin stryja kasyera, mojego opiekuna i dobroczyńcy. Oczywiście skrupulatnie wytarty mój świąteczny surducik, wydobyłem ze skrzynki arkusz grubego papieru, na którym moją ręką wyrysowany był wspaniały kosz z kwiatami, jaskrawo pomalowany, a pod nim wypisane samo powinszowanie z drukowanym w półkolu tytułem: „Najukochańszy stryju!“ Pamiętam, półkole to nieszczególniej mi się udało, i jedno s wydrukowało się na opak, ale za to sama oracya prozą, pod względem sensu nie zostawiała nic do życzenia. Było tam wszystko co tylko zapamiętać mogłem z powinszowań nieboszczyka ojca woźnego z komisyi skarbu, które on dla swoich panów urzędników na imieniny koncypował; a zatem fortuna, pomyślność, korona, lata Metuzalowe, brak goryczy i jeszcze moje własne dodatki, z porady Berka arendarza powciskane. Jednem słowem,

i ten kosz z kwiatami, i te esy floresy naokoło „najukochańszego stryja“ i mój podpis z oryginalnym zakrętasem nadzwyczaj mi się podobały.

Powycierawszy skórką od chleba resztki ołówka między kwiatami, i powtarzając sobie setny raz moją oracyę, doczekałem się nakoniec chrząkania stryja w sąsiednim pokoju. Wątpię, czy kiedyś na ostatecznym sądzie będę więcej dygotał ze strachu jak wtenczas, gdy przymuskawszy szczotką umaczaną w wodzie sterczący mi nad czołem kosmyk czupryny, ostrożnie poruszyłem klamką.

— A kto tam? — zapytał stryj wśród kaszlu.

— Ja, proszę stryja.

– Berku otwórzno! — usłyszałem głos kasyera, i zaraz potem ciężkie stąpanie arendarza i zgrzyt w zamku.

Jak i kiedy potykając się wciąż na dywaniku, znalazłem się przy łożu stryja, tego już nie pamiętam; wiem tylko, że drżąc i czerwieniąc się nieustannie, gwałtem wyciągnąłem mu rękę z pod kołdry, a ucałowawszy ją z afektem, zacząłem recytować moją oracyę tak prędko, że sam siebie zrozumieć nie mogłem.

Przy drugich drzwiach naprzeciw mnie, w świętalnym chałacie, z rękami za pas założonemi i miną tryumfalnie uśmiechniętą, stał Berek, niemłody już arendarz z konopiastą brodą, i kiwał

głową, przestępując z nogi na nogę, i ruszał wargami, niby powtarzając moją oracyę.

Pamiętam, było w tem powinszowaniu wyrażenie o jutrzence, które z porady Berka wsadziłem. Kiedy więc doszedłem do niego, recytując: „Niech każda jutrzenka rano wschodzącego słońca, będzie dla ciebie prorokiem nowego szczęścia“... otwierają się nagle drzwi z drugiej strony, i wpada zarumieniona od gniewu ciotka Pelagia, siostra stryjeczna kasyera, a zarazem gospodyni dworska.

— Co to jest? — pyta, zatrzymując się na środku pokoju, gdy Berek wszelkimi sposoby daje jej znaki, aby milczała.

— Niech każda jutrzenka rano wschodzącego słońca... — zaczynam znowu.

— Co to za głupstwa o jutrzence? — przerywa głośniej, przystępując do łóżka i składając swoje życzenia panu Józefowi. — Strzelił też konceptem...

— No, dobrze, bardzo dobrze — odzywa się stryj, mniej zważając na panią Pelagię, a przyciągnąwszy mię za rękę do siebie, serdecznie ucałował w głowę.

— Któż ci to zrobił? — mówi dalej, rozwijając mój arkusz i przypatrując się wspaniałej malaturze owego kosza, z którego jeden żółto-czerwony tulipan wystrzelił na sam brzeg papieru.

— Ja sam, proszę stryja...

— Bój się Boga, to z ciebie tęgi malarz! Zobaczno Pelasiu, jakie to ładne. A kiedyżeś to robił?

— Rankami i wieczorami, kiedy stryjaszek spał — odpowiadam, ośmielony trochę dobrocią kasyera.

— A dlatego też i tyle świec wychodzi! — wtrąca pani Pelagia. — Ma brat tajemnicę, o którąśmy się wczoraj sprzeczali!

— Z przeproszeniem pani — odzywa się Berek, admirujący także malaturę — on nie brał na to świecy ze dworu. Na co jemu?

— Ot, widzisz go, jaki adwokat z Berka. Więc pociemku bazgrał?

— Na co on miał psuć sobie oczów, kiedy ja jemu dał dwie aż stearynowe, co idzie cztery na funt. Ale nie żałuję, jak mi Bóg miły, skoro on tak pięknie pomalował tych kwiatów i tak jaśnie pana kasyera uradował... Niech mu będzie na zdrowie...

Pani Pelagia zagryzła wargi, spojrzała na mnie oczami bazyliszka, a przypomniawszy sobie, że potrzeba dać służbie wódki jako w dzień imienin kasyera, wyniosła się z pokoju.

Stryj całą oracyę głośno przeczytał, arkusz starannie w trąbkę zwinął, wstążeczką napowrót przewiązał, a położywszy go na stoliczku obok łóżka, rzekł do mnie:

— Dobry z ciebie chłopiec, mój Wawrzusiu. Ty jeden najlepiej o mnie pamiętasz, choć ja podobno nie bardzo o tobie. A tylu mam innych, którzyby powinni dziś o mnie pamiętać... prawda Berku? Dziękuję ci tedy mój mały, idź, masz dzisiaj święto, i kochaj mię zawsze!...

To mówiąc, kiedym się schylił, aby go raz jeszcze w rękę pocałować, objął moją głowę i wzajemnie na czole mojem złożył pocałunek.

Ledwie że próg przestąpiłem uradowany, jakby mię kto na sto koni wsadził, gdy oczekująca na mnie ciotka Pelagia obsypała mię naraz gradem wymyślań:

— A ty garbusie, a jezuito, a ty łakomcze, a niedźwiadku itp... Patrzcie go, chce się wcisnąć do łaski kasyera, hę? Poczekaj, dam ja ci jutrzenkę!

— Proszę cioci, cóż w tem złego? Ja zawsze nieboszczykowi ojcu winszowałem na imieniny i myślałem...

— Cóż ty myślałeś? — przerywa mi z irytacyą, bębniąc palcem po głowie — że stryj kasyer to taki woźny i głupiec, jakim był twój ojciec, co cię niedołęgo bez grosza zostawił? Widzisz go, chce mu się coś od stryja wytumanić... Figę dostaniesz! Zobaczysz, moi mu nie takie przyszlą powinszowanie z Warszawy... Nabazgrał koszyk niby ceber na serwatkę i myśli, że co ładnego...

Może zanadto rozwlekle opowiedziałem czytelnikom to zdarzenie, ale że ono wpłynęło bardzo na polepszenie mojego losu, uważałem przeto, że wypadało od niego zacząć niniejszą historyę.

Ale też i czas powiedzieć, kto ja jestem. Niedługa to sprawa. Najprzód co do powierzchowności już każdy się domyśla, że jestem garbaty; podobno dziecięciem będąc, upadłem ze schodów pierwszego piętra i coś mi w krzyżach pękło. Skutkiem tego urość nie mogłem i zawsze jestem mizerny, choć zdrowia mi nie brakuje... Ojciec, dawny żołnierz, rodzony brat nieboszczki pani kasyerowej, szlachcic cząstkowy z Zalesia, był woźnym w biurze komisyi skarbu w Warszawie. Matki prawie nie pamiętam, a ojciec przed rokiem umarł na suchoty. Zaszkodziła mu robota atramentu, dla szczupłej bowiem płacy jaką pobierał za swoją służbę, zajmował się taką fabrykacyą. Po całych nocach preperował różne ingredyencye, cedził, gotował, przelewał, a mimo to jak umarł, panowie urzędnicy złożyli się na pogrzeb, i dowiedziawszy się, zkąd ojciec pochodził, odesłali mię z drugim woźnym do Zalesia, do rodzonej siostry mej matki.

Ciotka przyjęła siostrzeńca bardzo niechętnie; był to drogi rok, kartofle się szlachcie nie urodziły, a w domu kilkoro dzieci, fortunka niewielka i choć mąż ciotki, pan Ignacy, handlował wie-

przami, to z tego handlu nie było wiele, raz że mu się nie wiodło, a po drugie, że lubił zaglądać do kieliszka. Wzięła mię — bo cóż było robić, zawsze to krewniak i sierota. Czułem ja dobrze, iż nie byłem jej na rękę, jak to mówią, bo garbaty i za delikatny do robót w polu, wałęsałem się tylko koło domu i darmo strawę jadłem. Za sprzedane ruchomości po nieboszczyku ojcu zebrało się coś dwieście złotych, które pan Ignacy włożył do handlu, ale i te poszły na rękę, i kiedy zupełnie stopniały, ja zostałem na czystej łasce.

— Widzisz Wawrzusiu — powiedział mi raz pan wuj — przypuściłem cię do spółki, miałeś już dwanaście złotych zarobku... trzeba trafu, że padło mi dwie sztuki pozawczoraj i straciłeś wszystko...

Skoro straciłem, pomyślałem, więc trzeba się wziąć do pracy, i choć moje siły nie były potemu, chodziłem koło bydła, jeździłem do lasu saneczkami po drzewo, w lecie grabiłem siano, czasem pomagałem pędzić wieprze z miasteczka, słowem starałem się być ile można użytecznym. Tak przeszła jedna zima i lato, bracia szlachta wiedząc o tych pieniądzach, którešmy na wspólce stracili, litowała się nademną, i nieraz słyszałem jak sąsiadki, pokłóciwszy się z ciotką, wymyślały jej, że okradła biedną sierotę.

Pewnego dnia przed Bożem Narodzeniem, ciotka, rozkazawszy synowi swemu, aby mi oddał stary mundur woźnego po moim ojcu, w którym ten hultaj caluteńki rok paradował, ubrała mnię w niego i poprowadziła z sobą do Zielonki. Przeziębły, brudny, rozczochrany, niby Quasimodo stanąłem sobie w dworskiej kuchni przy drzwiach, gdy ciotka poszła do pokoju i coś tam długo z wysoką panią radziła i w rękę ją całowała, aż nareszcie wyprowadziła do kuchni.

— To ten? — spytała pani Pelagia oglądając mię od stóp do głów. — Ależ to sama nędza!

— Pocałujże panią ciotkę w rękę, ty niemrawo jakiś! — przemówiła pani Zalesicka, popychając mię za plecy. — Straszny grubianin... No czegoż się tak kulisz?

— Ależ moja kochana, co my z nim zrobimy?

— Zlituj się moja imość! Toż wam łatwiej przy wielkim dworze. Nie jest on „gardy“ do żadnego jadła, a my i tego nie możemy. Toć to po rodzonym bracie nieboszczki kasyerowej... Mój jeszcze gorzej teraz pije, w chałupie ciasno, bo mamy jedną tylko izbę, a tu krowina się ocieliła, i trza było wziąć ją z cielęciem, żeby to nie zmarzło...

— Ha, powiem kasyerowi...

— Moja złocista imość, jak imość zechce, to będzie dobrze... — mówiła Zalesicka, rozpłakawszy się naprawdę — zawszeć to krewniak...

— To też tych krewniaków Bóg wie niezkąd mamy już póty, a wszystko się garnie do kasyera, jakby on jeszcze miał kasę gubernialną. Co tu dużo gadać, chciałam mu sprawić tuzin koszul nowych, to powiada, nie mam Pelasiu, nie mam na to, poczekajmy...

— Zawsze to proszę imości, nim tłusty schudnie, chudego na cmentarz wyniosą — odrzekła Zalesicka. — I tak od kasyera nic nie mamy, więc niech nas też imość choć w tem poratuje.

— A cóż ty umiesz Wawrzyniec? podobno ci Wawrzyniec na imię? — spytała Pelagia.

— Umiem czytać i pisać...

— Co nam po tej mądrości na wsi — bąknie, skrzywiwszy nosem Pelagia.

— I do wszelkiej roboty jest chętny — dodaje Zalesicka — drzewa urąbie, koło bydła umie chodzić, i do sochy chwytał się na jesieni...

— Hm, taki cherlak gdzie jemu do sochy, zobaczę... Ale oto i pan kasyer idzie z gorzelni.

Ten pan kasyer był to mężczyzna średniego wzrostu, nieco otyły, z białemi już jak mleko włosami, a jak mi się zdawało, bardzo do nieboszczyka ojca podobny. Głowę tylko trzymał na dół, a szedł prędko i coś ręką gestykulował, jakby chciał kogoś do ziemi przybijać. Pani Pelagia opowiedziała mu prośbę ciotki, która go pocałowała w rękę i do nóg mu się skłoniła, ale jemu

coś pilno było do kancelaryi, bo nie dosłuchał końca, na mnie tylko rzucił okiem, a idąc dalej przez kuchnię, powiedział:

— No wziąć, wziąć, toć się pożywi!...

Potem, trzymając już klamkę w ręku, obrócił się ku mnie:

— Cóżeście go w taki mundur ubrali?

— To po Onufrym z Warszawy...

— Hm, po Onufrym. Prawda że to on umarł... Prawda, to jego mundur z komissyi skarbu.

— Pisze ładnie i czyta z każdej książki — dodaje ciotka.

— To dobrze, dobrze, dajcie mu jeść. A ty Zalesicka powiedz swojemu, że on jak mi tak drzewo będzie wykradał z lasu i żydom woził do miasta, to choć krewniak mospanie, oddam do sądu...

— Niech też wielmożny kasyer nie wierzy, to ten Kacper gajowy ma złość do mojego, i nie przymierzając jak pies jaki przed wielmożnym kasyerem szczeka... Żeby mu wprzód ręka uschła...

— No, no, no, już ja wiem, co mówię — przerywa pan z białą głową. — Z wami to na żaden sposób nie można dobrze... Daję co mogę, pcham, a zawsze z was dziurawe worki i sami skubiecie na wszystkie strony. Pamiętaj, powiedz mu odemnie, że wsadzę do kryminału...

Otóż w ten sposób dostałem się do pana kasyera w Zielonce, którego kazano mi stryjem nazywać. A był to już stary człowiek, dawny poborca kasy gubernialnej, emeryt, który zakupiwszy dawniej Zielonkę, od kilku lat sam gospodarował na niej i był patryarchą wszystkiej okolicznej drobnej szlachty, z której sam pochodził. Nie mając żony ani dzieci, wziął do siebie na gospodynię stryjeczną siostrę Pelagię, wdowę po zmarłym rządcy dóbr, i dziećmi jej, których było siedmioro, opiekował się jak swoją własną rodziną. Dwie córki już wydał za mąż, trzecia była jeszcze panną, dwóch synów oddawał do szkół do Warszawy, a jednego wysłał za granicę, aby się na inżyniera kierował.

Pani Pelagia, którą ciotką nazywałem, dobra była bardzo kobieta i pamiętała o wszystkich wygodach starego, ale też panowała nad nim zupełnie. Stryj Józef choć nadzwyczaj skrupulatny w życiu, był jednak dosyć roztargniony i gdyby mu nie podano obiadu, gotów nic nie jeść cały dzień, a co do ubrania, to chodziłby w jednem dopóty, dopókiby z niego samo nie spadło. Na wsi gospodarował zawzięcie, to coś budował, to przenosił, to nowy folwark zakładał, a zawsze czynny, łagodny i wyrozumiały. Nie było dnia, żeby gromada braci szlachty nie przyjeżdżała do niego po poradę i na sąd, jak mówili. On to

wszystko spokojnie wysłuchał, papiery odczytał, prośbę im albo pozew napisał, i do miasta pojechał, i w sądzie stanął, aby tylko bracią szlachtę obronić... Czasem to i wykrzyczał, za drzwi wypchnął jak ojciec jaki, a mimo to szlachta zawsze jak jeden człowiek stawała za kasyerem, i jak przyszły roboty pilne, to gdzie jak gdzie trudno o najemnika, ale w Zielonce przychodziło tego rojami, że czasem rady sobie z tem dać nie było można.

Pani Pelagia najsolenniej była przekonaną, że kasyer cały swój majątek dzieciom jej zapisze, więc co do innych krewniaków bliższych i dalszych, pilnowała się bardzo, i zawsze tam jakieś niekorzystne dla nich wiadomości przynosiła kasyerowi. Skutkiem tego jej synowie i córki uważali się już za paniczów, a dobrodziejstwa kasyera za obowiązek. Kiedy przyszły jakie święta, zjeżdżało się to wszystko do Zielonki całą gromadą z mężami i dziećmi i służącemi i gospodarowało jakoby u siebie w domu... Po całych dniach ogień tylko huczał w kuchni, piekło się, gotowało, smażyło, a Berek arendarz i ulubieniec kasyera już nie schodził z wózka, jeżdżąc do miasteczka po różne sprawunki. Szczególniejszego też rodzaju arendarz był z tego Berka. Żaden katolik, a nawet blizki krewny nie byłby tak przywiązany do kogo, jak on do pana Józefa. Tysiące mu dawał,

największej wagi interesa powierzał, a on nigdy mu na grosz nie chybił, i zawsze z uszanowaniem, a powiedziałbym nawet z całą czcią patrzył na kasyera jak na bożka jakiego. Nigdy się o nic nie upominał, na nic nie poskarżył, a co tylko powiedział, lub zrobił pan kasyer, to było święte i mądre i dobre. Codzień rano i wieczór musiał być na naradę u pana Józefa, a mieli zawsze jakieś sekreta i rozmawiali po niemiecku, tak, że ciotka Pelagia nieraz podsłuchając pod drzwiami złościła się, że kasyer jak żyd po żydowsku szwargocze.

Stryj Józef, pozwoliwszy mi przytulić się na dworze, z początku nie bardzo się mną interesował. Dano mi kącik w pokoiku obok jego kancelaryi, ze starych sukni po paniczach przerobiono jakieś ubranie, obiad jadłem z gorzelanym, wieczorami ciotka kazała mi drzeć pierze, a w dzień posyłali mię z kluczami do lamusa, a najczęściej do stodoły do sprzętu zboża. Kiedy stryj zobaczył czasami, że ubranie ze mnie leci, wspomniał Berkowi, aby mi tam na Franciszkanach w Warszawie kupił jaką starzyznę, miejscowy szewc łatał mi buty, a o bieliźnie pamiętała pani Pelagia, u której z powodu nieograniczonego posłuszeństwa miałem niejakie łaski.

Najgorzej było, jak zjechała się familia na święta. Chłopaki pani Pelagii nie wiem dlaczego

mię nie cierpieli, i nie było takiego figla, takiej dokuczliwości, którejby mi nie robili. Nawet podczas snu, to oblewali mnie wodą, to ściągali ze mnie kołdrę, wołając, że się pali, to kładli cichaczem różne rzeczy na garbie, i potrącali nazywając Ezopem.

Otóż takie było położenie moje we dworze kasyera do dnia 19 marca i do owej sceny z powinszowaniem, którą na początku opowiedziałem. Od tej bowiem chwili zaczął mi się kasyer baczniej przypatrywać, i w stodole, gdzie nie było pani Pelagii, dopytywał się o różne rzeczy z mojej przeszłości.

— To ty sieroto nie znałeś matki? — mówił, głaszcząc mię po twarzy — a dobre z ciebie wyrosło dziecko. I ładnie, bardzo ładnie piszesz Wawrzusiu; dobrze że wiem, będziesz mi pisał rachunki, bo mi już oczy nie służą, a za to wygodniej ci będzie w pokoju... W stodole zawsze bywają przeciągi, a ty kaszlesz ciągle...

I od tego czasu siadywałem już w kancelaryi stryja przy jego biurku, prowadziłem regestra gospodarskie, a bardzo często przepisywałem różne akta sądowe w sprawach braci szlachty, któremi się stryj Józef zajmował. Za to pani Pelagia na mnie bij zabij. Nie mogła mi darować tego powinszowania z koszem kwiatów, tem bardziej, że żaden z jej synów ani czegoś podobnego, ani na-

wet listu z powinszowaniem dla wuja na święty Józef nie przysłał. Nie rozumiejąc tego wówczas, o co chodziło pani Pelagii, martwiłem się bardzo niełaską ciotki, która od tego czasu inaczej nie wołała na mnie jak tylko: garbusie, i nigdy nic nie podała mi po ludzku, ale rzucała jak psu. Raz nawet pamiętam tak się posprzeczała z kasyerem o mnie, że kazał mi siadać z sobą do stołu, iż cisnąwszy kluczami o ziemię, powiedziała staremu:

— Albo ja, albo garbus! Wybieraj kasyerze!

— Pelasiu — mówił łagodnie stryj Józef — co on ci zawadza? Patrz, to takie biedne i nieszczęśliwe... jak możesz robić podobne porównania. Co ty, to nie Wawrzuś! Bój się Boga, toć trzeba mieć litość nad sierotą... Sama jesteś matką i wyobraź sobie, żeby tak twoje które...

— Moje co innego, a on co innego! Ja jeżeli służę kasyerowi, to niech będzie kasyerowi, ale żebym miała starą bieliznę łatać jakimś tam garbatym przybłędom, to niedoczekanie jego... jeszcze mu na talerz nalewaj.

— Któż cię o to prosi, ja mu sam naleję, a gdy idzie o bieliznę, toć przecie można znaleźć kogo we wsi — ja zapłacę...

— Tak, ja wiem, pan kasyer tylkoby płacił! Ooo, jest też na to, jest...

— Znajdzie się moja droga, czy to sumy?

— Dla niego ja wiem, że wszystko się znajdzie... Garbaty w modzie...

— Myślę, że i dla drugich się znajdzie i znajduje - odrzekł rumieniąc się stary — a oni o tem nawet raz do roku nie raczą sobie przypomnieć...

Tego już było zanadto dla pani Pelagii; pierwszy raz pan kasyer tak ostro do niej przemówił, więc zaczerwieniona z gniewu, trzasnęła tylko drzwiami i wyszła z ogromnym płaczem. Dałem sobie chleba, dałem — powiedział głośno stryj Józef, pocierając łysinę — zbudziłem licho... no, ale raz trzeba było...

W kilka dni potem, gdy pani Pelagia już się nieco udobruchała i wszystko szło zwyczajnym porządkiem, do czego jak się zdaje najbardziej przyczyniło się wysłanie dwóch wozów ze zbożem i innemi zapasami do starszej córki pani Pelagii — zjawiło się kilku nieznanych żydów we dworze. Pan kasyer i Berek długi czas konferowali z nimi, potem jeździli do lasu, oglądali, targowali się, a wszystko w sekrecie przed ciotką, która już sobie rady dać nie mogła z ciekawości. Nareszcie nie mogąc wytrzymać, pociągnęła arendarza do swego alkierza, a częstując śliwowicą, zaczęła narzekać, że kasyer ma już jakieś przed nią sekreta, czego dawniej nie bywało.

— Niech imość będzie pewna — mówił biblijnym tonem pan Berek — że co wielmożny kasyer robi, to dobrze robi! Jaki to mądry jest pan, to jemu i nasz rabin z Kocka nie potrafi. On wie co robi i dla kogo robi!...

— Otóż to mój Berku, że ja nie wiem na pewno...

— Jakto imość pani nie wie? A komu on co daje? a komu posyła, a kto jemu niedaleko serca?

— Bo widzisz ten Wawrzuś garbaty...

— Cha cha cha! zaśmiał się Berek, bom wszystko to przeze drzwi słyszał — co Wawrzuś? ten Wawrzuś? on sobie jest tylko Wawrzuś, co więcej?

— Ale to powinszowanie przeklęte... Oj natręż ja uszów Karolkowi, Jasiowi i Zuzannie, tylko oni tu przyjadą... Bębny przebrzydłe, żeby też o imieninach stryja nie pamiętać. A uczą się to niby w szkołach i takiego głupstwa nie potrafią. Mój Boże, jakie to teraz i szkoły! Słuchajno Berku, jak pojedziecie do Warszawy, ale to nie wypada...

— No, niech pani mówi.

— Nie, nie, już nierychło... chyba by na Wielkanoc... tylko nie wiem, czy to się na Wielkanocne święta winszuje.

— Dlaczego nie — odrzekł śmiejąc się dziwnie arendarz — dlaczego nie? Oni mogliby takie wielkie jak ten stół wypisać jemu powinszowanie...

nie taką bazgraninę tego garbusa na małej ćwiartce...

— No, to im też powiedzcie Berku, ale to dobrze, i natrzyjcie im uszu.

— Czy oni sobie dadzą? Oni takie panicze...

— Prawda że panicze -- powtórzyła z westchnieniem — nie wiem, zkąd to im się wzięło; bo to mąż mój nieboszczyk, panie świeć nad jego duszą, był sobie takim ekonomem, że niczego nauczyć go nie mogłam... Dobre człeczysko to prawda...

— Chyba to oni mają z pani Pelagii — dorzucił śmiejąc się Berek.

Komplement Berka widocznie ucieszył panią Pelagię.

— Napijno się Berku jeszcze jeden kieliszek śliwowicy... — rzekła. — A co dobra? Ja już dziesięć lat trzymam ją w sekrecie nawet przed kasyerem... Boję się, oj boję się mój Berku, o tych paniczów. Kasyer, daj mu Boże jak najdłuższe zdrowie, ale wiecie... no, zawsze trzeba kiedyś umrzeć...

— A ino jak?

— Więc żeby on mógł testament napisać dla moich dzieci?... Jak nie będzie owego testamentu, to mówił mi wójt Krzywuski, dużo będzie sukcesorów... A tu chłopaki strasznie rozpieszczone, trzeba im majątku mój Berku. Ten kasyer, Boże zmiłuj się, porobił z nich takich panów, choć

ciągle mu gadam, na co im tych nauk, to biedne dzieci... czego to przyzwyczajać do pańskich narowów. Ale ja myślę...

— Dobrze imość myśli — mówi na to arendarz — pan kasyer to taki mądry człowiek, on wie co robi; on wie co z kogo będzie i tak jemu robi... Powiedz mi imość, kto tu jest mądrzejszy jemu na całą okoliczność. Może wójt Krzywuski, hę? U niego w głowie nie ma cały rozum tyle, co u naszego kasyera w jeden mały palec...

— Prawda, prawda, brat kasyer mało mówi, ale jak co powie, albo zrobi — to już dobrze... Nieraz boję się o tego Wawrzusia... Ach, niegodziwy bęben z tem powinszowaniem... Mówię ci, to hypokrywa, już ja się znam. Tak dusił ten świstek, tak się krył, i w sam święty Józef, buch! Najukochańszy stryju!... Smarkacz... dała ja bym ci stryja... Wzięłam to z litości, nagie, bose... poczekajże... no!

— On to z przyzwyczajenia zrobił — odzywa się Berek — w mieście już taka moda... Niechby mu tam już pan kasyer zapisał jakie trzysta złotych...

— Niechby i pięćset! — dodała z namysłem pani Pelagia.

Wołanie stryja przerwało rozmowę, a w której naprawdę zrozumieć nie mogłem, o co im chodziło. Jednak zmartwiłem się bardzo, że tak się

stało z owem powinszowaniem i że nie poradziłem się wprzódy ciotki Pelagii. Byłaby napisała do synów do Warszawy i oniby przysłali swoje, a tak mimo chęci i wiedzy zaszkodziłem im u stryja... Trudna rada — stało się, ale też i ciotka winna, dlaczego mi nie chciała dać świecy, kiedy prosiłem... Idź precz garbusie, krzyknęła... A żeby była zapytała na co, powiedziałbym zaraz, i nie miałaby przykrości.

Na drugi dzień po owej naradzie z kupcami, pojechał stryj z Berkiem do Warszawy i podobno sprzedał kawał lasu, ale synom pani Pelagii nie robił żadnych wymówek, choć podobno nic im też nie dał na pierniki.

W parę dni potem, wrócił kasyer w bardzo dobrym humorze, przynajmniej ja doświadczyłem tego, otrzymawszy nowiuteńki garnitur ubrania, oprócz kilku książek traktujących o gospodarstwie.

— Czytaj, rób sobie konotatki i ucz się. Kto mieszka na wsi i chodzi koło roli, powinien znać tę matkę ziemię, a nie jak małpa robić to co i drudzy.

Rachunki były w porządku, wiosna na ziemi, więc i serce moje odżyło. Stryj kazał mi się teraz więcej zajmować gospodarstwem na zewnątrz; oddał mi klucze od spichrza, i przy każdej sposo-

bności objaśniał o naturze gruntu, uprawie, nawozach i różnych zajęciach wiejskiego gospodarstwa.

Przy takiej pracy, podejmowanej chętnie i wesoło, nabrałem lepszej cery i tuszy, wyrosłem o jakie pół łokcia i ubrany przyzwoicie, wyglądałem już na porządnego oficyalistę. Ciotka również zapomniała o tem nieszczęsnem powinszowaniu, a widząc jak stryj mię szanuje i plotek nie słucha, w rozmowach z Berkiem podnosiła wciąż cyfrę przyszłego legatu dla mnie — nawet po paru tysięcy.

Trwało to rok cały, stryj zapadał coraz częściej na zdrowiu, nie wychodząc i po parę tygodni z pokoju, tak, że nieznacznie cały zarząd Zielonką przeszedł w moje ręce. Służba nazywała mię już panem Wawrzyńcem, a stryj polegał do tego stopnia, iż poruczał załatwienie ważniejszych interesów, wysyłał mię z podatkami do powiatu, a raz nawet z grubą sumą pieniędzy do Warszawy.

Nie wiem czy skutkiem choroby, czy z innego powodu, pan kasyer trzymał mię jednak z daleka od siebie. Wiecznie nachmurzony, wiecznie poważny, strofował mię o najmniejszą rzecz, bez irytacyi to prawda, ale też i bez serca. Tymczasem przywiązanie moje do jego osoby z dniem każdym wzrastało; nie myślałem i nie mówiłem o niczem innem tylko o stryju i w oczach jego chciałem wyczytać wszystkie jego życzenia tak,

że nięch się tylko obróci i gdzie spojrzy, już ja wiem czego on chce i biegnę, aby mu to podać.

Nieraz i Berek widząc moje zasępienie, badał o przyczynę smutku, a gdym mu powiedział, że martwi mię taka obojętność stryja, pocieszał mię po swojemu.

— Panie Wawrzyniec, pan młody, a jaśnie wielmożny kasyer jest człowiek najmądrzejszy. Jak on robi, to on wie, dlaczego robi. Jemu nikt nie poradzi, coby on był inszym.

— Mój Berku, może ja jemu zawadzam — rzeknę na to. — Powiedz mi prawdę, a pójdę gdzie do obowiązku. Dzięki Bogu i stryjowi dobrodziejowi, już umiem tyle, że mię przyjmą za ekonoma lub pisarza...

— Et panie Wawrzusiu, nie trzeba nigdy, coby jaje było mądrzejsze od kury. Pan się nie waż tego panu kasyerowi mówić. Wawrzuś wie, że Berek jego przyjaciel; z przeproszeniem i żyd katolika może być przyjaciel — to Berek nie radzi kłopotać sobie tem głowy i robić swoje... tak Berek radzi.

Robiłem też swoje, choć stryj nie zmienił swego postępowania, a nawet powiedziałbym, stawał się co dnia zgryźliwszym, tak, że ledwie już wytrzymać mogłem, aby mu się nie rzucić do nóg

i nie wypowiedzieć mojego dlań uczucia i przywiązania.

Pamiętam, było to około Wielkiejnocy. Stryj wysłał Berka aż do Lublina w ważnym jakimś interesie. Cały wieczór pisałem za dyktowaniem rozmaite listy, na które czekał arendarz, aby nocą jeszcze wyjechać. Prócz tego, o czem z treści listów dowiedzieć się mogłem, dawał mu jeszcze po cichu różne instrukcye, więc usunąłem się do mojej stancyjki i tak nie rozbierając się, usnąłem na łóżku. Nie wiem przeto, która mogła być godzina, gdy uchyliwszy drzwi od kancelaryi, zawołał stryj na mnie:

— Wawrzuś!

— Słucham stryja.

— Moje dziecko — mówi łagodnym głosem — nie masz zapałki?

— Jest — odrzekłem, pocierając drewienko o ścianę, i zapaliłem świecę.

— Mój kochany — rzecze znów, stojąc rozebrany we drzwiach — nie wiesz ty, gdzie ciotka chowa cukier? Coś mię tak dusi, chciałem się wody napić z cukrem... A czegożeś to nierozebrany, fe, jak można kłaść się spać w ubraniu?

— Myślałem, że stryj mię będzie do pisania potrzebował.

— A tak co innego, dobre dziecko z ciebie... ale cukier?

— Oj nie wiem stryju, zdaje mi się, że ciotka stawia przy sobie na noc cukiernicę.

— Ha, to nie trzeba jej budzić.

— Jeżeli tak, to ja pobiegnę do Berka, widzę że jeszcze się świeci u niego.

— Czyby nie pojechał? No, kiedy masz ochotę, to idź i dowiesz się zaraz, czego on tak marudzi.

Skoczyłem tedy, po drodze wziąwszy karafkę na świeżą wodę, i za chwilę wróciłem, niosąc jedno i drugie.

— Berek już dawno pojechał — mówię, podając mu kilka kawałków cukru — przyniosłem świeżą wodę ze zdroju.

— Dziękuję ci mój chłopcze, bardzo dziękuję. Idź spać, bo to już późno, tylko się rozbierz. No, dobranoc ci!

—. Nie mogłem się powstrzymać, żeby go nie pocałować w rękę, a to widać rozczuliło tak starego, że wziął moją głowę gorącemi jak ogień dłoniami, i całując w czoło, powiedział:

— Dobrze, dobrze, niech cię Bóg błogosławi, bądź zawsze takim Wawrzusiu całe życie.

Byłem chyba już w piątem niebie! Z radości nie wiedziałem co z sobą robić, i gdyby nie noc i obok pokój sypialny stryja, byłbym tańcował po mej izdebce. Długo nie mogłem usnąć, rozmyślając o dobroci i szlachetności kasyera i błogosławiąc Berka, że mnie zapewniał o jego przywią-

zaniu i życzliwości. Nie miałem w życiu nikogo, na którego mógłbym zlać moje uczucia, a czułem, że serce wymagało jakiegoś ideału, dlatego szczęśliwy byłem, znalazłszy go w osobie stryja.

Wstałem do dnia jak zwykle do czynności gospodarskich, lekki jak piórko, biegając po wszystkich kątach, zachęcając do pracy, żartując ze służącymi — słowem jak ptaszę, szybujące swobodnie po powietrzu, gdy zaczajony strzelec kieruje bronią za jego lotem, i celuje z niecierpliwością, aby nie chybić. I dla mnie padł strzał! Zwichnęły się skrzydła mojego szczęścia, i ja podobnie jak ten król powietrzny runąłem u stóp przeznaczeń — myśliwego.

Darujecie mi czytelnicy — nie mogę pisać dalej bez wzruszenia. Po latach tylu spływają mi jeszcze łzy na papier, serce się ściska, ciemno przed oczami... To było coś gorszego niż strzał — to był krzyk zadyszanej służącej, która wpadłszy do gorzelni, ledwie wybełkotać mogła.

— Pan umarł!

Bez myśli, bez tchu, jak szalony wpadłem do sypialni stryja. Leżał bez czucia, owinięty w kołdrę, z twarzą spokojną jak we śnie. Na stoliczku obok stało pół szklanki wody i dwa kawałki cukru. Niestety już nie żył!

Nie potrzebuję opisywać płaczów, krzyków, lamentów, chaosu i przerażenia, jakie wypadek ten

sprawił we dworze i na wsi. Przyznam się, nie słyszałem tego, nic nie czułem prócz łez, które nieustannie płynęły mi z oczu.

Rozbiegli się posłańcy w różne strony do zięciów i synów pani Pelagii, która tak głęboko uczuła nagłą śmierć stryja, że nawet nie wyrwało się jej ani jedno słowo o sukcesyi. Robota wszelka stanęła, przybiegł proboszcz miejscowy, nadjechał wójt gminy Krzywuski, czerwony jak ćwik i brzuchaty mężczyzna, pokój ze stryjem na klucz zamknięto i rozpoczęły się narady o przygotowania pogrzebowe.

W trzy godziny może, spienionymi końmi i lecąc pełnym galopem wpadła bryczka z Adamskim, zięciem pani Pelagii, który o dwie mile od Zielonki trzymał dzierżawę. Z Adamskim przyjechała i Kostusia żona jego a córka pani Pelagii, tudzież niejaki Koziński, dependent od adwokata z Warszawy, który się przypadkiem na wsi u Adamskiego znajdował.

— Matko, testament jest? Gdzie testament? — trzeba natychmiast szukać testamentu! — woła junackiej postawy czarnozarośnięty Adamski.

Teraz dopiero opamiętawszy się pani Pelagia, że tu prócz zmartwienia idzie jeszcze o rzecz — otworzyła drzwi kancelaryi stryja, a wyjąwszy nieboszczykowi kluczyki z pod poduszki, oddała zięciowi, aby szukano testamentu.

Z gorączkową niecierpliwością, nie spojrzawszy ani razu na martwe oblicze poczciwego starca, który zdawał się z gorzkim uśmiechem przypatrywać ze swego łóżka tej rewizyi swego biurka, szafy i komody — przerzucali jakby sianem różnymi papierami, a mimo to testamentu nie było.

— Ach, ja nieszczęśliwa! — wyrzekła z rozpaczą ciotka załamując ręce i obracając się z wyrzutem do nieboszczyka — za tyle lat pracy i nic! Panie bracie kasyerze, czy się to godziło?

— Czego matka lamentuje — ofuknął zięć, spoglądając na nią znacząco, gdy tymczasem przyjaciel jego Koziński pakował do kieszeni jakieś pudełeczka, które w szufladzie dużego stołu napotkał. — Nie bój się matka, testament jest i znajdzie się, czego tak krzyczeć głośno. Ja zaręczam że jest, bom go u nieboszczyka widział... tylko...

I tu spojrzawszy do koła, zatrzymał wzrok na mnie.

— A ty tu po co garbusie? Szpiegujesz? precz!

— Daj mu pokój Ignacy...

— Po co on się tu wciska między familię? Czy on sukcesor, czy co? Niech sobie idzie do piekarni, wlezie w kąt i siedzi cicho. Takich świadków nie potrzebujemy.

Wyszedłem zgnębiony nie grubiańskiemi słowami Adamskiego, bo on nigdy, nawet za życia kasyera, nie dał mi dobrego słowa, ale tem, że nie pozwolono mi patrzeć się na ukochaną twarz stryja, który, zdawało mi się, żyje, a tylko spi i za chwilę może się obudzić... Jeszczem nie zdążył wyjść na dziedziniec, gdy znów w sieni napada na mnie owa Kostusia, żona Adamskiego.

— Dawaj klucze Wawrzek od spichrza i magazynu!

Dałem, i idę bezmyślnie ku gumnom. Stanąłem sobie przy sztachetach ogrodu i patrzę. Moja Kostusia, młoda jeszcze i przysiadła nieco kobieta, rozrzuca się i krzyczy na parobków przed stajniami. Ekonom Tomasz, od małego wychowany przy kasyerze, gdzieś się schował, a tu służący Adamskiego z drugim naszym parobkiem wynoszą wory ze spichrza, inni ładują, inni wypędzają kilkadziesiąt sztuk owiec z owczarni. Tu przyjeżdża parobek luzem na dwóch ostrokościstych szkapach z folwarku pana Adamskiego, i te postawiwszy w stajni, zabiera inne; dwie fury już odjechały, jedna z ulami pszczół, druga z żelaziwem... słowem rabunek na grubą skalę.

— Czego się ty tu plączesz garbusku! — huknęła na mnie pani Kostusia, przebiegając koło sztachet, przy których stałem. — Już się twoje

panowanie skończyło, nie masz tu czego oczów wystawiać... Idź sobie, idź, to już nasze...

Powlókłem się więc bez myśli prosto przed siebie, nie wiedząc, gdzie tu się podzieć, i tak niechcący znalazłem się w gorzelni. I tu ruch niezwykły; gorzelany z wójtem wytaczają z piwnicy beczkę okowity — nie rozumiałem, w jaki sposób oni się tam dostali, kiedy klucze przed chwilą były jeszcze w mojej kieszeni, bo dopiero co oddałem je Kostusi. Przez zapomnienie, ot poprostu z przyzwyczajenia, pytam się, co to jest, gdy wójt jakby odgadł moją intencyę, nim skończyłem mówić, powiada:

— Żebyś nie myślał Wawrzusiu, że to nie moje. Mówię ci, kupiłem u kasyera przed śmiercią i zapłaciłem, a teraz biorę panie dobrodzieju, żeby ta hołota, która się tu zjedzie, nie zrabowała... A ty mi ani piśnij o tem, pamiętaj! Paszportu nie masz, siedzisz tu jako włóczęga, więc panie dobrodzieju, szupasem raz, dwa, trzy, marsz do miejsca urodzenia, rozumiesz?

Tego nie bardzo rozumiałem, ale rozumiałem, jako utrzymujący książki rachunkowe stryja, że tam pan wójt nie figurował nigdy jako kupujący okowitę, a tem bardziej płacący za nią. Jednak zagrożony transportem, odwróciłem oczy i wyszedłem na podwórze z zamiarem udania się na plebanię. Po drodze, w kierunku od lasu do miasta,

patrzę, dwa wozy parokonne zbliżają się ku mnie. Na nich leżą ogromne kloce starodrzewia. Konie wytężając ostatek sił, tylko buchają parą z nozdrzy, a mój wujaszek Zalesicki podpiera tęgiem ramieniem kłonicę, i okłada koniska i krzyczy wio, wio, wio! Kiedy się zrównał ze mną, nie przerywając egzekucyi i jazdy, odzywa się z tryumfującą miną:

— Wawrzek, co... drę łyka i tęgo, co! Dyabli go wzięli, hę? A tyś chapnął co Wawrzek? Pamiętaj o sobie, a Bóg ci dopomoże... Wio, wio malutka, wio!... Z gołemi rękami cię nie przyjmę do chałupy... kpię teraz z twojego cechowania!...

No, pomyslałem sobie, wstępując na plebanię, trzy godziny dopiero od śmierci kasyera, a już tak idzie? I żal mi było tej pracy stryja, bo choć wiedziałem, że to nie moje, lecz tak jakoś przez lat trzy nazywając to naszem, nie mógłem obojętnie patrzeć na taki publiczny rabunek tego, co on wytrwałą pracą i skrzętnością zgromadził. Z tą smutną myślą wszedłem w gościnne progi księdza proboszcza. Poczciwy starowina, dając dyspozycye pogrzebowe organiście, jak ma być katafalk ubrany, ile świec, jakie lichtarze, ciągle trzymał kraciastą chustkę czerwoną przy oczach i łzy ocierał. I on kochał nieboszczyka kasyera, choć pani Pelagia odwracała ciągle stryjowskie

serce od niego, siejąc plotki i różne komeraże między nimi.

— Cóż, wypędzili cię biedaku? — spytał żywo?

Nic nie odrzekłem.

— Nie bój się, wszystko dobrze będzie — mówił starowina, przyciskając mię do piersi. Jakoś to damy sobie radę. Niech drapią, niech wypędzają, na dobre im to nie wyjdzie, wierz mnie staremu. A tymczasem zostań tu u mnie na plebanii, tyś dobry chłopiec, miejsce dla ciebie znajdziemy, tylko nie płacz, będzie wszystko dobrze...

Przez cały ten dzień i drugi zjeżdżała się rodzina ciotki Pelagii, a rabunek trwał swoją drogą. Co się tam działo między familią we dworze, już tego nie wiem, bo mię nie puszczono do pokojów, jednak musiały być jakieś historye, skoro pod wieczór w wigilią pogrzebu wpadł do proboszcza przestraszony karbowy dworski.

— Co tam Wojciechu takiego? — zapytał proboszcz wchodzącego.

— Koniec świata mój jegomość... Niechno jegomość pozwoli, ja mu coś powiem. Tam coś złego zamyślają — mówi, oglądając się na wsze strony.

— Tu nikogo nie ma, sami swoi; kto zamyśla? — pyta zatrwożony proboszcz.

— Ot widzi ksiądz dobrodziej tak było: Nie moje to wszystko, to prawda, ale grzech nie przeszkodzić, kiedy się widzi złodziejstwo. U mnie były klucze od stodoły i młocarni, i koniecznie chcieli je odebrać... Tak nie oddać, tobym nie śmiał, bo jakże się z panami sprzeczać, ale myślę sobie, jak mię nie znajdą, to jużcić nie będą odbijać zamków. Siedzę sobie tedy w jednej stodołce, gdzie owies, i wyglądam przez szpary na gumno... Latają, wołają: Tomaszu, hej Tomaszu — ja nic. A kiedy widzę, że idą do stodoły, bo im ktoś powiedział, że ja tam jestem, ja myk do sąsieka i schowałem się między snopki. Leżę sobie i różnie myślę, a dech zatykam, kiedy Adamski mówi do tego adwokata z Warszawy, jakże on to? Kozowski czy Koziński, ten z taką bródką, jegomość wie... ten, ten...

— No dobrze, wiem, ale cóż dalej?

— Karolku, ty napiszesz — powiada do niego nasz — dalibóg napiszesz. Damy ci pięć tysięcy.

On na to:

— Ale bój się Boga, to trudno udać rękę starego...

— Eh, co trudnego dla ciebie, pamiętasz, jakeś to raz mnie podpisał, tobym przysiągł, że ja...

— Mógłbym spróbować, ale jak się wyda?

— Co się ma wydać — przerwał mu Adamski — Bóg w niebie i ja o tem wiemy. Znalazł się

testament i basta: krótko węzłowato: zapisuję cały majątek ruchomy i nieruchomy, kto tam będzie dochodził...

— A Dąbecki z Ukrainy, siostrzeniec nieboszczyka? Zapomniałeś o nim... Ho, ho, to mądry lis, on tu lada dzień zleci, wójt Krzywuski dał mu znać, a to cięta sztuka, ja go znam.

— No, to mu trzeba coś zapisać.

— Mogę mu legować ze dwadzieścia tysięcy — rzecze na to Kozicki, śmiejąc się głośno. — Albo to z mojej kieszeni?

— Niech i tak — potwierdza Adamski. — Weź papiery nieboszczyka, rozpatrz się w piśmie i wal testamencik. W imię Ojca i Syna, wiesz... Moja Kostusia główna sukcesorka ma się rozumieć...

— A nie zmiarkuje co Hipolit?

— To głupiec, chociaż brat mojej żony i inżynier. On i tak za życia nieboszczyka najlepiej go doił...

— No, a komu więcej? — powiada ten Kozicki.

— Dalej zapiszesz im wszystkim po sześć tysięcy, będą mieli dosyć... Matce żony dożywocie na połowie.

— I co więcej?

— Czekajże — mówi. — Ale, ale, temu garbatemu dyabłowi trzeba coś na odprawę, stryj go lubił, więc dla niepoznania zapiszesz mu trzysta albo pięćset złotych.

— A służącym?

— Co służącym?... wszystko złodzieje!

...Widzi Jegomość, czegośmy się to doczekali — dodaje od siebie karbowy, wzdychając boleśnie. — Stali, stali, a ja już ledwie dyszę... Coś mi do ust wleciało ze słomy i chciało mi się kaszlnąć, alem je stulił, ręką zatkał i leżę, ani drgnąwszy.

— A ja co? — spytał w końcu Kozicki.

— No, mówiłem pięć tysięcy złotych...

— Gdzież one są?

— Gdzie? U mnie. Jak wezmę Zielonkę, słowo honoru na drugi dzień wypłacę.

...Znowu zamilkli proszę Jegomości, a ja powoli, powoli, tak głowę do góry i przez szparę między słomą patrzę na nich.

— Wiesz co Adamski, tyś mój kolega i przyjaciel, ale ja ci nie wierzę. Powiem ci, chcesz nie chcesz, ale ja i sobie zapiszę.

— Karolu, to nie wypada...

— Dlaczego nie wypada?... Byłem pisarzem jego adwokata, pracowałem mu dosyć... czemużby...

— Eh, lepiejby bez tego...

— Duszko moja, jak się ryzykuje, przynajmniej niech będzie za co.

...Wyszli ze stodoły — prawił dalej karbowy — a ja dopiero odetchnąłem i prosto do Jegomości. Nie wielem z tego zrozumiał, alem sobie wszystko zapamiętał co do słowa. Widzisz go, służący złodzieje, hę! A proszę Jegomości, oni

co? Czy mię kto złapał na czem? Nawet chomonta od fornalskich koni poodmieniali, deski biorą, koniczynę biorą, worki biorą.

Ksiądz słuchając tego wszystkiego dumał, gorzko się uśmiechał i głową kiwał jakby odurzony. Nareszcie zrywa się, chwyta za kapelusz i tak jak stał w letniej sutannie, wybiega do sieni i mnie pociąga za sobą.

— Pójdźmy Wawrzuś — te chłystki z Warszawy... O mądral... Pan Jezus nie dał... widzisz go, testamentu im się zachciewa... Nic, nic, nic... póki ja żyję... Tomaszu idź do chałupy i ani słówka nikomu!

Starowina tak się zacietrzewił, że nawet nie miał czasu chustki schować do kieszeni, tylko zawiesiwszy ją na ręce, pukał drugą ręką o tabakierkę i przystawał wsród błota, i prostował się, a mocnym ruchem ręki pokazywał na ziemię, jakby tam kogoś tratował... Ja ledwie że mogłem zdążyć za nim, choć naprawdę nie wiedział on, czy ja idę lub nie.

Wpadliśmy jak bomby wprost do alkierza pani Pelagii i zastaliśmy właśnie tego pisarza od adwokata, jak rozpatrywał się w papierach nieboszczyka.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków — odrzekła ciotka, gdy wszyscy, a było tam kilka osób z familii, powstali

zdziwieni tak późnem zjawieniem się proboszcza, tem bardziej, że za życia nieboszczyka rzadko kiedy pokazywał się we dworze, i z całą rodziną ciotki w nienajlepszych zostawał stosunkach.

Cały zirytowany, z twarzą pałającą gniewem, przystąpił ksiądz wprost do Adamskiego, który dymiąc cygarem, już trochę miał w czubku i był w najlepszym humorze.

— Czy panie tego, jak się nazywa... — pytał ksiądz proboszcz, wstrzymując się od wybuchu — znalazł się jaki testament?

— A proboszczowi na co ta wiadomość? — odpowiada zuchwale, pobrzękując drobnemi pieniążkami w kieszeni, gdzie rękę trzymał.

— Musi być na co, skoro się pytam.

— Nie ma księże dobrodzieju, nie ma — rzecze na to płaczliwym głosem pani Pelagia. Za tyle lat pracy...

— Co się tam matka będzie tłómaczyć — ofuknie Adamski. — A choćby i był, to komu co do tego — dodaje, gestykulując ręką.

— Może i do tego — powtarza, uśmiechając się ironicznie starowina. — Tylko mi no nie machaj ręką przed nosem smarkaczu jakiś, boś winien znać uszanowanie dla księdza mospanie, który i ciebie i twoją żonę przyjmował na łono świętego kościoła, ochrzciwszy na katolika a nie żadnego bisurmana... Powoli mosanie, powoli... do-

wiesz się zaraz, o co mi chodzi! Otóż mówię acanu dobrodziejowi, i ja mam pretensye do spadku.

— A to zkąd? — zapytało na raz kilka osób.

— Zkąd? Ztąd co i pan Koziński, prawda? — rzekł, obracając się do czytającego przy stole dependenta. — I ja się trudniłem interesami nieboszczyka, parę razy przywoziłem mu pensyę emerytalną z powiatu. Panie Adamski, choćby przez wdzięczność, żem ci ślub dawał z Kostusią, nie zapomnijcie o mnie... parę tysięcy...

Wszyscy pootwierali usta, patrząc się na proboszcza, a słysząc taką jego żartobliwie-ironiczną mowę, byli przekonani, że stary majaczy. Jeden tylko dependent przestał czytać papiery i obrócił się z krzesłem ku proboszczowi, a szanowny Adamski coś spuścił oczy.

— Co proboszczowi się stało? — pyta ciekawie pani Pelagia. — Czego ksiądz proboszcz chce?

— Hm, czego ja chcę — mówi ksiądz, zażywając tabakę. — Chcę co utargować dla siebie, póki czas, póki jeszcze nie ostygły zwłoki ot w tamtej izbie uczciwego człowieka, co żył dla was i dla was pracował... Dobranoc państwu, dobranoc, tylko panie Koziński ostrożnie trzeba podobne literki stawiać; nieboszczyk kasyer pisał bardzo wyraźnie, mam jego listy...

— Bardzo proszę proboszcza do mnie przytyków nie robić i kazań mi nie prawić... tu nie kościół

ani konfesyonał... Niech proboszcz swoje niesmaczne żarciki schowa dla swojej gospodyni... ja nie z tej parafii...

Wszyscy się roześmiali na głos, a ksiądz proboszcz widzę aż trzęsie się ze złości i rusza głową, nie wiedząc jak tu wybuchnąć. Nareszcie przysuwa się wolno do rozwalonego na krześle dependenta, i kiwając mu tabakierką przed nosem, mówi:

— Ty szpindlu mospanie, nie pisz testamentów, boś nie rejent, tylko piszczyk mospanie. Słyszałem, i ktoś drugi słyszał w stodole wasze konszachty... Tak, mam świadka szpindlu jakiś!... I dostaniecie żelazne obrączki oba na ręce, i pójdziecie tam, gdzie to wiesz... gdzie pieprz rośnie mospanie!

I odwróciwszy się cały w ogniu, chwycił mię za rękę i wyszedł, potykając się wciąż na progach kuchni i w sieni.

Odbył się pogrzeb z wystawnością — sukcesorowie niczego nie żałowali, było księży coś dwunastu, obywatele z okolicy i tumult drobnej szlachty. Płaczów, żalów serdecznych, tudzież mów pogrzebowych aż trzy. Stryj znanym był z zacności swego charakteru o kilka mil dokoła, a już co się tyczy zaściankowej podlaskiej gawiedzi,

to rzeczywiście był jedynym jej obrońcą i dobrodziejem.

Na drugi dzień po pogrzebie, gdym za poradą proboszcza poszedł do dworu, aby zabrać swoje manatki, ciotka Pelagia przy pożegnaniu ani słyszeć nie chciała o tem, żebym ja miał się wynosić na plebanię.

— Cóż to nie znajdzie się tu dla ciebie jakiego kąta i łyżki strawy? Zostań Wawrzusiu i nie zważaj na zięcia. On tu nie rządzi, ale ja. I tak narobili w gospodarstwie tyle bigosu, że nie wiem, co to będzie, jak przyjadą inni sukcesorowie, albo i podsędek do opieczętowania. Weź klucze i zarządzaj jak dawniej, a później zobaczymy.

Ciotka mówiła to z serca i z niejakiem przygnębieniem. Testamentu nie było, bała się tego siostrzeńca z Ukrainy, a że Bogiem a prawdą jej protekcyi kiedyś winien byłem przytułek swój w Zielonce, więc zgodziłem się kalikować dalej biedną gospodarkę naszą.

Coś w tydzień potem, przyjechał podsędek z najbliższego sądu na opieczętowanie pozostałości po stryju, a że nie było mu pilno, pisał ów protokół coś ze dwa dni; jadł za trzech, pił najlepsze wina z piwnicy i chorował parę razy na dzień rozkazując sobie gotować rumianek i robić gorące okłady.

Pamiętam, siedzieliśmy przy obiedzie, podsędek już niemłody człowiek, łysy, brzuchaty, był tego dnia zdrów i opowiadał różne wesołe dykteryjki z czasów urzędowania swego na pisarstwie, gdy zda mi się spojrzeć w okno, a tu przez dziedziniec idzie jakiś mały człowieczek z ogromną księgą pod pachą. Czapkę trzyma w ręku, laskę w drugiej, a kolorową chustką osłania połowę twarzy jak człowiek cierpiący na ból zębów. W letnim wypłowiałym surduciku, z zawiniętemi u dołu spodeńkami, maszeruje w prostej linii przez klomb ku dworowi, i opędza się kijem przed psami, które go atakują, na co on biorąc ów kapelusz w zęby, z wytrzeszczonemi oczyma, goni przelęknionych kundysów.

— Patrzno mama — zawoła najmłodsza córka pani Pelagii — zdaje mi się, że to Łasicki.

— Prawda, że on — powtórzyli inni, gdy tymczasem mały człowieczek, uniknąwszy psiej pogoni, wchodzi do pokoju, nie przywitawszy nikogo, siada bez ceremonii na krześle i księgę obok siebie lokuje.

— Okropna droga panie sędzio, hę? Trzy dni już idę z Lubartowa, bo te nasze chłopskie furmanki to dyabła warte. Żonę z dziećmi to chyba ledwie na jutro ściągną, a ja piechotą w prostej linii prędzej jestem...

— Ale któż pan dobrodziej taki? — pyta podsędek, patrząc się z podziwieniem na człowieka, który jednym ciągiem zrobił czterdzieści mil piechotą.

— Et, zła pamięć u pana podsędka! Łasicki, dawny rewizor tabaczny, emeryt.

— Bodajże cię panie Feliksie! Prawda to pan... Tak, tak, byliśmy razem w Sokołowie, ja podpisarzem, a pan rewizorem... Ale, ale, przecież to i żona pańska sukcesorką?

— Zdaje się że sukcesorką, boć po siostrze nieboszczyka kasyera — mówi, ocierając pot z czoła. — Za życia nic nie dawał, to może po śmierci coś zostanie, jeżeli już nie rozdrapali. Słyszałem, przez cały tydzień wywozili ztąd, mam to wszystko spisane w tej książce, w którą wszystko wpisuję, co gdzie widzę i słyszę, a co jest godnem uwagi. Za pozwoleniem pana sędziego, mogę prosić o pióro?

Podsędek podał mu pióro ze stołu, on rozłożył księgę na oknie, krzesło przysunął, a wyjąwszy z bocznej kieszeni okulary, wytarł je zamszową skórką, na nos wsadził i zaczął pisać, dyktując sobie głośno:

— „Nr. 1248, dnia 19 kwietnia 1856 roku w Zielonce. W dalszym ciągu obserwacyj moich, dostrzegłem w zielonkowskim lesie, Bagno zwanym, ściętych świeżo i niecechowanych sztuk

starodrzewia trzynaście nr. 13. Zapytany przezemnie gajowy Kacper, Kołkiem zwany, kto je ściął, rzekł: wójt z Zalesia, Krzywuski Bonawentura. Ja mówię: kto pozwolił? — on powiada: pan Adamski.“

— Nieprawda! — krzyknie ten ostatni, zrywając się czerwony jak pons, gdy wszyscy ze zdziwieniem przypatrywaliśmy się tej oryginalnej postaci rewizora.

— Nie prawda? mówisz panie Adamski — dodaje, podnosząc okularami uzbrojoną twarz ku niemu — więc któż mu pozwolił?

— Albo ja wiem!

— Nie wiesz panie Adamski, więc może kto z państwa?

Nikt nie odpowiedział na to.

— A zatem piszemy dalej: „Skoro obecny temu sam pan Adamski zaprzecza, gdy to notuję, więc z naturalnego pojęcia rzeczy, owe starodrzewne sosny, wójt wyżej powołany z imienia i nazwiska, samowolnie zabrał *vel* ukradł...“ Dziękuję panu za pióro — dodał, kładąc takowe na stole, pismo zasypał wapnem uskrobanem ze ściany i księgę zamknął.

— Nieoszacowana to księga; ma już 1248 pozycyj różnych rzeczy. Ja co tylko gdzie przeczytam w gazecie, czy w książce, czy w kalendarzu, albo usłyszę od kogo i uznam, że coś warte —

wpisuję tutaj, i jak potrzeba, mam na zawołanie. Panie dobrodzieju *verba volant, scripta manent*.... Ot naprzykład smarowidło na buty, aby nie przemakały, jest pod nr. 246. A co bardzo ciekawe, to życie mrówek afrykańskich *vel* termitów pod nr. 1000 — te doskonale pamiętam. Jak się pan sędzia ułatwi z obiadem, przeczytam mu kilka pozycyj. Naprzykład opis mojej podróży pieszo na Ukrainę do brata żony; jest tam sławna relacya o zepsutych jajach, któremi mię na powitanie poczęstowała żona szwagra Dąbeckiego. Mnie to tak witają. Naprzykład teraz droga ciotunia, współsukcesorka, częstuje gości, widzę i wino tu jest, czy zapytała mię, cobym też zjadł?

— I owszem prosimy, niech pan Feliks siada... Przepraszam bardzo, pan Feliks zjawił się tak niespodzianie...

— Zapewne niespodzianie, ja wierzę; pewno i zawcześnie. Oporządziliście już wszystko hę? A ciotunia droga nic o tem nie wie, kiedy mnie już w Lubartowie o tem wszystkiem mówiono. Zapytaj panie Adamski Kostusi, czy chomonta dobrze pasują na wasze konie, co? A miodu dużo w ulach? Jeszcze pszczołeczki śpią, utrzęsły się trochę, nie mogą iść na robotę... Ale pójdą, pójdą, da Bóg doczekać ciepła...

— Eh, dałbyś pokój panie Feliksie z tym ostrym

językiem — odzywa się ciotka Pelagia. — No, zjesz pieczeni cielęcej?

— Nie ciociu dobrodziejko, uraczysz mię, jak dasz kwaśnego mleka z kartoflami, tylko, aby słoninki do nich. — Musiało co zostać w spiżarni; sadła to wiem, że Józia Kulikowska wzięła dwa. Stryj kasyer już nie żyje; on to mi żałował jak tu bywałem dawniej, prawda ciociu, że to był skąpiec? Pamięta ciotka, nigdy tygielka na słoninę nie było, ale teraz inaczej, już ja sobie po drodze kupiłem żelazny wybielany.

I rzeczywiście wydobył z kieszeni surduta nowy tygielek na trzech nóżkach, a podając go ciotce Pelagii dodał:

— Niech będzie słoninki ot póty — a ja sobie sam wyleję na kartofle...

Nazajutrz, dopiero około południa przyjechała jednokonną furmanką pani Łasicka z dwoma już doletniemi córkami, i synem wyrostkiem, któremu bardzo źle z oczu patrzało. Od tej chwili naprawdę rozpoczął się płacz w domu. Pani Łasicka, była to wysoka, koścista, szczupła osoba, wiecznie płacząca, coś nakształt brzozy pochylonej nad wodą. Gdy jej łzy nie płynęły z zaczerwienionych powiek, a mówiła nawet coś wesołego, już sam głos jej miał coś lamentującego, a ton mowy i sposób wyrażania się wyglądał na psalmowy..

Po krótkich a zimnych przywitaniach z ciotką, była bowiem po cioteczuej siostrze pani Pelagii, ulokowano ją w oficynie, i odtąd siadało nas do obiadu siedmnaście osób, nie licząc dzieci, mamek, nianiek i różnych sług, które sukcesorowie z sobą przywieźli. Ze dwa dni ciotka przyjmowała wszystkich jako swoich gości, lecz wkrótce powstały różne swary, i każda partya poszła na swój garnuszek. Państwo Łasiccy byli bez grosza, a że gotówka w sukcesyjnej kasie została wyczerpaną i nikt im nie chciał pożyczyć, uradzono wymłócić trochę zboża i posłać na sprzedaż do miasta. Pan Feliks, którego księga pamiątkowa stała się dotykalnym wyrzutem sumienia dla wszystkich, w razie opozycyi, otwierał ją w miejscu właściwem i recytował, co kto wywiózł z Zielonki — i tem imponował każdemu, zniewalając do uległości dla siebie.

Kiedy zdecydowano się na owe młócenie, wszyscy *in corpore* udaliśmy się do stodoły: Łasicki z dwiema córkami i z żoną robiącą pończochę, on sam z nieodstępną księgą, Adamski w imieniu matki swej żony, ja dlatego, że miewałem dawniej klucze od stodół jako świadek. Tomasz karbowy jako dozorca, nie mówiąc już o galeryi z nianiek i drobnej dziatwy, która pod dowództwem młodego Łasickiego zajmowała się

gimnastyką po belkach dla wyszukiwania gniazd wróblich.

Rozpoczęła się dysputa, jak tu się dzielić.

— Ja — mówi Łasicki — po szlachecku, na snopy. Snop tobie, snop mnie, i każdy swoje młóci.

— Za pozwoleniem — przerywa Adamski — najprzód nam po matce dwa snopki, a panu jeden, bo matka nasza jest siostrą kasyera, a pani Łasicka jest tylko córką po drugiej siostrze... jak słuszność...

— Doprawdy? A Dąbecki, brat mojej żony? Choć tu nieobecny, to mu się tak samo jak nam należy, bo jedna matka ich rodzi i ja tego pilnuję. Tomaszu! — krzyknie na gumiennego — rzucać snopek na prawo i snopek na lewo...

— Przepraszam, dwa na prawo, jeden na lewo, to będzie już dla was dwojga, takie jest prawo

— Mój Boże — wtrąca ze łzami w oczach Łasicka, siedząca na słomie — biednym zawsze wiatr w oczy. Ach jacy my biedni. Mój Feliks bierze sześćset złotych emerytury i wyżyj tu z dziećmi i ubierz, i edukacyę daj... My tacy nieszczęśliwi, jak wróbel na samotnym dachu...

— Pleciesz imość — ofuknie mąż — wróbel od nas bogatszy, bo się z nikim nie dzieli.

— Toć lepiej wymłócić wszystko razem, kopę

czy dwie, a potem już ziarnem się państwo podzielicie — robi uwagę Tomasz.

— Ja nie chcę, tu idzie o słomę, a snop snopowi nie równy. Zresztą ja sobie dopilnuję, żeby moje lepiej było omłócone...

Stanęło na tem, że na snopki; lecz znowu parobków, mających młócić cepami to zboże, nie można było proporcyonalnie do sched rozdzielić. Było ich do roboty pięciu; ten chciał trzech, ten nie chciał dwóch; znowu więc sprzeczki i rady, aż gumienny chłopskim rozumem rozsądził ich tak, że temu niech młóci dwóch i temu dwóch, a piąty będzie kolejno przechodził od jednj schedy do drugiej. Skutkiem takich swarów młócenie owo rozpoczęło się dopiero około południa, a że dzień był jeszcze krótki, nie zmłócono tylko coś jedną kopę i to po nocy trzeba było wiać i czyścić na młynku.

Dalej szła rzecz o sprzedaż okowity na garnce, po którą zgłaszało się dość okolicznej drobnej szlachty. Urząd ten sprzedaży sprawowała dotąd czternastoletnia córka Adamskiego, Łasicki zatem, któremu cała ta manipulacya wydała się bardzo podejrzaną, z żoną, dwiema córkami i Stasiem, zrobił formalny najazd na ową dziewczynę i przemocą odebrano jej klucz od magazynu. Nastąpiła kłótnia już na dobre. Adamski uniesiony gniewem, popchnął Łasickiego, wytrąciwszy mu księgę

z pod pachy, która upadła w błoto, ten znów chwyciwszy ją z ziemi i nie zważając na skutki, rzucił na córkę Adamskiego. Starej Łasickiej oberwano kompletnie spodnicę od stanika, lecz plac boju, to jest klucze, pozostały w rękach najezdcy.

Wieczorem obie strony wystosowały na siebie skargi do sądu o pobicie, a nazajutrz dwaj konni posłańcy powieźli je do miasta powiatowego. W dodatku jeszcze wójt Krzywuski, którego na interwencyę do tej sprawy sprowadzono, wziąwszy stronę Adamskiego, wystąpił z pretensyą o potwarz do pana ex-rewizora tabacznego, jakoby on, urzędnik publiczny, posądzony był o kradzież trzynastu sosen z lasu, a które właściciel miał mieć za życia kasyera darowane.

— Proszę pokazać asygnacyę nieboszczyka? — mówi Łasicki.

— Kasyer mi nie dał.

— Więc ukradzione!

— Pan się miarkuj! — krzyknie opasły wójt — to potwarz!

— Nie, to jest prawda.

— Odwołasz pan to, czy nie? Inaczej skarżę do sądu.

— Daruj wójcie, wszystko mogę, ale jakże prawdę odwołać?

I znowu poszła na pana Feliksa druga skarga do sądu.

Prawie niepodobna mi opisywać wszystkie szczegóły wspólnego zarządu przez te dni kilka, i mnogie awantury, jakie z tych naprężonych stosunków sukcesyjnych wynikały. Była to kompletna bitwa na całej linii, na którą musiałem się patrzeć a czasem i śmiać z różnych konceptów, jakie dla wzajemnego dokuczania co godzina wymyślano. Nie sypiali po nocach a pilnowali się. Przechodząc jeden koło drugiego, zdawało się, że warczą jak brytany, co to najeżywszy szerść, patrzą z podełba. O najmniejszą rzecz, o drzewo do kuchni, o śmietankę do kawy, o nabożeństwo za duszę zmarłego targowano się i sprzeczano do ostatka. Ja tu pan i ja tu pan... Ty do czwartej części — ja do połowy; a Łasicki w dogryzkach był niewyczerpany, więc przy krwi zimniejszej zawsze prawie zwyciężał przeciwników.

Nareszcie dwunastego czy piętnastego dnia po śmierci stryja, pokazał się na drodze od miasta powóz, zaprzężony w cztery konie rzędem, dalej bryka z budą płótnem obitą, dalej trzecia nakształt kibitki z płóciennym żłobem z tyłu, do którego przyczepionych było kilka tabunowych koni. Cała ta kawalkata, podskakująca kolejno na progu bramy wjazdowej, wtoczyła się na dziedziniec. To jeszcze jeden sukcesor, brat rodzony pani Ła-

sickiej, Imci pan Jan Dąbecki z Ukrainy. Powóz zatrzymał się przed gankiem, i wyskoczył zeń może pięćdziesięcioletni mężczyzna, rosły, barczysty, już szpakowaty, z gęstymi wąsami i sterczącą do góry czupryną. Miał na sobie krótką lisiurkę wielbłądziem żółtem suknem pokrytą, buty palone z ostrogami, słowem mina tęga, zuchwała, jakby u jakiego wojskowego.

Nie spojrzawszy na nikogo, od razu położył się plackiem na ziemię. Myśmy struchleli, sądząc, że mu się niedobrze zrobiło i zemdlał, ale on skrzywiwszy twarzą jakby na rozrzewnienie, ucałował potrzykroć błoto, i podnosząc się, zawołał:

— Witam cię ziemio ukochana! Całuję ślady stóp twoich, szlachetny wuju!

— Żeś testamentu nie napisał — wtrąca Łasicki, trzymając swoją księgę pod pachą... Otóż to poeta z kurhanów ukraińskich...

Spojrzał się bystro na niego swojemi siwemi oczyma Dąbecki, krzaczaste brwi nasunął ku sobie, żonę, bardzo tłustego oblicza a małego wzrostu osobę z powozu wysadził, i zaczął ściskać wszystkich po kolei, ale tak serdecznie, że pani Łasicka aż krzyknęła.

— Wiesz mały — rzecze do mnie pan Feliks, odprowadzając na bok — nie przybliżaj się zanadto do niego, bo to niedźwiadek ze stepów ukraińskich... Widzisz, prosty leśniczy, powozem jedzie z tabu-

nem koni. Uczciwie służył, nie ma co mówić: byłem ja u niego i o mało nie umarłem z głodu... Trzykroć dusi w tych kufrach; wiem, wiem, uciułał sobie z pensyjki gajowego... A chciwiec, za rubla dałby się powiesić...

Pan Jan nadzwyczaj był rozczulony wspomnieniami owej Zielonki i godnego jej dziedzica. Do samego wieczora nieustannie miał łzy w oczach, chodził, oglądał wszystkie pamiątki po stryju pozostałe, nawet pantofle wyciągnął z pod łóżka, płakał i całował wszystko.

— Mój Boże, czemuż ja tu wprzód nie przyjechałem! A pisał mi wuj... Jasiu przyjeżdżaj, trzeba żebyś przyjechał, a nawet dobrze, żebyś przyjechał. O ja nieszczęśliwy! Dziś widzę i rozumiem co to znaczyło to „dobrze żebyś przyjechał“ — napisałby testament. Mój dobry Boże, już go nie ma, tego drogiego, szlachetnego opiekuna i dobroczyńcy mego, który mi dał edukacyę... Ach jak tu rozkosznie, jaki tu kraj uroczy, jaka błogość w sercu na swojej ziemi!...

— Żeby tak jeszcze *mużyków* poddanych trochę, i żeby *czumaczka* się udała, hę? Mówię ci kochany szwagierku, kiepskie wolęta mają — wtrącił Łasicki.

Już taką miał naturę ten mały człowieczek, że nikomu nie mógł przepuścić, choć wkrótce pokazało się, że znał bardzo dobrze pana Jana

i wiedział, co czeka Zielonkę w rękach ukraińskiego poety.

Na drugi dzień wszystkie żale, uniesienia, płacze i bole pana Dąbeckiego poszły gdzieś jakby miotłą wymiótł. Nie robiąc sobie z nikim ceremonii, zabrał od razu klucze, regestra, wszystkie papiery i ruchomości do siebie. Współsukcesorowie opuścili uszy; pan Jan miał takie ostre spojrzenie, tak imponujący wyraz twarzy, takie brwi krzaczyste, że niech tylko odwróci się do którego i zapyta: jak? co? — a wszystko milczało, ustępując. Jeden tylko Łasicki odcinał się żartami jak mógł, ale żona, rodzona siostra Dąbeckiego, mitygowała go ciągle z płaczem i rąk załamywaniem.

— Mężu, kochanie, słuchaj brata dobrodzieja. My jesteśmy nędzarze naprzeciw niego, pamiętaj, że on bogaty i dzieci nie ma...

— Myślisz, że co dostaniesz po nim? Cha, cha, cha, śmiał się, poprawiając okulary Łasicki — spróbuj, daj mu trzy grosze, czy nie weźmie jeszcze od ciebie i w rękę cię nie pocałuje, tak jak całował ziemię przed gankiem. On, zaręczam ci, jak będzie umierał, to pozjada z chciwości swoje kapitały... marne to nadzieje twoje!

Nie ma co mówić, pan Jan wziął wszystko w ręce i każdemu wydzielał, co mu się podobało. Za parę dni już stanął na cmentarzu kamienny

pomnik dla stryja, sprowadził go własnym kosztem za sto jedenaście rubli z Warszawy. Dalej sprowadził rejenta dla spisania inwentarza pozostałości, i zaczął się targować o nabycie schedy od pani Pelagii.

— Kto jest ten garbaty? — zapytał raz ciotki przy obiedzie, pokazując na mnie.

— Sierota, bliski krewny żony nieboszczyka kasyera i jego wychowaniec.

— Ach paniczu — mówi do mnie — cóż ty tu robiłeś?

— Pomagałem stryjowi w gospodarstwie, prowadziłem regestra.

— Dobrze, dobrze, możesz objaśnić pana rejenta przy spisie i pomódz w pisaniu... Nie bój się, dostaniesz od niego wynagrodzenie, bo ja się zgodziłem już z nim ryczałtowo za cały inwentarz.

— Ależ mój Jasiu — wtrąciła ciotka — wypadałoby i o nim nie zapomnieć, to sierota bez ojca i matki, no i kaleka...

Pan Dąbecki ruszył na to wąsami, brwi zmarszczył, czuprynę potarł, myślał i myślał głęboko, a nie odpowiedziawszy zaraz, wziął się do jedzenia.

— Potrafisz służyć trzeźwo, wiernie i gorliwie? — spytał mię, obcierając usta serwetą.

— Że wierny i uczciwy, to ci zaręczam — odzywa się ciotka — ale jest słabowity i ciężko pracować nie może.

— Ha, to cóż na to poradzić łaskawco? Ja potrzebuję ludzi do pracy, nie do choroby.

— Możebyśmy się złożyli...

— Nie zabraniam, nie zabraniam – mówi prędko Dąbecki. — Dobre serce zawsze się ceni, ale ja nic nie mam. Wszystko, czem mię Stwórca wszechmogący obdarzył, pracy rąk własnych zawdzięczam, obowiązki mam swoje...

— Kasyer go bardzo lubił, wychował go, uczył...

— Szlachetny stryju, któż ci dorówna! — zawołał z uniesieniem, zwracając się ku portretowi nieboszczyka, wiszącemu na ścianie. — Gdzież ciotko kochana mierzyć się mnie robakowi z jego rozumem i sercem! Dał mu wychowanie, dał mu wszystko!

Jakkolwiek zawsze bardzo mało trzymałem o swej osobie i starałem się tłumić wszelkie poczucia jakiejś ambicyi, jednak byłem do żywego dotknięty taką mową, i zaczerwieniony jak pons, odezwałem się głośno:

— Stryj dobrodziej rzeczywiście dał mi wszystko. Daruje ciotka kochana, ale ja niczego nie potrzebuję od państwa i nic nie przyjmę.

— Brawo! — zawołał z energią Dąbecki, spoglądając na mnie. — To mi zuch, to mi krew

prawdziwie szlachecka! Tak młodzieńcze, najlepiej rachować zawsze na własne siły, jak kto może, czem może, aby bez żadnej łaski... Własna praca wzbogaca...

Jakoś to nie mogło mi się w głowie pomieścić, żeby on prawdę mówił, raz że właśnie przyjmował z łaski spadek po stryju, drugi raz, że ta jego służba za leśniczego nie przemawiała bardzo za uczciwością, skoro po dwudziestu latach, z pensyi wynoszącej tysiąc złotych rocznie, uciułał sobie krocie, i powozy i konie i pańskie sprzęty... Nie odzywałem się z tem przed nikim, bo co by mi z tego przyszło, lecz usłyszawszy, że tu w Zielonce nie ma dla mnie żadnych widoków, pobiegłem do Berka arendarza, aby się jakoś naradzić.

Na nieszczęście Berek dotąd z podróży swojej nie powrócił, tylko powiedziała mi żona, że wczoraj dostała list od niego z Lublina, jako śmierć kasyera odchorował, a teraz wprzód musi być jeszcze w Warszawie nim wróci do Zielonki. Kazał sobie nawet przysłać do Warszawy sepulturę ś. p. kasyera.

Tymczasem położenie moje z dniem każdym stawało się przykrzejsze. Pan Dąbecki wcale na mnie nie zważał, a nawet dał poznać, że mu zawadzam i rad, żebym sobie gdzie poszedł. Ciotka znowu namawiała, aby zostać jeszcze, dopóki się

interesa nie wyklarują, być może podzielą się Zielonką, to mię zostawi przy sobie, a jeżeli już odstąpi schedę swoją panu Janowi, to znajdzie dla mnie odpowiednie miejsce. Z tytułu więc owych targów o schedę, Dąbecki rozporządzał się już w Zielonce jak u siebie. Cały dzień na koniu z harapnikiem w ręce jeździł, dozorował siewów i męczył biednych robotników do późnej nocy, czego przedtem nie bywało, albowiem stryj jakkolwiek nie cierpiał próżniactwa, jednak na pracę ludzką był wyrozumiały.

Spis inwentarza pozostałości szedł wolno, Dąbecki po całych nocach szperał w papierach nieboszczyka i wynotowywał różne wydatki czynione przez kasyera na utrzymanie rodziny pani Pelagii, zapisując to wszystko na rachunek teraźniejszej schedy; nawet groszom na pierniki dla dzieci wydatkowanym nie przepuścił. I Łasickim dostało się za swoje; pokazało się bowiem, że nieboszczyk i im czasem posyłał pieniądze, stare ubranie i inne drobnostki — wszystko to z kosztami porta, zostało skrupulatnie obliczone. Turbowały go tylko wydatki na moją osobę — tych nie było z czego potrącać, do udziału w spadku nie należałem.

Nareszcie, przypadkiem odkryłem między różnymi dokumentami dowód bankowy na sumę 15.000 rubli, przed rokiem deponowaną przez

stryja. Radość niezmierna opanowała wszystkich, a sam Dąbecki zwykle ponury i milczący jak step Ukrainy, uniósł się na swój sposób i składając ręce jak do modlitwy, ukląkł przed portretem stryja mówiąc:

— Szlachetny, świętej, nieskalanej pamięci dobrodzieju nasz! I tuś sobie ujmował, aby zapewnić nam nędzarzom jakąś gotówkę. Panowie! — rzecze, obracając się do obecnych z wyrazem dziwnego rozrzewnienia na twarzy — kto znajdzie coś więcej wspanialszego nad duszę tego szlachetnego człowieka? Święty, daję słowo, święty, do którego tylko się modlić! Wawrzyniec — dodaje, patrząc się na mnie — ostatnim będę, jeżeli ci po odebraniu tej schedy nie wypłacę gotówką stu albo pięćdziesięciu złotych na pamiątkę.

— Dziękuję bardzo panu za jego łaskę — odrzekłem — ale od niego nic nie przyjmę.

— Tak to się zdaje, mój młody przyjacielu, kiedy się pieniędzy nie widzi, a ja ci powiadam, że bez pięćdziesięciu złotych nie będzie setki, a bez setki tysiąca...

Pan Dąbecki był w wybornym humorze, oczy mu się świeciły, a w ruchach jego i intonacyi głosu z akcentem ukraińskim widać było nowe życie, coś serdecznie-otwartego, prawdziwie poetyckiego. Rozgadał się też jak nigdy, i biorąc asumpt z tego, od czego on to zaczął, zostawszy

leśniczym, a jak doszedł do tysięcy, opowiadał dzieje początkowej pracy w tamtych stronach.

— Pamiętam jak dziś pierwszą parę wołów, którą kupiłem na czumaczkę. Wspaniały był jeden z białą łatą na czole, a rogi miał takie jak książę jaki... Poszły ze zbożem do Odessy, a ja nie mógłem sypiać z obawy, co się też z niemi dzieje. Przyszła pora, że wrócić powinny z solą — jakoś nie widać... Eh, panie łaskawy, kręcę się, wyglądam, a gdy nie mogę się doczekać, siadam na koń i jadę na przełaj do przewozu. Rozpytuję ludzi po drodze, nie spotkaliście takiego a takiego wołu z łatą na czole... rogi ma ot tak... Ot panoczku, mówi jakiś poczciwiec, był na przewozie u Bohu... Więc dobrze... Co to znaczy panie ładny wół, każdy pozna... Potem chodziło dwadzieścia par jeden w drugiego jak lwy...

— A czemże pan Jan żywił taką gromadę? — spytał Adamski.

— Czem? sianem panie łaskawy. Miało się znajomych ekonomów w skarbie hrabiego. Ten wziął parę, ten parę, a w takiej gromadzie, co to znaczy. A miałem sześćdziesięciu gajowych pod sobą, w lasach nazbierali siana, ot żyła stadnina... Woły też kupowałem tanio, bo wiedziałem od kogo i gdzie... Co chcesz bratku? pytam chłopa, któremu nietęgo z oczu patrzy... Szesnaście całkowych, powiada... Ot, myślę sobie, nieczysta sprawa, od-

daje za pół darmo. Więc ja do niego: dam dziesięć i dwa pudy mąki i dobijamy targi. Bratku, pytam już po wszystkiemu: a w którą stronę z nim iść można? On się ogląda, po głowie drapie i powiada ciszej: „Wszędzie panoczku, aby nie na wschód słońca...“ Jużem w domu, wiem, o co mu idzie, wołu mach, mach... brazylią i zaraz inny... Tak tak Wawrzusiu, niczem się nie pogardzało. Duma dobrą jest dla wielkich panów, ale chudy pachołek, aby tylko uczciwie, wszystko może, aby mieć czyste sumienie, jak ja...

Gdy sobie tak rozochocony Dąbecki rozprawia o czumaczce, zda mi się spojrzeć oknem, a tu stary proboszcz wraz z Berkiem zdążają ku dworowi. Laska księdza idzie naprzód z jedną ręką, chustka czerwona z jakimś papierem z drugą, a kapelusz siedzi mu na tyle głowy, a tak się spieszy, tak głową kiwa, że biedny Berek kłusem drepcze za nim, nie zważając że brnie po kostki w błocie, i szarga swój świętalny chałat.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków — odpowiada życzliwie kilka naraz głosów, albowiem pod wrażeniem odkrytych piętnastu tysięcy rubli i niechęć do proboszcza jakoś się zmniejszyła.

Berek blady, zmizerowany, jak cień wsunął się za nim.

— Ach Berku, Berku! — zawoła pani Pelagia witając przybyłego — czyśmy się spodziewali!...

I puściły się jej łzy z oczu, a Berkowi to jakby groch leciał a nie łzy na konopiastą brodę. Biedne żydzisko nie mogło słowa przemówić, a kiedy spojrzał na wiszący portret stryja, wybuchnął spazmatycznie tak, że wszyscy zamilkli, szanując boleść tego człowieka.

— Cóż tu szanownego kanonika sprowadza? — zapytuje po chwili Dąbecki, podając mu krzesło.

— Ot, chciałem nowego kolatora mojego powitać — odrzekł starowina, kłaniając się do koła.

— Jest i kolator! — odzywa się ciotka, wskazując na Dąbeckiego. — Dziś skończyliśmy o sprzedaż mojej schedy — dodaje z westchnieniem.

Dąbecki powstał, prostując się poważnie, lecz proboszcz udając, że nie słyszy tej rekomendacyi, ani się rusza z krzesła.

— Et pani dobrodziejko, Bóg najwyższy daje kolatora, Bóg go zabiera do chwały swojej... Niech będzie Jego święta wola... każdy mi dobry, aby był po Bogu pani dobrodziejko, po Bogu.

— Alboż mnie kanonik... — zaczyna Dąbecki.

— Panie dobrodzieju, ja nie kanonik, nie — tylko mizerny sługa Boży, pleban...

— No to cóż ksiądz dobrodziej naprzeciw mnie powiesz?...

— Nic panie dobrodzieju, nic: ani na tę stronę, ani na tę stronę — mówi ksiądz z pokorą.

— Więc podajmy sobie ręce jako starzy znajomi, a sądzę, że od dziś przyjaciele. Nie bój się proboszcz, mam ja tu dobre krymskie winko, w maryasza na stepach nie zapomniałem...

Lecz proboszcz nie przyjął wyciągniętej ku sobie dłoni Ukraińca, ale powstawszy z krzesła nagle obrócił się ku mnie i chwytając w swoje objęcia, zaczął całować w głowę raz po razu powtarzając wzruszony:

— Witam cię mój kolatorku kochany, witam dobre dziecko, Bóg jest wielki, Bóg wie, co komu należy.

Ja zdrętwiałem cały, ogień wystąpił mi na twarz, a wszyscy stojący obok skamienieli tak, że co kto trzymał w ręku, pozostał z tem nieruchomy, jak to bywa przy żywych obrazach.

— Proboszcz zwaryowałeś! — krzyknie, wyskakując naprzód Dąbecki, a blady był jak ściana, z oczu tryskały mu iskry.

— Mój mości dobrodzieju — rzeknie zwolna proboszcz, zapuszczając palce do tabakierki — tacy starzy ludzie jak ja, nie waryują. A podniosłszy do góry złożony we czworo papier, dodaje z uniesieniem: — Oto jest testament nieboszczyka — czytajcie!

— Testament? to fałsz! — woła, przeciskając się ku niemu Adamski.

— Ależ to prawdziwy testament, nie ten ze stodoły, nie...

Drżąc cały, wyrwał Dąbecki papier z rąk księdza i zaczął szybko przebiegać go oczyma.

— Tfu! głupiec, choć mój wuj! — krzyknie z całą zapalczywością, rzucając testamentem o ziemię. — *Wot skatina!* — dokończył po rosyjsku, i nie szukając czapki, wybiegł z pokoju.

Papier z podłogi pochwycił Adamski tak gwałtownie, że o mało nie rozdarł na dwoje, zwłaszcza że i Łasicki nadziawszy okulary, ciągnął go także do siebie.

— Powoli panowie — nie drzyjcie! To nie oryginał — rzecze proboszcz do Adamskiego. — Tamten jest w Warszawie u rejenta... Nic nie pomoże, choć wasaństwo podrzecie, wyjmiemy drugi...

Wziął tedy z powagą niezmięszany tem Łasicki i wlazłszy na krzesło, odczytał głośno od deski do deski.

Mnie serce tak gwałtownie biło, w głowie miałem taki szum, a ciemność przed oczami, żem tylko słyszał piąte przez dziesiąte.

Pominąwszy protokół otwarcia testamentu przez prezesa trybunału, tudzież protokół składu

tegoż u rejenta, przez nieboszczyka stryja podpisany testament sam brzmiał:

TESTAMENT.

W Imię Ojca i Syna i Ducha świętego
Amen.

„Majątek mój, jaki pracą i oszczędnością własną zgromadziłem, składa się z dóbr Zielonki, obciążonych pożyczką Towarzystwa kredytowego i z kapitału 15.000 rubli, ulokowanego w banku polskim. Dla uniknienia więc sporów między krewnymi moimi po śmierci, chcę mieć i tym majątkiem dysponuję w ten sposób: że dobra Zielonkę wraz z inwentarzem żywym i martwym tudzież wszelkimi zapasami, jakie w chwili śmierci mojej zostaną, zapisuję siostrzeńcowi żony mojej Wawrzyńcowi Sikorskiemu na zupełną własność, z warunkiem:

1) aby siostrze mojej ciotecznej Pelagii Zalesickiej płacił corocznie aż do jej śmierci po 2000 zł. pol., dał jej na mieszkanie dworek przy kościele, ogród i drzewa na opał;

2) aby płacił corocznie wiecznemi czasy on i jego następcy po 200 zł. proboszczom parafii Zielonka za odprawianie nabożeństwa za duszę moją i familii w dniu 19 marca każdego roku;

3) aby połowę ruchomości we dworze pozostałych oddał służącym podług swego wyboru,

a drugą połowę siostrzenicy mej Katarzynie Łasickiej:

4) kasę ogniotrwałą niech odda na pamiątkę Janowi Dąbeckiemu, siostrzeńcowi memu, ona dla niego będzie najprzydatniejszą;

5) szkatułkę zaś małą z moją cyfrą i różnemi biżuteryami kobiecemi po mojej żonie i córce, Konstancyi Adamskiej...“

Potem szła dyspozycya kapitałem 15.000 rs., z którego dał pani Pelagii 4500, Łasickiej 4500, dla synów pani Pelagii po 750, „bo im dałem edukacyę, więc niech pracują“. Czterem córkom ciotki także po 750 rubli, a pozostałe 750 rs. przeznaczył na pogrzeb i inne wydatki...

„Taka jest ostatnia moja wola. Proszę zatem IM. księdza Tadeusza Kułakowskiego, proboszcza Zielonki, aby dopilnować raczył wykonania tego testamentu i na którego wkładam chrześciański obowiązek opieki nad moim Wawrzusiem, aby się na bogobojnego i zacnego obywatela kraju wykierował i o biednych sierotach pamiętał.

„Pisałem zdrów zupełnie na ciele i umyśle, w Warszawie, dnia 17 kwietnia 1856 roku

Józef Podlewski,
emeryt. kasyer“.

KODYCYL.

„Ponieważ Berek Paszer, pachciarz Zielonki, nie chciał przyjąć żadnego zapisu pieniężnego

odemnie, a służąc najwierniej lat 25, był prawdziwym przyjacielem moim a nie sługą, przeto Wawrzyniec Sikorski, mój sukcesor jak wyżej, odda mu na zupełną własność dom, który Berek zajmuje, wraz z piętnastu morgami gruntu, żeby w tem było 5 morgów lasu i kawałek łąki. Niech go trzyma za pachciarza do śmierci i szanuje jak ojca, bo to uczciwy i rozumny człowiek, choć nie posiada nauki. Kiedy wszyscy biednym sierotą poniewierali, on jeden zwrócił moją uwagę na niego i przekonał mię o bezinteresownej miłości tego chłopca.

Warszawa, dnia 18 kwietnia 1856 r.

Józef Podlewski.

— Doprawdy, że to jest komedya! — rzekł Łasicki zdejmując okulary. — No, winszuję ci mój młody przyjacielu takiego szczęścia... Warto opisać do mojej księgi, pozwolisz mi wypisać sobie kopię... Cha, cha, cha... patrzcie no, jak mój szwagierek lata po dziedzińcu bez czapki... Panie Adamski, zanieśże mu tę czapkę, dostanie kataru... Przyznam się, że wujaszek dobrodziej był dowcipny, gotując się na śmierć, kazał mu dać kasę żelazną!... A teraz mój nowy dziedzicu, ja ci tu wypiszę wszystko na konotatce, co oni nakradli... Poczekajże zaraz, zaraz — mówi, przerzucając karty swojej księgi — numer tysiąc dwieście...

Prawda, że te ruchomości w połowie są nasze...
Hej panie Adamski, pytam się ciebie przy świadkach, oddasz dobrowolnie zegarek złoty, palto watowane, tuzin nowych koszul?... Nie słuchasz, uciekasz?... nie bój się bratku, znajdziemy cię...

Nie słuchałem tego wszystkiego, bo tak raptowna zmiana położenia mego, kompletnie odebrała mi przytomność i zwichnęła zwyczajną swobodę myślenia. Nie ulegało wątpliwości, zostałem dziedzicem dość znacznego majątku; a wszystko to wydało mi się snem, gdy naokoło smutek, chaos, wyrzekania, jakby nieszczęście jakie lub klęska spadły tu przed godziną. Ciotka zaczęła się pakować, srodze była dotkniętą testamentem stryja. Upadłem jej do nóg, prosząc, aby jak dawniej zarządzała wszystkiem.

— Nie i nie — wołała — nawet twojego dworku nie żądam, wyprowadzam się jutro do zięcia i niech moje oczy więcej Zielonki nie oglądają... Mój Boże, za tyle lat pracy... Miałam przeczucie, że to powinszowanie zgubi nas ze wszystkiem... Aj Berek, Berek zdrajca! Zawsze co żyd, to żyd...

Adamski pod pozorem przygotowania pokoju dla matki drapnął naprzód, lecz zdaje mi się, więcej on bał się Łasickiego, który do samego wieczora pisał coś w swojej księdze i notował różne rzeczy wyprowadzone z Zielonki po śmierci stryja.

Dąbecki przez trzy dni wcale nie wychodził ze swego mieszkania w oficynie, choć stadnina jego bujała bez dozoru po wszystkich zbożach i łąkach, jakby to były stepy ukraińskie. Łasicki zapewniał, że to robią umyślnie, aby się konie napasły na drogę. Nareszcie czwartego dnia zajechał powóz, wyprowadzono brykę płótnem obitą, a ja otrzymałem list treści następującej:

Szanowny Panie!

Wydarłeś nam sukcesyę niesłusznie i niesprawiedliwie. Wuj nieboszczyk widocznie przed śmiercią zniedołężniał i postąpił z nami jak najniegodziwiej, czego mu Bóg na swym sądzie nie zapomni. Spodziewam się przeto, że nie mam za co obdarzać go nagrobkiem, który za własne pieniądze na cmentarzu postawiłem. Dlatego proszę mi natychmiast zwrócić sto jedenaście rubli i kopiejek czterdzieści trzy, o które do pana jako głównego sukcesora udaję się.

Sługa

Jan Dąbecki.

(P. S.) A może pan kupi odemnie kilka koni, które z Ukrainy przyprowadziłem. Są młode, po cztery lata i zdrowe — a kłamstwem jest jak Tomasz karbowy gada, żeby miały mieć nogi sforsowane, daję na to słowo honoru. Niedrogo będę żądał i radzę kupić, bo tu są potrzebne.

Proszę więc obejrzeć, ja czekam z wyjazdem... Szafę ogniotrwałą proszę wydać...

Łasicki, który był przy czytaniu tego listu, śmiał się jak opętany i ręce zacierał.

— Mój drogi Wawrzusiu, jeżeli masz Boga w sercu, nie płać mu tych stu jedenastu rubli, niech sobie nagrobek zabierze... A, Judasz, całował błoto jako ślady najszlachetniejszego z ludzi... Czytałeś, teraz mu już niegodziwy, chociaż nieboszczyk kasyer od maleńkiego wychowywał go i do szkół oddawał... Ha, wierzę, przykro to dla czułego serca wydawać te dukaciki, które się myło co sobota... Jak ci dobrze życzę Wawrzusiu, widziałem sam przez szparę w okiennicy, wyjmował je z worków, sypał na miednicę i mył szczoteczką z mydłem... tak, widziałem.

Niechcąc, aby w takich nawet ustach jak Dąbeckiego został wyraz niechęci dla szlachetnego mojego dobroczyńcy, a pamięć jego była mu co dłużną — pożyczyłem pieniędzy od proboszcza i odesłałem wraz z szafą panu Janowi — za konie podziękowałem.

Nareszcie jedyny życzliwy mi ze wszystkich sukcesorów Łasicki opuścił Zielonkę, spiesząc z rodziną do Warszawy po odbiór gotówki z Banku.

— Ja tu kiedy zajrzę do ciebie panie Wawrzyńcze. Dasz mi kwaśnego mleka z kartoflami i słoninki nie pożałujesz, pamiętaj! Tygielek odebra-

łem od Pelagii i zostawiam u ciebie, a za to będę ci czytał różne rzeczy z mojej książeczki i to bardzo ciekawe... Ale, ale, mój drogi, każ mi też wyreperować te małe saneczki, które tam leżą nad oborą; okrutnie lubię sam się powozić jednym konikiem -- tylko tyle żądam.

Przyrzekłem wszystko i pożegnałem starego dziwaka, który z książką pod pachą powędrował prostą drogą przez pola i lasy do Warszawy. Płaczącą zaś żonę i dzieci kazałem odwieźć swojemi końmi.

Zostałem tedy sam jeden w tym wielkim dworze, i smutno mi, choć mam dobra ziemskie, choć pracą uczciwą chcę sobie na dobre imię zasłużyć, aby i Ojciec nasz w niebiesiech i stryj kochany byli z mej pracy zadowoleni. Snują mi się różne projekty po głowie, ale doprawdy sam nie wiem, jakby ten majątek na pożytek bliźnich spożytkować. Dla mnie już nic nie potrzeba; aby spokojny i ciepły kącik, aby kaszel mi tak nie dokuczał, lecz żeby koło mnie wszystkim było dobrze i nie było nędzy i nie było sierot bez dachu i bez pożywienia... Muszę się naradzić z księdzem proboszczem i Berkiem, to są ludzie rozumni i z sercem, i zrobię coś, coś takiego, żeby i po mojej śmierci błogosławiono pamięć moją, jak ja nieboszczyka stryja błogosławię.

KONIEC.